

William J. Locke

Ofiara jednego kłamstwa

Przełożyła Janina Sujkowska

ROZDZIAŁ I

Oliwia Gale oparła się o poręcz krzesła i spojrzała najpierw na starszego pana z prawej strony, a potem na starszego pana z lewej.

– Panowie są dla mnie ogromnie dobrzy i jestem bardzo, bardzo wdzięczna za wszystko, ale chciałabym, żeby panowie zrozumieli, że ta dyskusja nie doprowadzi do niczego. Niepotrzebnie się męczymy i denerwujemy. Jeszcze filiżankę herbaty, panie Fenmarch? Może pan pozwoli, panie Trivett?

Fenmarch, sąsiad z lewej strony, podał z westchnieniem swoją filiżankę. Był to nikły, siwiejący jegomość o twarzy pokrytej skąpym zarostem i apatycznych, niebieskich oczach.

– Jako pani doradca prawny – rzekł – mogę tylko słuchać instrukcji. Jako przyjaciel rodziny chciałbym służyć dobrą radą.

– Nie rozumiem, dlaczego ojciec nie zastrzegł, że pani powinna być pod naszą opieką przynajmniej do ukończenia dwudziestu pięciu lat – mruknął Trivett, sąsiad z prawej, dolewając sobie whisky z wodą sodową. Stół, przykryty zielonym suknem, był zasłany papierami i zastawiony karafkami i szklankami. – Tego rodzaju lekkomyślność...

– ... sprowadza zgubne skutki – dokończył niecierpliwie Fenmarch. – Nie umiem sobie wyobrazić, co pani z sobą zrobi, sama na świecie, z taką olbrzymią gotówką do dyspozycji.

Oliwia dotknęła z uśmiechem jego niebiesko żyłkowanej ręki, obejmującej filiżankę z herbatą.

– Naturalnie. Prawnik, obdarzony wyobraźnią musiałby skończyć w

wariatkowie.

– Więc się strzeż, moja panienko – rzekł Trwett. – Lepiej pilnować swoich pięciu klepek.

– Dobrze powiedziane – roześmiała się Oliwia.

– Ja zawsze wiem, co mówię – nastroszył się Trivett, chowając czerwone policzki w kołnierzyk.

– Pan, taki bystry i inteligentny, panie mecenasie... Nie pojmuję, jak to się dzieje, że pan nie może zgodzić się na mój punkt widzenia.

– Moje dziecko, człowiek doświadczony nie traktuje na serio kaprysów upartych, młodych panienek.

I aby nadać tym słowom większą wagę, uderzył dłonią w stół.

Był szczerze zagniewany. I rzeczywiście, sytuacja przedstawiała się kłopotliwie. Oliwia domagała się wypłaty wielkich sum, ulokowanych w firmie pośrednictwa i sprzedaży majątków „Trivett i Gale”, której on był starszym wspólnikiem, już teraz jedynym, bo ojciec Olivii i jego dwaj synowie zginęli podczas wielkiej wojny. Naturalnie, niemądra dziewczyna sama nie wiedziała, co robi, a on, jako człowiek honoru, nie mógł jej mówić o swoich interesach. Pokój, zamęt w stosunkach gospodarczych oraz inflacja i wysokie procenty, to były zmory, których ona nie brała pod uwagę.

I co? Wyrzekała się pewnego dochodu, byle tylko położyć ręce na wszystkim. Dyskusja przedłużała się w nieskończoność. Na domiar złego Trivett był wykonawcą testamentu starego Gale’a, co czyniło jego położenie szczególnie delikatnym i przykrym.

Oliwia uśmiechnęła się słabo.

– Jaka szkoda...

– Że co?

– Że teraz nie ma złota w obiegu. Panowie mnie nie rozumieją, ale to nie moja wina. Chciałabym zamienić cały mój majątek na złote suwereny. Żeby była tego pełna wanna. Jak by to było cudownie wytarzać się w złocie! Banknoty to nie to samo. Stare czuć brudem, a nowe farbą. Nie. Tylko złoto może dać poczucie siły.

Trivett nazwał ją w myśli głupią gąską i odpowiedział rzeczowo: – Na złote monety poczekamy w Anglii pięćdziesiąt lat.

– Tak – odparła – ale zawsze będę miała jakąś radość. Z czekiem w ręce...

– Panno Oliwio kochana – przerwał łagodnie Fenmarch – o czym my właściwie mówimy?

– Od trzech miesięcy o jednym i tym samym – zawołała. – Dziś jest ostatni dzień; załatwiamy ostatnie formalności.

– Na nieszczęście.

– To takie proste. Pokazali mi panowie to – wzięła w rękę dokument – sprawozdanie z majątku ojca, a ja potwierdziłam, ja, jedyna osoba zainteresowana... Dadzą mi panowie czek na tę sumę – uderzyła ręką po dokumencie – a ja dam pokwitowanie ze znaczkiem jednopensowym; tę markę to już mi panowie zafundują, bo mam w domu tylko drobniejsze i będzie koniec.

– Mój sekretarz przygotował pokwitowanie i nakleił znaczek – rzekł Fenmarch, ignorując jej uśmiech. – Proszę.

– Co za idealny sekretarz! – wykrzyknęła Oliwia. – Żeby pamiętać o znaczku jednopensowym!

– Fenmarch wystawił pani rachunek na wszystkie koszty, do tego pensa włącznie – wtrącił Trivett.

– O, naturalnie! Z jakiej racji miałby mnie pan Fenmarch obdarzać pensją? Ja tylko podziwiam sumienność sekretarza. Chyba mu pan mecenas podniesie pensję?

Fenmarch zrobił oczy jak koń, któremu dano trocin zamiast owsa, i odwrócił głowę. Trivett otworzył usta, rozmyślił się, dopił whisky z wodą sodową, i rzekł ponuro:

– Przykro mi, panno Oliwio, że jest pani taka lekkomyślna. Ja i żona, która zna panią od urodzenia, zawiedliśmy się na pani niewymownie. Do śmierci świętej pamięci matki mieliśmy panią za najrozsądniejszą panienkę w całym mieście. Ale od ostatnich trzech miesięcy, daruje mi pani, stała się pani niemożliwa.

Urwał zagniewany.

Oliwia uśmiechnęła się i zabębniła palcami po stole.

– Może pan pozwoli jeszcze whisky?

– Nie pozwolę – rzekł gniewnie. – Whisky jest za droga, żeby nią tak szafować. Prędko się pani przekona, jaki to zbytek. Chcę pani dać dobrą radę, panno Oliwio. I Fenmarch również. Dlatego tu jesteśmy. Za dwie minuty będzie po wszystkim. Ale tak się o panią martwimy, że chcielibyśmy jeszcze raz przemówić pani do rozsądku.

Oliwia nakryła dłonią jego czerwoną rękę.

– Wiem, wiem – szepnęła miękko. – Rozumiem, że rodzony ojciec nie mógł mi lepiej życzyć niż panowie. Ale co mam zrobić? Mam dwadzieścia trzy lata i jestem sama na świecie.

– Ma pani w Clapham wuja i ciotkę – zauważył Trivett.

– Oni się nie liczą. Więc jestem na świecie zupełnie sama. Czy zdaniem panów powinnam zostać do końca życia w tym nudnym, starym domu i w

tym prowincjonalnym mieście, utrzymywać się z procentów od kapitału i nie widywać mężczyzn całymi miesiącami?

– Co za przesada! – rzekł Fenmarch. – Dom jest stary, ale co to znaczy nudny? Piękny dom. Miasto Mediów idzie z postępem na każdym polu, a co się tyczy młodych ludzi, to się tu od nich roi. Wobec tego nasza rada jest bardzo rozsądna.

– Och! – westchnęła Oliwia. – W tym sęk, że moje pojęcie o nudzie, prowincji i młodych ludziach są inne niż panów. Mamusia bardzo lubiła pewną anegdotę Sydney’a Smitha. Może panom opowiadała? Otóż Smith, idąc z przyjacielem wąską uliczką na przedmieściu, zobaczył dwie kobiety kłócące się z przeciwległych okien przez szerokość ulicy. I Smith powiedział:

„Te kobiety nigdy nie dojdą do porozumienia, bo patrzą z innych punktów widzenia”.

Zapadło milczenie.

– Jeszcze się napiję – rzekł Trivett, sięgając po whisky.

– Rozumiem tę anegdotę – mruknął Fenmarch. – Przecież to tylko gra słów.

– I mamusia była tego zdania – odparła Oliwia.

Znów zapadło mroźne milczenie.

– Ach, skończmy wreszcie! – zawołała dziewczyna, ledwie panując nad zdenerwowaniem.

– Dobrze – odparł z naciskiem Trivett. – Ale jeszcze raz zaprotestuję przeciwko pani postanowieniu. Kolega będzie świadkiem. Szkoda, że nie ma drugiego.

– Mogę mieć drugiego świadka. Moją Myrę...

– Służąca jest głupia i powtarza zawsze pani zdanie – zaproponował

Trivett.

– No, to dajmy jej spokój. Wiem, co pan chce powiedzieć, i wiem, że powoduje panem wielka dobroć.

Piękne, ciemne oczy młodej dziewczyny zaszklily się i Trivett spojrzal na nia prawie z rozczeniem. W skromnej zalobnej sukience wygladala tak dziecinnie, tak filigranowo! Czarne, jedwabiste loki, spadajace na czolo, klodily sie z postawa samodzielnej kobiety, a blade policzki swiadczily o anemii. Umiala sobie radzic w pewnym zakresie: prowadzila dom, byla dla chorej matki idealna opiekunka i orientowala sie w formalnosciami prawnych. Dopoki jej nie strzelila do glowy ostatnia fantazja, Trivett zywil dla niej podziw, z pewnym zastrzezeniem, jako ze byl Anglikiem. Zastrzezenie to odnosilo sie do jej ostrego jezyczka. I ostatecznie, co ta dziewczyna wymyslala!

Zazadala przelania calego majatku do banku, zeby wyruszyc w swiat z gotowka. Ona, takie dziecko, w nieznany swiat! Toz wystarczylo objac ja jedna reką w pol, a druga za szyje, zeby zgruchotac kosteczki... Trivett byl zacnym czlowiekiem o ojcowskich instynktach, wyrobionych na wlasnych corkach, rumianych pannicach, ktore czekaly przyzwoicie w domu na odpowiednich mezow, i doczekaly sie. Totez zobaczywszy serdeczny wyraz oczu Oliwii, udobruchal sie i zamiast ostrego kazania wylosil krotka, ojcowska przestroge. Fenmarch, sluchajac go, kiwal tylko glową i gladzil sie po szczeciniastych policzkach.

Oliwia podziekowala im z wdziekiem i przyrzekla, ze nie bedzie rozrzutna, a w razie czego zwróci sie o rade. Dostala ostatni czek, podpisala ostatnie pokwitowanie na ukos przez znaczek stemplowy i weszla w calkowite posiadanie swego majatku.

Dwaj pracownicy wstali, żeby się pożegnać. Ujęła za rękę czerwonego, tęgiego Trivetta, który był współnikiem jej ojca i spojrzała mu w oczy.

– Wiem, że pan mecenas dałby mi z chęcią w skórę, gdyby mógł.

Roześmiał się bez humoru. – Przydałoby się panience. – I poklepał ją szorstko po ramieniu.

– A pan co mi powie na pożegnanie, panie Fenmarch?

Zagadnięty popatrzył na nią ponuro. – Ja? Mam długie doświadczenie i niczemu się już nie dziwię. Do widzenia!

Oliwia została sama. Słowa starego tetryka wydały jej się nie pozbawione pewnego cierpkiego humoru. Porwała czek ze stołu i zaczęła płaść radośnie po pokoju. Nagle coś sobie przypomniała i, trzymając czek w ręku, wypadła do hallu, gdzie „nudziarze” ubierali się w płaszcze.

– Panie Trivett, zapomniał pan o ważnej rzeczy. Miał pan podobno ofertę na dom?

– Nie ofertę, tylko zapytanie. Tak, rzeczywiście, zapomniałem. Jakiś major... Zaraz. – Wyjął z kieszeni gruby notes. – Zobaczymy. Jest. Major Olifant. Jutro przyjedzie obejrzeć. Czy dwunasta w południe będzie pani odpowiadać? Sam bym go oprowadził, ale, niestety, mam jutro ważny wyjazd. Jeżeli pani chce, przyślę w zastępstwie Perkinsa.

– Jeżeli ten major jest taki straszny, to i pan Perkins nie da mu rady. Nie, panie mecenasie, niech go pan nie przysyła.

Myra, pokojówka, podała prawnikom płaszcze i otworzyła frontowe drzwi. Po ich wyjściu Oliwia złożyła ręce – jedną z czekiem – na szczupłych ramionach pokojówki i roześmiała się radośnie.

– Zwyciężyłam! Wiedziałam, że zwyciężę. Teraz będziemy używały, moja kochana Myro.

– Tak, panienko – odparła Myra, wysuwając się z jej rąk jak drewniany automat. – Należało się panience od dawna.

Była to wysoka, chuda kobieta, coś pośredniego między pokojówką i gospodynią, bo nie w białym fartuchu, a w czarnym na czarnej sukni i bez czepeczka, schludna, gładko uczesana, z siwiejącymi włosami. Ona, kucharka i pomocnica kucharki, stanowiły całą obsługę domu. Oliwia pamiętała Myrę od najwcześniejszego dzieciństwa, tak jak ojca, matkę i papugę Polly, która przedrzeźniała głos „panienki” od czasów, gdy ten głos był niemowlęcym kwileniem. Oliwii wydawało się, że Myra była zawsze jednakowa i bez wieku. Pamiętała tylko jej zwiędłą twarz, tak jak pamiętała jajko na śniadanie. Początki historii Myry tonęły w niepamięci. Według legendy rodzinnej była znajda; przybyła jako młoda dziewczyna z Essex, z rekomendacją od dawno nieżyjącej przyjaciółki matki Oliwii. Nigdy nie wspominała o rodzicach ani o rodzeństwie, ale na urlop jeździła w „swoje strony”. Poza tym jakby nie miała prywatnego życia. Prędzej można to było powiedzieć o domowym kocie. Lat mogła mieć około czterdziestu pięciu.

– Ci panowie myślą, że albo zwariowałam, albo mam źle w głowie – ciągnęła Oliwia. – Dobrze, że sami nie są religijni, bo by się za mnie modlili.

– To mogłoby się przydać, proszę panienko. Oliwia wybuchnęła śmiechem.

– Więc i ty mnie potępiasz? Trudno, musisz się z tym pogodzić.

– Pogodziłam się z niejednym, to i to wytrzymam. I na miejscu panienko nie stałabym tu, w przeciagu.

– Wiesz co – śmiała się panna – z tobą jako damą do towarzystwa będę robiła solidne wrażenie. Tak solidne, że posądzą mnie właśnie o awanturnicze życie.

– I może się nie pomyłą – odparła Myra, ale bez złościwości. Zresztą trudno ją było przejednać. Takim samym tonem oznajmiłaby, że dom się pali, jak że obiad jest gotów czy że ładną dziś mamy pogodę.

– Jeśli ci się to nie podoba, to mogę cię zostawić – rzekła Oliwia.

– Znajdę sobie łatwo wietrznice w kusej sukience i jedwabnych pończoszkiach.

– Marnujemy gaz, panienko. – I pokojówka pociągnęła za łańcuszek lampy gazowej, pogrążając hall w ciemnościach.

– Och, ty zrzędo!

Oliwia potknęła się i potrąciła klatkę z papugą, zawieszoną koło drzwi do jadalni. Polly wrzasnęła: – Po łapach! Po łapach!

Wchodząc do jadalni, Oliwia rzuciła przez ramię: – Myra, ty jesteś tego zdania, co Polly. Dobrze, zostańcie razem. Przyjemnej zabawy!

Sprzątnęła ze stołu szkło, porcelanę i zbyteczne papiery, otworzyła okna, żeby wywietrzyć silną woń cygara Trivetta i przeszła do salonu po drugiej stronie korytarza, gdzie paliło się na kominku. Tu, ni z tego ni z owego, pomimo zwycięstwa nad prawnikami, poczuła się nagle strasznie samotna. Co więcej, ogarnął ją strach. Rzuciła się na fotel koło ognia, upuszczając na podłogę obok kraty czek, symbol niezależności.

Czy postąpiła jak rozumna, dobrze wychowana panna, czy jak głupia gaska, podszyta przekorą?

Może źródłem tego wewnętrznego buntu była matka, ukochana matka, której poświęciła ostatnie cztery lata swego młodego życia, a która pochodziła z arystokratycznego, starego, angloindyjskiego rodu, zasobnego w generałów, pułkowników i lordów i uwiecznionego od wielu pokoleń na kartach historii Indii angielskich? Ale dumna arystokratka odrzuciła

tradycje rodowe i wyszła za Stefana Gale'a farmera z Mediów, nie zważając na to, że sam sprzedawał na licytacjach trzodę chlewną i owce. Rodzina wyrzekła się jej raz na zawsze. Klejnot rodowy zobowiązuje. Nie na darmo jej matka zmarła w czasie epidemii, a ojciec poległ na granicy północnozachodniej. Zginęli na posterunku. Argumentacja była prosta: kobieta, pochodząca z rodu, który rządził prowincjami, dowodził armiami i składał się z sahibów od początku kolonii – nie może wyjść za mąż za sprzedawcę trzody chlewnej i pomimo to pozostać tym kim była. O osobistej wartości tego sprzedawcy nie było w ogóle mowy. Anglobraminka straciła przynależność kastową. Prawda, że później dostojni stryjowie, ciotki i kuzyni próbowali przerzucić most nad przepaścią, lecz pani Gale, zakochana na śmierć w swoim źle urodzonym małżonku, pokazała im elegancką figurę.

Małżeństwo, zawarte z miłości, dotrwało w miłości do śmierci. Mieli dwóch synów i córkę. W strasznym dniu, kiedy przyszła wiadomość o śmierci starszego syna – młodszy poległ o miesiąc wcześniej – mąż stanął u jej łóżka – już wtedy zaczęła się jej nieuleczalna choroba – i zapytał drżącym głosem:

– Mary najdroższa, co mam teraz zrobić?

A ona odpowiedziała echem rodowej krwi, przelanej pod Agrą, Lucknowem, Kandaharem i Chitralem: – Idź, najdroższy.

Oliwia, siedząca obok matki, załamywała ręce w podziwieniu, trwodze i żalu. Ojciec, już pięćdziesięcioletni, poszedł pomścić synów i wypełnić życzenie żony. Żona była dla niego wcieleniem ojczyzny, a jej głos, nakazem patriotycznego obowiązku. Spełniał go skromnie przez dwa lata, szary człowiek, jeden z tysięcy, i w końcu umarł w szpitalu polowym na zapalenie płuc.

Pani Gale przeżyła go o rok. Zawsze kochała córkę, lecz gdy z całej rodziny zostały tylko one dwie, zbliżyły się do siebie ogromnie. Dopiero wtedy matka zdradziła się delikatnie z nostalgią, która ją dręczyła od czasu wyjścia za mąż, z tęsknotą do swojej sfery i cechujących ją zwyczajów, poglądów i zasad. Dopiero wtedy Oliwia zdała sobie stopniowo sprawę z różnic między klasą społeczną ojca i matki. Co prawda, już od dzieciństwa wiedziała, że Trivettowie i Gale'owie nie uchodzili w mieście za szlachtę. Ona sama nie została oddana na arystokratyczną pensję Blair Park, lecz do Landsdowne House, gdzie kształciły się córki mieszczan. Kiedy dwa szeregi panien mijaly się na spacerach, spoglądała z nienawiścią na wymuskane, zarozumiałe „parkówki” w słomkowych kapeluszach z biało-niebieskimi wstążkami, a własny kapelusz z czerwoną wstążką i wyhaftowanymi na niej inicjałami „L. H.” piekł ją po prostu w głowę. Z wiekiem uznała ten społeczny fakt i wiele innych za niezmiennie prawa bytu. Ojciec dzielił dogmatycznie ludzi na trzy kategorie: „panów”, „porządnych ludzi, takich, jak my” i „gawieź”. Porządek na świecie zależał, według niego, od tego, żeby każdy człowiek trzymał się swojej sfery.

Żonę uwielbiał za wszystko, ale także i za to, że zniżyła się do jego poziomu, lojalnie, bez słowa skargi.

W swej poczciwości nie domyślał się, ile przeżyła wstrząsów, wewnętrznych ran i odruchowych buntów i jak walczyła z sobą, żeby się z tym nie zdradzić przez miłość dla niego. Oliwia też się tego nie domyślała, chociaż już jako pensjonarka była dumna, że matka była w Blair Parku, a nie w Landsdowne House i podziwiając jej wytworne obejście, starała się ją naśladować w mowie i manierach. Potem, w czasie jej długiej choroby, przeszła niejako wyższy kurs literatury, bo pani Gale kazała sobie czytywać

na głos dzieła z bardzo różnych dziedzin. Po lekturze następowała zawsze dyskusja. Jednakże dopiero po śmierci ojca Oliwia przejrzała duszę matki, takiej lojalnej, kochającej, a jednocześnie dziwnie nieszczęśliwej.

– Pamiętam raz – opowiadała pani Gale, w trakcie niezapomnianych zwierzeń – miałaś wtedy pięć latek... Staliśmy w hotelu w Eastbourne i ja wdałam się na werandzie w rozmowę z jakimś pułkownikiem, nie pamiętam nazwiska – z którym spotkaliśmy się już kilkakrotnie. Pamiętam, jak wyglądał: szczupły, barczysty, niebieskooki, opalony... Nawet gdy był po cywilnemu, widać było, że to oficer. Widzisz, moja droga, ja wychowałam się w tej sferze... Tak mi się z nim miło rozmawiało, że zapomniałam o umówionym spotkaniu z ojcem w mieście. Ojciec przyszedł po mnie i, zastawszy nas razem, rozgniewał się okropnie. Wtedy to, jedyny raz w życiu, usłyszałam od niego przykre słowo. I jeden jedyny raz dałam mu powód do zazdrości. Właściwie to nawet nie można powiedzieć, żebym mu dała powód do zazdrości. Po prostu nie oparłam się pokusie porozmawiania z człowiekiem z lepszej sfery, a nie mogłam mu tego powiedzieć. Możesz sobie wyobrazić, jak by biedak rozpaczał...

Ta rozmowa była dla Oliwii pierwszym objawieniem dramatu matki i wyjaśniła jej wiele zagadek i wątpliwości. Gdyby pani Gale nie straciła męża i synów i żyła w ich gronie, na pewno by zeszła do grobu, nie zdradziwszy przed nikim swoich najskrytszych przeżyć. Lecz wielka żałoba i cierpienia fizyczne przeobraziły ją nieomal w widmo i sprawiły, że zaczęła uważać córkę nie tylko za kobietę, ale i za pokrewnego ducha, przed którym nie mogła się ukryć żadna tajemnica. Przy łóżku matki Oliwia poznała zagadkę narodzin, życia i śmierci. Głównie życia, bo to najwięcej przemawiało do jej młodej wyobraźni.

Toteż kiedy została sama, świat ukazał jej się w zupełnie nowym świetle. Nie umiałaby powiedzieć jakim, lecz czuła, że dobry, zacy Trivett, ciężki, nieugięty Fenmarch i wszyscy im podobni już by jej teraz nie zrozumieli. Zdawało jej się, że opanowała jakąś wyższą matematykę, za pomocą której spodziewała się rozwiązać problemy, niedostępne dla elementarnej arytmetyki prostaczków z Mediów.

Myślała o tym wszystkim, siedząc przed kominkiem w saloniku po odejściu prawników. Ale ich praktyczne rady dawały jej poważnie do myślenia. Czuła, że ukochany ojciec i bracia byłiby po stronie Trivettów. Matka jednak powiedziałaaby: „Idź kochanie”, tak jak powiedziała to ojcu w daleko poważniejszych okolicznościach. Co do tego nie miała wątpliwości. Ale taki krok oznaczał kompletne zerwanie z miastem rodzinnym, walkę o wzniesienie się na poziom sfery matki i usprawiedliwienie szkaradnych insynuacji szeptanych przez znajomych.

Wybuchł w niej bunt młodości. Cały okres dorastania siedziała kamieniem w domu. Inne dziewczęta wyjeżdżały w świat, używały swobody, poznawały obce kraje, przeżywały przygody, zaciągały się na wojnę jako sanitariuszki, a ona tkwiła ciągle na jednym miejscu, niby roślina wrośnięta w ziemię. Pokój chorej, kuchnia, sklepy na Old Street, gdzie walczyła o masło, śmietanę, jajka i mięso dla matki wbrew ograniczeniom kontroli żywnościowej, znów pokój chorej, skromna, białozielona sypialnia, w której sypiała ciężkim snem, i znów pokój chorej, w którym doświadczała na przemian wzniosłych uczuć i fizycznego wstrętu, oto były żelazne ramy jej dotychczasowej egzystencji. Spadała na nią klęska po klęsce i żałoba po żałobie, tak że nie brała w ogóle udziału w żadnych miejscowych rozrywkach i zabawach. Koleżanki z Landsdowne

House albo powychodziły za mąż za młodych kupców i przeniosły się do innych miast, albo wywędrowały w świat. Tymczasem do miasta sprowadzili się inni „porządni ludzie”, których nie znała. Nie wiedziała w ogóle, skąd się brali i co ich sprowadzało. Zrozumiała to dopiero, gdy w okolicy zabrakło domów do wydzierżawienia.

– Ma pani taki wygodny dom. Dlaczego pani nie chce w nim zostać? – zapytał raz Trivett.

Od śmierci matki czekała trzy miesiące na załatwienie formalności prawnych i zrozumiała, jakie by miała szare i beznadziejne życie, gdyby została. Była za młoda, zbyt pełna życia, żeby się pogodzić z taką przyszłością. Tęskniła do szerokiego świata, pełnego blasków i dźwięków.

Nie wiedziała jeszcze, co by robiła na tym szerokim świecie. Może by spotkała księcia z bajki. Jeżeli to marzenie czyniło z niej lekką kobietę – rozumowała – to wszystkie kobiety zasługiwały na to miano. Dalej Trivett nazwał ją lekkomyślną za to, że nie zgodziła się na jego zdanie w kwestii lokaty kapitału, ale i co do tego ona mogła mieć rację.

Kapitał mógł sobie leżeć bezpiecznie w banku. Lokata w akcjach nie była wcale pewniejsza, a nawet gorsza, zważywszy ich spadek. Chodziło tylko o to, żeby nie trwonić pieniędzy. Oliwia miała nadzieję, że procent od kapitału i czynsz dzierżawny za dom wystarczą jej aż nadto na utrzymanie. W każdym razie miałyby tę pewność, że majątek jej jest niezależny od wahań giełdowych. Jednej nadziei nie wyjawiała prawnikom:

że mogłaby ją spotkać jakaś cudowna przygoda. Musiała po prostu naładować kieszenie pieniędzmi i wyruszyć gdzieś przez góry i morza.

Marzyły jej się bajkowe cuda, a w bajkach ludzie noszą złoto w kieszeniach i rzucają nim na prawo i lewo, pod nogi nędzaczom i na kolana

chciwcom.

Zasiadła do samotnej kolacji z przekonaniem, że nie jest ani lekkomyślną kobietą, ani głupią gąską. Dyskusja z Myrą na temat planów na najbliższą przyszłość nie budziła w tej ostatniej najmniejszego entuzjazmu. Oliwia od dzieciństwa lubiła ją drażnić. Porównała siebie do Don Kichota w spódnicy, a Myrę do Sancho Pansy, również w spódnicy, i zaczęła fantazjować na temat, jak to będzie naprawiać ludzkie krzywdy.

– Lepiej by się panienka wzięła do tych postrojonych gałganic londyńskich, co to dają się fotografować po wszystkich pismach – rzekła zgryźliwie pokojówka.

Oliwia wybuchnęła śmiechem.

– O, ty kochana zrzędo!

– Wiem, co mówię – odparła Myra, nie zmieniając wyrazu twarzy.

– Ale panienka nie weźmie sobie takiej.

– Wezmę. I ty mi ją pomożesz wyuczyć.

– Nie każdego można przyuczyć.

– Co byś zrobiła, gdyby cię ktoś zgorszył?

– Nigdy nie myślę, co bym zrobiła. Szkoda czasu.

Oliwia zjadła kolację z prawdziwym apetytem.

ROZDZIAŁ II

Na drugi dzień rano, obchodząc pokoje w oczekiwaniu na majora Olifanta, uświadomiła sobie po raz pierwszy, że chce popełnić świętokradztwo. Wszystkie kąty wydały jej się święte, ze wszystkich wiało wspomnieniami. Nawet meble świadczyły o tych, którzy odeszli, szczególnie zaś łóżka i krzesła. Atmosfera była przesiąknięta ich zgasłym życiem, łącznie z najbliższymi drobiazgami. Poręczce dębowej ławy w hallu nosiły ślady zębów Barabasha, buldoga półkrwi, którego starszy brat Karol przyprowadził do domu przed piętnastu laty. Psisko, przyjęte początkowo bardzo niechętnie, wkradło się, dzięki przywiązaniu do Karola, w serca wszystkich i zdechło ze starości, a może i psiej tęsknoty, w parę miesięcy po wyjeździe swego pana na front. W kancelarii ojca, przyozdobionej bez ładu i składu trofeami myśliwskimi, narzędziami do samochodu, wypchanym pstrągiem i dużą mapą Mediów i okolicy, a nie świadczącej wcale o zamiłowaniach książkowych, biurko i mahoniowa konsola kominka były poznaczone czarnymi plamkami od niedopałków papierosów. Stary Gale słynął z roztargnienia. Legenda rodzinna głosiła, że kołyska rodzinna, butwiejąca w przybudówce, nosiła te same stygmaty. Nawet łazienka nie była wolna od wspomnień. W oknie z czerwonych i niebieskich szybek widniał kwadracik białego, matowego szkła, pamiątka po zemście, wywartej na niesympatycznej ciotce (która wkrótce potem umarła), przez młodszego brata. Bobby miał wtedy dwanaście lat i lubił strzelać z procy.

A pokój matki...

Nie, nie mogła tego wszystkiego wydać w obce, brutalne ręce. Zamiar

wynajęcia domu z umeblowaniem wydał jej się nagle potwornością a major Olifant – intruzem i świętokradcą. Wyobraziła go sobie w otoczeniu zaniedbanej żony i fury dzieci, profanujących jej domowe bóstwa i poszła szukać Myry. Znalazła ją w swoim pokoju ze ścierką od kurzu w ręku.

– Wychodzę. Powiesz majorowi Olifantowi, że się rozmyśliłam i nie wydzierzawię domu.

Ubrała się w płaszcz i kapelusz i zeszła na dół. Ale w chwili gdy otwierała frontowe drzwi, przed dom zajechało dwuosobowe auto, z którego wysiadł nieznajomy mężczyzna i unosząc kapelusza, zapytał:

– Przepraszam panią, czy to jest The Towers?

– Tak – odparła. – Pan... pan z polecenia firmy Trivett i Gale?

– Właśnie – odpowiedział uprzejmie. – Mam się zobaczyć z panną Gale.

– To ja – rzekła Oliwia.

Zauważyła, że w jego twarzy mignęło mimowolne zdziwienie.

– W takim razie pozwoli pani, że się przedstawię. Jestem major Olifant.

Wbrew jej oczekiwaniom major nie okazał się otyłym, czerwonym, natrętym drabem, lecz szczupłym, eleganckim mężczyzną średniego wzrostu, przystojnym i sympatycznym. Jednym rzutem oka ogarnęła jego przybrudzony, wojskowy płaszcz burberry z pustym lewym rękawem, przypiętym na piersiach, jasną, kędzierzawą czuprynę, szerokie i wysokie czoło z dziwnymi wypukłościami nad brwiami, długi, prosty nos i miłe, ciemnoniebieskie oczy. Mógł mieć trzydzieści kilka lat. Przyglądał jej się bacznie, ale z uśmiechem, który odbierał tej lustracji powód do obrazy.

– Postanowiłam nie wydzierzawiać domu – rzekła Oliwia. Uśmiechnięte oczy majora zgasły.

– Przepraszam – odparł sztywno. – Dano mi do zrozumienia, że...

– Wiem – rzekła szybko, spoglądając na pusty rękaw i czując wzbierający protest sumienia. – Skąd pan przyjechał?

– Z Oxfordu. Otworzyła szeroko oczy.

– Sto mil?

– Dziewięćdziesiąt cztery.

– Ależ pan musiał zmarznąć! – zawołała. Proszę, niech pan wejdzie, żeby się ogrzać. Wy tłumaczę się panu. I kierowca niech wejdzie. Tam jest garaż – wskazała ręką. – Zaraz pokojówka pokaże. Proszę panie majorze, niech pan wejdzie.

Weszła do hallu, tak że musiał jej posłuchać. Rozbierając się z płaszcza, skręcił dziwnie ramiona, lecz kiedy chciała mu pomóc, cofnął się grzecznie.

– Dziękuję pani. Umiem sobie dawać radę. Mam wprawę.

Rzucił płaszcz na dębową skrzynię i potarł prawą ręką o ostrą, tweedową kurtkę.

– Nie nadużyję pani gościnności. Rozgrzeję się tylko i za pięć minut wyjadę.

Wprowadziła go do salonu, gdzie płonął na kominku wielki ogień, i pobięła do Myry.

– Myślałam, że panienka już nie chce wydzierżawiać domu – zauważyła pokojówka, wysłuchawszy litanii poleceń.

– Co to ma do rzeczy? Przyjechali niepotrzebnie z tak daleka, zmarzli i na pewno są głodni.

Wróciła do salonu, niosąc na tacy karafkę z whisky, syfon i szklanę.

– Jestem teraz sama na świecie, panie majorze – zaczęła. – Ale miałam ojca i dwóch braci... – Uważała, że powinna się wytłumaczyć.

– Proszę, niech pan pozwoli.

Spotkał się z jej wzrokiem, odważnym i jednocześnie trochę łzawym i wykonał prawą ręką nieokreślony, delikatny gest. Oliwia skinęła głową i pochwyciła karafkę.

– Ile?

– Już dosyć. Otworzyła syfon.

– Tyle?

– Doskonale. Bardzo pani dziękuję.

Wziął od niej szklankę i poczekał grzecznie, żeby go poprosiła o wypicie. Jej przypomniawszy się nagle pułkownik kolonialny ze smutnych wyznań matki i zarumieniła się zmieszana i zła na siebie, że nie wie, co począć.

– Proszę, niech pan wypije! – zachęciła go. – Dobrze to panu zrobi.

Roześmiał się, uklonił i wypił.

– Teraz niech pan usiądzie koło ognia. Przykro mi ogromnie – ciągnęła, gdy usiedli – że pan odbył taką podróż na próżno. Faktycznie chciałam wydzierżawić dom i rozmyślałam się dopiero godzinę temu.

– Pani tu mieszkała całe życie?

– Tak.

– Niech pani będzie łaskawa nie mówić o tym więcej – rzekł dwornie.

Zaczęła pospiesznie wyjaśniać. Ojciec, bracia, matka – ukochane widma wstrzymały ją w ostatniej chwili. Mówiła to z powagą, patrząc nań błagalnie ładnymi, ciemnymi oczami.

– Dziś jest mało domów, w których by nie mieszkały widma, chociaż może się zdarzyć od czasu do czasu dobry człowiek, zdolny zjednać sobie ich zaufanie taktem i zrozumieniem – powiedział major pod koniec bardzo długiej rozmowy.

Zapadła krótka cisza, w którą wdarł się donośny dźwięk brązowego

zegara z kominka, wydzwanającego pierwszą. Oliwia zerwała się z krzesła.

– Pierwsza. Ależ pan musi być głodny! O której pan jadł pierwsze śniadanie? Najpóźniej o siódmej. Coś się znajdzie...

Major wstał.

– Dziękuję pani. Doprawdy... przecież tu musi być jakiś hotel...

– Nie ma! – skłamała i znikła.

Major, który nie zdążył otworzyć przed nią drzwi, cofnął się do kominka i stojąc plecami do ognia, rozejrzał się po pokoju. Usiłując odgadnąć, jacy ludzie tu mieszkali, natknął się na niespodziankę. W starych, złotych firankach, harmonizujących z poduszkami na banalnej sofie, w starych fotelach chippendalskich, takiejże serwantce, wypełnionej okazami cennej porcelany Chelsea, Coalport, sewrskiej i drezdeńskiej; chryzantemach, wychylających się strzępiasto z pięknego, kryształowego wazonu, przejawiała się indywidualność wysoce artystyczna. Zwróciwszy uwagę na śliczną akwarelę nad fortepianem, przeszedł przez pokój, żeby jej się lepiej przyjrzeć. Przeczytał podpis Boningtona i zdumiał się. Rzecz była bezcenna. Na stolyczku, koło oszklonych drzwi, wychodzących na oranżerię, a stamtąd do niewielkiego ogrodu stała szkatułka z perskiej laki. Ale za to znad kominka błyszczało dysonansowo ogromne, wiktoriańskie lustro w ciężkiej, kwiecistej, przeraźliwie złotej ramie, a na przeciwległej ścianie wisiały dwa wielkie, bliźniacze obrazy, również w złotych ramach, przedstawiające sceny z domowego życia. Jaskrawość kolorów raziła oczy niczym światło bez abażuru. Tabliczki wprawione w ramy, nosiły napis: „Wystawione w Królewskiej Akademii w r. 1888”.

Dalsze wypatrywanie śladów widocznego konfliktu indywidualności przerwała mu Myra, prosząc, aby poszedł za nią i pozwolił się oczyścić z

kurzu. Kiedy wrócił do salonu, zastał w nim Oliwię.

– Mam przykre uczucie, że wdarłem się do domu pani jak intruz – rzekł.

– A ja martwię się, że nie przyjmę pana dobrym śniadaniem.

Roześmiał się.

– Człowiek, który wrócił żywy z Francji i Mezopotamii, nie wybredza w jedzeniu.

– W każdym razie nie chciałabym, żeby pan wrócił do pani majorowej chory.

– Do pani majorowej? – powtórzył z humorystycznym naciskiem.

– Myślałam, że pan ma żonę i rodzinę?

– Cóż znowu? – przeraził się. – Jestem kawalerem.

Popatrzyła na niego jak na zupełnie innego człowieka.

– Ale w takim razie na co panu taki duży dom z dziesięcioma sypialniami?

– Więc ten dom ma dziesięć sypialni?

– Czy pan Trivett nie podał panu wszystkich szczegółów? „Wygodna rezydencja, trzy recepcyjne, łazienka z zimną i gorącą wodą” i. t. p.

– Mnie chodziło tylko o łazienkę z zimną i gorącą wodą.

Oboje zaczęli się śmiać.

Myra zaanonsowała śniadanie.

W jadalni na stole, obok nakrycia majora, stał skórzany futerał. Na jego pytające spojrzenie, Oliwia zarumieniła się mocno.

– Rozmawiałam z szoferem pana majora – odparła śmiało. – I on mi to dał.

– Pani dobroć nie ma granic. Sam nie odważyłbym się o to prosić.

W futerale mieścił się przyrząd, łączący w jedno nóż i widelec dla jednorękiego inwalidy.

– Dziwna rzecz, odwaga – zauważyła Oliwia. – Ten sam człowiek, który rzuci się na karabin maszynowy i powali kolbą obsługę, nie odważy się zamknąć okna w salonie wbrew woli pani domu, choćby się miał nabawić śmiertelnej grypy. To prawdziwe jajka, tylko przyrządzone po chińsku.

Została mi jedna kura, która mnie w nie zaopatruje dzień w dzień. Inne strajkują.

Pierwsza okazja zadokumentowania swojej niezależności nappełniła Oliwię dziwną radością. Przedtem raz tylko podejmowała gości: stryja Edwarda z Claphamu i stryjenkę, kiedy przyjechali na pogrzeb matki. Byli to ludzie bezbarwni i prowincjonalni do szpiku kości. Zaproponowali jej, żeby u nich zamieszkała i płaciła im za życie i przyjęli jej grzeczną odmowę z bólem serca. Jednocześnie dostała jej się reprimenda za rozrzutność i podanie masła zamiast margaryny, które jednak żarłocznie pochłaniali. Stryj, blady mizerak był aptekarzem i mieszkał nad apteką, stryjenka, nieciekawa blondynka o wąskich ustach, należała do sekty religijnej, poza którą nie widziała świata, a do której wciągnęła i męża.

Oliwia widziała tę parę poprzednio tylko raz, na pogrzebie młodszego, trzyletniego braciszka. Ojciec, człowiek pełen życia i entuzjazmu dla wsi, koni, psów i trzody chlewnej, nie utrzymywał bliskich stosunków z bratem – „zdechlakiem”, a jako nieugięty zwolennik Kościoła Angielskiego (miał stałą ławkę w kościele parafialnym, ale pomimo jak najlepszych chęci, nie korzystał z niej nigdy z braku czasu), nienawidził dysydentów i potępiał działalność bratowej. Jego nałogowa hojność nie godziła się z ich cnotliwym skąpstwem. Raz wrócił z Claphamu, gdzie był u nich na obiedzie, skarżąc się

na głód.

– Dali jedną nerkę na trzy osoby i mnie dostała się sama chrząstka!

Oczywiście, Oliwia nie Ignęła do stryjostwa i pomimo wrodzonej, dziedzicznej gościnności, rada była, kiedy, objadłszy do kości całą pieczeń, odjechali, pełni zgorszenia dla jej grzesznej rozrzutności i braku chrześcijańskich uczuć. Pomijając tę niewesołą wizytę, siadała do stołu sama od czasu ostatniego urlopu ojca. Myśl ta zapiekła ją w sercu ostrym bólem. Wkrótce po urlopie ojciec umarł w Etaples i od dnia jego śmierci upłynęło już osiemnaście miesięcy. Teraz umiar powstrzymywał ją od podania szampana. Zadowolila się butelką starego Cortona. Gale był znawcą czerwonych 2 Ofiara jednego kłamstwa win, burgunda i porto; miał zasobną piwniczkę i nauczył córkę odróżniać dobre gatunki od złych.

Widząc uznanie majora, zarumieniała się z zadowolenia. Ojciec lubił imponować gościom w ten sposób.

– Albo straciłem smak na wojnie – rzekł major – albo poczęstowała mnie pani wspaniałym winem.

Roześmiała się triumfująco.

– Jak mi przyjemnie, że się pan na nim poznał. To Corton z roku 1887.

– Pozwolę sobie na reprimendę. Nie powinna pani trwonić takiego wina dla byle kogo. O, naturalnie, pani zaprotestuje, że ja nie jestem byle kim. Ale ja wiem, że jestem.

– Musiałam panu wynagrodzić niepotrzebną jazdę i chciałam pokazać gościnność Towers.

– Towers jest cudowny. Nie rozumiem, jak pani może chcieć go opuścić.

– Opuzczę. To postanowione. Na co się przyda samotnej dziewczynie

wielki dom o kilkunastu pokojach?

– Bądź co bądź, to jest pani dom.

– Dlatego właśnie nie chcę go wydzierzawiać.

– W takim razie dlaczego pani chce go opuścić? Czy wolno zapytać, co pani zamierza robić?

Spojrzała mu w oczy i roześmiała się.

– Wyruszę w świat na poszukiwanie przygód.

– A ja pragnąłbym zerwać ze światem i nie mieć już nigdy żadnej przygody. Miałem ich tyle, że mi wystarczą do końca życia.

– Ale chyba pan nie zamierza – rzekła, zdając sobie sprawę z jego odwagi, energii i innych przypuszczalnych przymiotów – chyba pan nie zamierza osiąść tu na zawsze i skamienieć.

– Właśnie, że zamierzam, i to dosłownie.

Doznała uczucia gorzkiego zawodu. Taki człowiek jak on, nie miał prawa wycofywać się z życia. Zdradziła swoje myśli wyrazem twarzy. On uśmiechnął się i rzekł:

– Dosłownie, proszę pani, i faktycznie. Kiedyś byłem geologiem i specjalizowałem się w pewnych skamieniałościach.

– O, przepraszam pana...

– W ślicznych skamieniałościach – ciągnął, ignorując jej przeproszenie, za co mu była wdzięczna – tak zwanych foraminiferach. Czy pani wie, co to jest? – Oliwia potrząsnęła głową. – Maleńkie muszelki, których mieszkańcy należeli do najdawniejszych istot żyjących – protozoa – i stanowią jeden z punktów wyjścia do rozwiązania zagadki życia. Później przerzuciłem się na inne muszle, setki razy większe i miliony razy mniej ważne. Nasunęły mi się w związku z tym różne spostrzeżenia. – To ogromnie rozległa dziedzina

i teraz szukam wygodnego zacisza, gdzie bym mógł prowadzić dalej pracę.

– To szalenie ciekawe, ale daruje pan, że zapytam, kto panu za to zapłaci?

– Może ludzkość zapłaci za dwieście lat – roześmiał się. – Chociaż jeżeli będę cierpliwy, mogą mnie zrobić członkiem Royal Society, kiedy będę miał, no, siedemdziesiąt trzy lata.

– Chętnie bym się dowiedziała czegoś więcej o tych forami..., o tych drobniutkich stworzeniach. Nigdy o nich nie słyszałam.

Ale on odpowiedział: – Nie. Gdybym raz zaczął, zanudziłbym panią na śmierć. Przekłęłaby pani godzinę, w której przestąpiłem te progi. Są inne rzeczy równie ważne, jak foraminifera. Wyspowiadałem się z moich planów. Teraz kolej na panią. No więc, co pani zamierza z sobą zrobić? Co panią najwięcej interesuje?

Oliwia zrobiła w myśli przegląd swoich dotychczasowych zainteresowań i przyjemności i zawstydzila się ich błahości. Przez szereg lat miała w głowie same obowiązki. Popatrzyła więc na gościa spłoszonym wzrokiem, lecz zaraz pokryła to beztroskim śmiechem.

– Mnie? Prawdziwi, żywi ludzie. To jest mój punkt wyjścia do rozwiązania zagadki życia.

– Zobaczymy, kto pierwszy dojdzie do celu.

Po lunchu przystanęła w drzwiach, które przed nią otworzył, i zapytała z wahaniem:

– Może by pan jednak obejrzał dom?

– Z przyjemnością, chociaż jeżeli pani nie zamierza go wydzierżawić...

– W każdym razie będzie pan mógł powiedzieć panu Trivettowi, że nie powinien był posyłać pana do takiej królikarni – rzekła poważnie.

– Jestem na pani rozkazy.

Podniosła z godnością głowę i ruszyła przodem, objaśniając rzeczowo, jak jest z wodą, kominami, kotłami. W kuchni Olifant obejrzał uważnie piec. Kucharka schroniła się do pokoiku kredensowego, a Myra stanęła na baczność.

– Na tych dziurach stawia się garnki i patelnie? – zapytał major.

– Zgadł pan – rzekła Oliwia.

Poszli na górę. W progu najładniejszej sypialni, major wykrzyknął zdziwiony: – Co za śliczny pokój!

– Dawny matki. Proszę, niech pan wejdzie. Z okna jest ładny widok.

W kancelarii byli już przedtem. Teraz dopiero Olifant zrozumiał zagadkę salonu. Rodzice panny żyli kompromisowo. Żona pozwoliła mężowi zawiesić w wytwornym salonie wiktoriańskie lustro i przeraźliwe malowidła. Za to w jej sypialni dominował jej gust. Wszystko tu było proste, lecz wyszukane. Meble w stylu chippendal i sheraton, na ścianach kilka akwarel, portierey i obicia na meblach z blad różowego brokatu. Na stoliczku koło łóżka stał mały rząd książek w inkrustowanej podstawce. Olifant, jak mól książkowy, pochylił się nad nimi instynktownie, żeby przeczytać tytuły, lecz najpierw zapytał:

– Czy można?

– Ależ proszę. – I dodała, jakby chcąc zachwalić przed nim piękną duszę, która stworzyła to otoczenie: – Mama znała te książki na pamięć; naturalnie interesowała się też innymi. Ja czytywałam jej na głos. Do śmierci interesowała się wszystkim, ale te książki były niemal treścią jej życia.

Major zaczął czytać tytuły. Marek Aureliusz, Lord Herbert of Cherleury, „Naśladowanie Chrystusa”, Christina Rossetti, prawie zapomniany Artur

Warwick z początku siedemnastego wieku („Zapasowe Minuty czyli Medytacja z Rezolucją i Rezolucje z Premedytacją”), Crabbe... kilkanaście tomów. Olifant wziął jeden.

– I to także? „Myśli” Pascala?

– Najukochańsza książka mamy – rzekła Oliwia.

– Dziwne... Mój ojciec poświęcił lwią część życia pracy nad monumentalną monografią o Pascalu. Był profesorem teologii na uniwersytecie szkockim, lecz nie zdążył dokończyć swego dzieła, bo umarł. Mam rękopis, ale tak zagmatwany, że trzeba by całego życia, aby go uporządkować. W każdym razie postarał się, żebym nie zapomniał o Pascalu do końca życia.

– Jakim sposobem?

– Dał mi na imię Blaise.

– Blaise Olifant – rzekła, śmiejąc się. – No, mógł wybrać gorsze.

Major zaczął przerzucać kartki książki.

– Jedną myśl Pascala ojciec wbijał mi stale w głowę. O, jest. Nawet podkreślona niebieskim ołówkiem.

– „Zasięga się tylko rady ucha, gdy brakuje serca. Zasadą jest uczciwość”.

– Tak – westchnęła Oliwia.

Major wsunął książkę na miejsce. Wyszli w milczeniu na schody, przystanęli tam zmieszani nie wiadomo czym i zeszli do hallu.

– Teraz rozumiem dlaczego pani nie może wydzierżawić tego domu.

No, trudno!

Oliwia pomyślała o pustym domu zdanym na pastwę kurzu, myszy i widm, i zawahała się.

– Ja... ja obawiałam się licznej rodziny, egoistycznej i... niewrażliwej...

– W takim razie mogę mieć nadzieję, że pani się rozmyśli? – zapytał skwapliwie major. – Może się jakoś porozumiemy. Dom bardzo mi się podoba. Nie jestem pustelnikiem i lubię towarzystwo. Chciałbym móc zaprosić czasem kogoś na weekend i mam zamężną siostrę, niezbyt szczęśliwą, która by chętnie przyjeżdżała do mnie na wypoczynek. Jeden z moich przyjaciół, wybitny człowiek, chce zamieszkać u mnie na kilka miesięcy i popracować w ciszy i spokoju. Co by pani powiedziała, gdybym przyrzekł, że pokój świętej pamięci matki pani byłby pod moją opieką i nikt by nie miał prawa wstępu do niego z wyjątkiem służącej, która by wietrzyła i wycierała kurze? Nie żądam natychmiastowej odpowiedzi. Mogłaby pani do mnie napisać.

Oliwia zmięła. Gość był taki taktowny, uczuciowy, wyrozumiały, uprzejmy, niemal braterski. Matka polubiłaby go na pewno, przyjęła bez zastrzeżeń jako człowieka ze swojej sfery i uznała wdzięcznie za zastępczego strażnika domowych świętości. Oliwia pomyślała chwilę, po czym spojrzała mu poważnie w oczy.

– Zgoda, panie majorze.

Uklonił się. – Na pewno pani tego nie pożałuje. Ale muszę pani przypomnieć – dodał po chwili wahania – że może przez kilka miesięcy będzie nas tu dwóch. Czy pani słyszała o Aleksym Trionie?

– Autorze książki „Przez krew i śnieg”?

– Pani to czytała?

– Naturalnie. Co ja bym w ogóle robiła po całych dniach? Wróżyła z kart czy wyglądała oknem?

– Jest pani zachwycona tą książką? – zapytał z uśmiechem.

– Och, tak! Zdumiewające dzieło! Więc Triona ma tutaj zamieszkać? Co

to za człowiek?

– Długo trzeba by opowiadać.

– Może pan zrobić streszczenie.

Major usiadł obok niej na dębowej, ławie koło pieca aatracytowego i zaczął opowiadać. • ,

ROZDZIAŁ III

A oto, co wiedział o tym niezwykłym człowieku. Nawiasem mówiąc, wiedzę tę dzielił z nim tylko wydawca Rowington i jeszcze paru ludzi.

* * *

Pewnego dnia z rana zajechał przed wielką wydawniczą firmę londyńską lichego, wynajęty samochód bez pasażera. Szofer wysiadł, wyjął z wnętrza pakiet, owinięty w brunatny papier i wszedłszy do biura, zapytał:

– Czy mógłbym się widzieć z którymś z wydawców?

Urzędnik spojrzał na niego zdziwiony. Szoferzy z rękopisami od swoich panów zdarzali się tak często jak jarzyny we wrześniu, lecz szoferzy domagający się widzenia z gromowładnymi szefami, byli zjawiskiem tak rzadkim jak jarzyny w marcu.

– Obawiam się, że nie – odparł grzecznie. – Może pan zostawić rękopis. Dam panu kwit.

– Ja muszę pomówić osobiście. Wyjaśnić to i owo...

Dziesiątki osób wyrażały to życzenie, które urzędnik miał obowiązek odrzucać jako nieziszczalne.

– Chce pan dać rękopis do oceny? Niech pan powie autorowi...

– Ja sam jestem autorem – rzekł szofer.

– O! – zdziwił się urzędnik, popychając machinalnie paczkę po mahoniowym kontuarze.

– Widzi pan, że okoliczności są wyjątkowe.

Ale i w głosie i zachowaniu się szofera było coś tak wyjątkowego, że

urzędnik popatrzył nań wreszcie jak na ludzką istotę.

– Rozumiem, ale u nas obowiązują pewne przepisy. Jeżeli pan zostawi rękopis, przeczytamy go. Daję panu na to słowo honoru – dodał z uśmiechem.

– U nas czyta się wszystkie rękopisy. Mamy pracowników, którzy nie robią nic innego. Czy pan podał tu nazwisko i adres? – zaczął rozpakowywać pakiet.

– Tylko nazwisko. Adresu nie.

Urzędnik podał nieznanemu kartkę i pióro. Ten napisał: *Alexis Triona, c/o John Briggs, 3 Cherbury Mews, Surrey Gardens, W.*

Urzędnik nagryzmolił pokwitowanie, szofer schował je do kieszeni, wyszedł, usiadł za kierownicą i zniknął.

W dwa tygodnie później Alexis Triona, vel szofer John Briggs, zamieszkujący mały pokój nad garażem w Cherbury Mews, dostał list od firmy w sprawie wydania rękopisu dzieła pt. „Przez krew i śnieg”. Tym razem urzędnik powitał go bardzo miłym uśmiechem i zaprowadził do komfortowo umeblowanego gabinetu, wysłanego grubym tureckim dywanem, symbolizującym może rozgrywające się w tych ścianach gry dyplomatyczne. Przy kominku, plecami do ognia, stał sympatyczny pan w średnim wieku, w złotych okularach.

– Pan Triona? Bardzo mi przyjemnie – powitał autora, podchodząc do niego z wyciągniętą ręką. – Proszę, niech pan siada.

Wskazał na fotel koło biurka, na którym panował wielki porządek, i przysuwając do siebie rękopis, rzekł uprzejmie:

– Pan pozwoli, że przystąpimy od razu do interesu? Chcielibyśmy wydać pańską książkę.

Autor zdradził wzruszenie tylko delikatnym drżeniem nozdrzy.

– Cieszę się – odparł. – To warto wydać. Rowington uderzył po rękopisie wskazującym palcem.

– Czy to są pańskie osobiste przeżycia?

– Tak.

– Pan daruje moją ciekawość. To nie ma zasadniczego znaczenia, ale chciałem wiedzieć. Możemy to wydać albo jako utwór fikcyjny, albo jako pamiętnik, tylko że w każdym z tych wypadków zastosowałoby się inny system reklamy. Naturalnie – ciągnął dobrotliwie – rzecz może być w zasadzie absolutnie prawdziwa, jak wiele świetnych opowieści wojennych, napisanych w ostatnich latach, ale nieprawdziwa w sensie historycznym.

Otóż pańska książka miałaby większą wartość, gdybyśmy mogli powiedzieć, że przeżycia w niej podane są historycznie prawdziwe, autentyczne...

– Możecie to powiedzieć – odrzekł spokojnie Triona. Wydawca rozparł się w fotelu.

– Nie rozumiem, jak pan mógł przejść przez takie rzeczy i nie oszaleć. Po raz pierwszy rysy młodego człowieka zajaśniały uśmiechem.

– Nie przysięgłbym, że jestem normalny.

– Byli jeńcy mówią, że sześć miesięcy samotności w takich warunkach – dotknął rękopisu – stanowi granicę odporności ludzkiego rozumu.

– Dopiero gdy zgaśnie namiętność polowania na robactwo.

Rozmawiali dłuższą chwilę. Pobudzany pytaniami wydawcy, Triona dodał parę wyjaśnień i opowiedział swoją ostatnią przygodę: przyjazd do Londynu bez grosza przy duszy i poszukiwanie pracy. Znalazł ją. Został szoferem w przedsiębiorstwie wynajmu samochodów. Wydawca spojrział na

kartkę, przyczepioną do okładki rękopisu.

– Kto to jest John Briggs?

– Pseudonim, panięskie nazwisko mojej matki. Jestem Anglikiem, chociaż mój ojciec był naturalizowanym Rosjaninem. Wspominam o tym w książce. Rodzice pradziadka pochodzili z Malty.

– Tak... Chciałem się zorientować. A teraz przejdźmy do warunków; jakiego honorarium pan oczekuje?

Triona przyznał się później, że wzięła go gwałtowna chęć zażądania ryczałtowo stu funtów, lecz zabrakło mu odwagi. Kiedy wydawca wyjaśnił mu system procentów od nakładu oraz możliwości sprzedaży książki i zaproponował swoje warunki, oniemiał ze zdumienia. A kiedy jeszcze ofiarowano mu tytułem zaliczki więcej niż sto funtów, autorskie serce tłuło się tak gwałtownie, że aż boleśnie.

– Czy pan sądzi – zapytał z niedowierzaniem – że ja mógłbym zarabiać na życie piórem?

– Niewątpliwie – odrzekł rozpromieniony wydawca. – Ma pan tematy, zdolności, styl, humor, zacięcie. Mógłbym wydawać pańskie utwory. Byłoby to z korzyścią i dla nas, i dla pana. Tylko materiału, zawartego w tej książce, już by pan nie poruszał. Pan rozumie?

Triona zrozumiał. Wszedł z gabinetu tanecznie lekkim krokiem. Pisać? Miał w mózgu morze pomysłów, lecz nie przypuszczał, że przelewanie ich na papier otworzy mu bramy dobrobytu. Napisał tę książkę pod przymusem dziwnych, nieznanych sił. Sam czuł, że warto ją było wydać, ale honorarium przekroczyło jego najśmielsze marzenia. Co więcej, zaproponowano mu, żeby pisał...

Wrócił do garażu, do codziennej pracy – rozwożenia ludzi po teatrach i

restauracjach. W skąpych, wolnych chwilach pisał nadzwyczajne opowieści o miłości i wojnie na Kaukazie i w Mongolii i sprzedawał przez pośrednictwo swojej potężnej firmy wydawniczej poważnym pismom literackim, tak że publiczność zapoznawała się stopniowo z jego nazwiskiem. Dopiero gdy wyszła książka i momentalnie usprawiedliwiła oczekiwania wydawców ogromnym sukcesem, John Briggs zrzucił maskę i wystąpił jako Triona. Krytycy rzucili się gromadnie na nową sławę, a ponieważ niewiele wiedzieli o carskim wywiadzie w Turkiestanie, obyczajach mieszkańców Uralu, bolszewickich gwałtach na krańcach Azji, wybuchła między nimi prawdziwa wojna. Triona stawiał tej burzy czoło skromnie i pogodnie.

Pęd sławy rzucił go do Oxfordu, gdzie poznał Blaise'a Olifanta, mieszkającego w domu siostry, żony wybitnego profesora ekonomii politycznej, znanego z hulaszczego życia i skłonności do romansów. Rektor kolegium, znawca spraw rosyjskich, ofiarował mu dach nad głową i zaprosił na obiady. Wydano uroczysty bankiet, na którym byli obecni wszyscy miejscowi intelektualiści, a nastrój tak mrożący, że dania krzepły na półmiskach.

Gość ugiął się pod ciśnieniem uczoneści badaczy, którzy chcieli sięgnąć do sedna jego przeżyć. Chcąc nie chcąc, musiał się ciągle powtarzać, co czynił z ujmującą skromnością. Epizod odroczenia wyroku, kiedy stał nagi koło kotła, w którym go miano żywcem ugotować, przejął wszystkich dreszczem zgrozy. Może to było za realistyczne na konwencjonalny bankiet, lecz gość nadał zřęcznie straszemu obrazowi charakter zabawnej przygody w podróży. Zaraz potem rektorowa podjęła rozważania na temat ciągłości literatury rosyjskiej od Sumarokowa do

Czechowa. Triona, gruntowny znawca przedmiotu, ożywił się i rzekł:

– Szanowna pani, w Stanach Zjednoczonych ciągły popyt na „Chatę wuja Toma” tłumaczy się zapotrzebowaniem ze strony imigrantów, którzy chcą poznać kwestię murzyńską. Literatura rosyjska ma tyleż wspólnego z Rosją dzisiejszą. Czysta archeologia, tak jak literatura starożytnej Syrii.

Blaise Oiiifant, siedzący po drugiej stronie stołu, przyznał rację człowiekowi znającemu życie w przeciwieństwie do uczonych akademików. Dlaczego ci ludzie nie mogli się zadowolić samą historią ludzkich cierpień, lecz torturowali nieszczęśliwca wywodami socjologiczno-metafizycznymi, w których on się słabo orientował. Wszak nie miał czasu na studia. Oiiifant popatrzył ironicznie na zebranych intelektualistów obojga płci, wszystkich już niemłodych i, zapominając o tym, że sam zamierza poświęcić resztę życia badaniom biologicznym, porównał ich z gościem na korzyść tego ostatniego.

Popatrzył nań z sympatią. Triona miał chłopięcą, gładko wygoloną twarz, szerokie czoło, poznaczone cienkimi, poziomymi liniami, rzadkie, ciemnoblonde włosy, przedzielone niedbale na boku i poza tym nie uczesane; ciemnoszare oczy z ciężkimi powiekami, czasami spokojne, czasami pełne blasku; miłe, uśmiechnięte usta i zabawny dołek w środku długiej brody. Inne jego cechy budziły litość: Zapadnięte skronie, niespokojny wzrok, żyły na chudych rękach i straszliwe wychudzenie całego ciała. Głos był miły, miękki, cudzoziemski. Z zachowania biła nadzwyczajna skromność, grzeczność i cierpliwość. Nerwowe podnoszenie ręki do ust świadczyło o złym samopoczuciu.

W salonie, po bankiecie, rektorowa rzekła do Olifanta: – Ogromnie interesujący człowiek, tylko szkoda, że nie patrzy w oczy.

Major stłumił westchnienie. Co za ludzie! Tacy poczciwi, a tacy beznadziejni! Co oni wiedzą! Nie umieją się nawet poznać na więźniu, który przeszedł tortury fizyczne i poniżenie duchowe, co naznaczyło go nieścieralnym piętnem. Żaden człowiek, który doświadczył takiej niewoli, nie może potem znieść ludzkiego wzroku przez długie lata. Major widywał setki takich ludzi i wspominał ich dotąd z bólem serca. Wyjaśnił rzecz damie, która wysłuchiwała go z grzecznym niedowierzaniem.

Na drugi dzień zaprosił Trionę na obiad i potraktował go tak serdecznie, że biedak otworzył przed nim serce. Opowiedział o dziecinnych latach, spędzonych w Moskwie, gdzie jego ojciec, naturalizowany Rosjanin, był maklerem giełdowym, o podróżach do Francji i Anglii z matką, Angielką; o angielskim nauczycielu; o obiecującym początku kariery w wielkiej, rosyjskiej firmie samochodowej (co później, po ucieczce do Londynu, zapewniło mu możliwości zarobkowe), o służbie w wojsku, awansie oficerskim, początkach wojny, nieprzewidzianym przejściu do rosyjskiej służby wywiadowczej, niewiarygodnej wędrówce na granicę Tybetu, rewolucji, o ucieczce przez Rosję, podróży na gapę szwedzkim okrętem drzewnym, storpedowaniu tegoż okrętu przez niemiecką łódź podwodną i uratowaniu rozbitków przez angielski statek wojenny, o przybyciu do Londynu tylko w koszuli i spodniach, bez pieniędzy, bez papierów, bez niczego z wyjątkiem znajomości angielskiego, o miłosierdziu Rosyjskiego Towarzystwa w Londynie, o palącym nieodpartym pragnieniu przelania wszystkich swoich przeżyć na papier, o pracowitych nocach nad książką, w małym, nędznym pokoiczku nad garażem i wreszcie o cudownym uśmiechu kapryśnej Fortuny.

Wobec współczującego słuchacza Triona zrzucił maskę skromnej

osobowości i opowiadał tak malowniczo i z takim ogniem, że Olifant słuchał oczarowany. Co więcej, z oczu byłego więźnia znikł zupełnie trwożny wyraz, ustępując miejsca magnetycznemu blaskowi, a twarz wygładziła się i zarumieniła.

Siosta majora, pani Woolcombe, łagodna i bezpretensjonalna kobieta, której uczoność Oxfordu ciążyła tak samo, jak hulaszcze życie męża, słuchała z zachwytem. Była niedawno na wstrząsającym filmie i patrzyła teraz na twarz Triona z takim samym osłupieniem, jak wtedy na gigantyczne obrazy, przesuwane się po ekranie...

Po odejściu gościa rzekła do brata: – Czarodziejski chłopiec!

– Chłopiec? Mężczyzna!

Później spotykali się w Londynie i zaprzyjaźnili. Olifant, jako żołnierz i uczonek, przypadł czarodziejowi do serca, Triona, zachwycony geologią, o której nie miał pojęcia, zapalał głodem wiedzy i słuchał opowiadań o amonitach z takim samym przejęciem, jak Olifant o Rosji. Uczestnictwo w wojnie – raz Triona pokazał majorowi nogę z odstrzelonymi trzema palcami i blizną od kajdan – było pierwszą przyczyną zbliżenia. Drugą była wspólnota intelektu.

– Londyn jest cudowny – rzekł raz Triona. – Co ja takiego zrobiłem, żeby mnie tak honorować? Mam z tego wszystkiego zawrót głowy i nie mogę znaleźć czasu na pracę. Muszę pisać, żeby mieć z czego żyć. Czy znasz jakieś zacisze, gdzie mógłbym spędzić zimę? Mam plan powieści i chciałbym go opracować.

Olifant myślał chwilę.

– I ja szukam czegoś podobnego. Słyszałem o wygodnym domu w Shropshire i jadę go obejrzeć w przyszłym tygodniu. Potrzebuję

obszernych apartamentów. Dostyc miałem ziemianek, kwater u chłopów i dziurawych dachów. Mógłbyś zamieszkać u mnie; pracowalibyśmy razem. Zrobiłbyś mi ogromną przyjemność.

– Drogi przyjacielu! – wykrzyknął Triona, chwytając go żywo za rękę. – Jesteś aniołem! Zbawiasz moją duszę! Gdyby nie okropny strach przed samotnością, wyniesiony z więzienia, byłbym już dawno zaszył się gdzieś w Kornwalii. Londyn to co innego. Tu nawet za szoferskich czasów miałem zawsze towarzyszy, pasażerów, widok i wrzawę wielkiego miasta. Ale samotność w małej mieścinie? Niech Bóg broni! Tak długo żyłem sam, że teraz muszę gadać. Ale umiem nad sobą panować. Gdybym ci dokuczał gadatliwością, nie zaprosiłbyś mnie do siebie.

– Niech tylko znajdę odpowiedni dom! Więc zgoda?

– Zgoda, na Boga! Będę ci wdzięczny do końca życia! – zawołał Triona z ogniem w oczach. – Zamieszkać u ciebie, ale nie jako gość, tylko jako lokator. W ten sposób zachowamy wzajemną niezależność. Ty będziesz mnie mógł ewentualnie wyrzucić, a ja ciebie opuścić...

– Jak chcesz – roześmiał się major. – Idzie mi o twoje towarzystwo na jakichkolwiek warunkach.

– Bóg widzi, czym będzie twoje dla mnie!

ROZDZIAŁ IV

John Freke należał do mieszczańskiej elity Mediów. Był dwa razy burmistrzem i stałym opiekunem miejscowego szpitala oraz prezesem wszystkich klubów. Ale ponieważ sprzedawał towary bławatne w sklepie na Old Street, założonym przez dziadka, rodzina jego nie utrzymywała kontaktów z ziemianami, a ze „swojakami” w rodzaju Trivettów i Gale’ów. Oliwia od dzieciństwa przyjaźniła się z jego córką Lidią, starszą od siebie o pięć lat, i przez pewien czas żywiła dla niej bałwochwalcze uwielbienie. Lidia była wysoka, rozłożysta i sprytna, miała śnieżną karnację i dźwięczny, kontraltowy głos. Wyszła za młodego oficera armii terytorialnej, któremu dano kwaterę w domu jej ojca, i Oliwia straciła ją z oczu. Potem młody oficer poległ na wojnie, a wdowa osiadła w Londynie i otworzyła sklep z kapeluszami na Maddox Street. Mówiono, że jej się powodziło. Z ojcem była w jak najlepszych stosunkach i to on sfinansował jej przedsięwzięcie. Do Oliwii pisywała rzadko. Dziewczęce uwielbienie tej ostatniej załamało się dawno przez okrucieństwo Lidii, która nie zwterzyła jej się ze swojej miłości. Oliwia uważała, że przyjaciółki nie powinny mieć między sobą żadnych tajemnic. Wieść o zaręczynach tamtej spadła na nią jak piorun z jasnego nieba. Na weselu jedyną druhną była nieładna młodsza siostra panny młodej, a jedynym wyrazem pamięci o przyjaciółce w okresie miodowych miesięcy – ilustrowana kartka pocztowa ze słowami: *Niebiańskie zacisze. Lidia Dawlish*. Potem nastąpiły dla Oliwii lata żałoby i pensjonarska obraza rozwiała się jak mgła.

Rzadkie listy Lidii, przeważnie kondolencyjne, podtrzymywały pozór

przyjaźni. Ostatni, z powodu śmierci pani Gale, był tak serdeczny, że Oliwia, która nie знаła w Londynie żywej duszy, odważyła się poprosić ją o praktyczną radę. Obszerna odpowiedź przypomniła jej dawną, sprytną Lidię. Nastąpiła żywa wymiana listów i przy fachowej pomocy Trivetta Oliwia znalazła się w posiadaniu małego mieszkanie na Victoria Street.

Wprowadziła się doń w dwa tygodnie po pierwszej bytności Olifanta, który miał zająć The Towers następnego dnia. Odjeżdżającą odprowadzili na stację Trivett z żoną, Fenmarch z żoną, Freke i jego najstarsza córka, prowadząca mu dom. Mężczyźni odciągali co chwilę Oliwię na stronę i kiwając dobrotliwie siwymi głowami, ofiarowywali się z pomocą na wypadek katastrofy. Byli przekonani, że jedzie na zgubę.

Ale ta ojcowska troskliwość starych przyjaciół dopełniła miary wzruszenia dziewczyny, której i tak ciężko było rozstać się z domem, tak że pożegnała ich z okna wagonu ze łzami w oczach. Uspokoiwszy się, rzekła:

– Dlaczego oni są tacy dobrzy, a jednocześnie tacy okropni?

Myra, ponura jak noc, nie odpowiedziała. W miarę zbliżania się do Londynu Oliwię ogarniała coraz większa radość. Marzenie stawało się rzeczywistością. Wsiadła z pociągu z uczuciem zwycięzcy, wstępującego na zdobyte terytorium. W drodze na Victoria Street pozerwała oczami z okna taksówki świetliste wystawy, widoki i ruch uliczny. Wynajęte mieszkanie mieściło się na piątym piętrze i składało z sypialni, bawialni, pokoiku dla Myry i łazienki. Pokojówka, przyzwyczajona do obszernego domu w Mediów, oburzyła się na ciasnotę („Dobrze, że my obie z panią cienkie”) i okazała sarkastyczne zdziwienie, że w Londynie nie płaci się za powietrze na równi z gazem. Oliwia nic sobie nie robiła z ciasnoty. Jej sfera działania leżała za tymi ścianami i ciągnęła się w bezkresną dal. Tylko dla

Myry londyński świat oznaczał zacieśnienie horyzontu. W windzie, którą jechała pierwszy raz, dostała mdłości, a potem przeraziła się, że będzie mieszkać tak strasznie wysoko. Co panience strzeliło do głowy, żeby opuszczać wielki, wygodny dom i lokować się gdzieś na strychu? Oj, Boże! Pewnie jej się pomieszało w głowie przez tę wojnę! Wtedy wszystkie dziwactwa tłumaczyło się wojną.

Oliwia otworzyła okno w bawialni i wyjrzała na ulicę, podobną z tej wysokości do głębokiego wąwozu, na ruch taksówek podobnych do płaskich, szybko pomykających chrząszczy, na autobusy, przypominające jakieś potworne owady i mrówcze szeregi przechodniów. Zapadał zmierzch i w oknach naprzeciwko zapalały się światła. Niebawem zabłyśły kolejno latarnie uliczne. Oliwia patrzyła oczarowana. Miasto przeobrażało się w jej oczach w feerię kolorowych światel.

– To nie chaos – pomyślała z bijącym sercem – to życie. Za tą wrzawą i migotliwością kryją się ludzkie dążenia, usiłowania i cele, tylko że to wszystko jest dla mnie tajemnicą.

Drżała z radosnego podniecenia. I ona stała się nareszcie częścią tego żywiołu i ją czekała jakaś rola w tym porywającym dramacie, którego jeszcze nie rozumiała.

– Nauczę się, dowiem się wszystkiego! Jutro już zmieszam się z tym tłumem... Chociaż dlaczego nie dzisiaj?

Ogarniało ją coraz większe podniecenie. Była wolna. Nie potrzebowała niczyjego pozwolenia. Wsunęła rękę za bluzkę i poczuła pod palcami chrzęst pięciofuntówek. Miała tyle pieniędzy, których nie potrzebowała oszczędzać! W tej świadomości tkwił jakiś dziki urok. Gdyby tak zrzucić z okna jeden banknot i gdyby go podniosła jakaś biedna dziewczyna i zaniósła do domu

chorej matce... Nie, prędzej jakiś opasły rentier... Oliwia wiedziała, że traf bywa cyniczny. Nie, nie będzie siała po Londynie pięciofuntowych banknotów. Ach, tylko że to takie odurzające mieć tyle pieniędzy! Będzie mogła kupować, co zechce, dla siebie i innych... Będzie bujać wśród tej świetlistej mgły, po tym magicznym mieście z bajki.

Cofnęła się od okna i stanęła na środku ciemnego pokoju z zaciśniętymi powiekami i światłem w oczach. Tak. Wyjdzie od razu, żeby się upoić szczęściem.

Ale praktyczna pamięć zahamowała te romantyczne zapędy trzeźwym przypomnieniem, że umówiła się z Lidią na obiad. Miały zejść do restauracji na dole, w której stołowała się cała kamienica.

Drżąc z zimna, zamknęła okno, zapaliła światło i usiadłszy koło kominka, kazała podać herbatę.

W dwie godziny później zjawiała się Lidia – wspaniała, pulchna, wystrojona – w ślicznym kapeluszu własnej roboty, włożonym zawadiacko na jasne włosy i w kosztownym, ciemnym futrze. Oliwia, ubrana w skromną, czarną, półwieczorową sukienkę, uszytą przez szwaczkę z Mediów, poczuła się przy tej królewskiej postaci nędznym kopciuszkiem. A kiedy jeszcze dawna przyjaciółka zdjęła futro z efektowną jedwabną podszewką w kwiaty i stanęła w stalowoniebieskiej toalecie, kontrastującej zuchwale ze śnieżnym dekoltem i kształtnymi ramionami, Oliwia oniemiała z zachwyty.

– Stara suknia – wyjaśniła Lidia. – Musiałam włożyć coś, co by się nadawało i do tutejszej restauracji, i do klubu Percy.

– Co to za klub?

– Nie wiesz? Klub nocny. Wybieram się tam...

Oliwia posmutniała. – Myślałam, że spędzisz ze mną cały wieczór.

– Ależ naturalnie, głupiątko. Nocne kluby zaczynają żyć dopiero po jedenastej. Umówiłam się ze znajomym. No, jak ty się miewasz? I jakie masz plany?

Biło od niej siłą, zdrowiem i wyzywającą kobiecością, dla panny z prowincji trochę niezrozumiałą i trochę gorszącą. Oliwię ogarnęło onieśmielenie.

– Muszę się dopiero namyślić, rozejrzeć...

– Najpierw powinnaś się zaopatrzyć w garderobę – rzekła Lidia, spoglądając z uśmiechem, ale i ze zrozumieniem na jej prowincjonalną sukienkę. – Chyba nie masz dużego zapasu takich toalet?

Oliwia roześmiała się. To była sukienka na chwilę. Oszczędzała na Londyn.

– Może mi poradzisz, gdzie się zwrócić. Podobno na Oxford Street jest ogromny magazyn...

Lidia podniosła do góry marmurowe ramiona.

– Dziewczyno, tam się ubierają służące i eleganki z przedmieść. Jak ty byś wyglądała!

– Więc gdzie można kupić coś odpowiedniego?

Wiedziała z pism ilustrowanych o istnieniu Pacotitte'a, Luquina i innych modnych rajach, lecz słyszała również o giełdzie, parlamencie, Muzeum Brytyjskim, co wszystko razem wzięte, było dla niej nierealne.

– Jutro cię oprowadzę i poinformuję o czym trzeba – przyrzekła wspaniałomyślnie Lidia. – Kapelusze dostaniesz u Lidii, to znaczy u mnie, po cenie kosztu. – Roześmiała się i wzięła ją wpół. – Jeszcze będziesz elegancką kobietą!

Winda zwiozła je na piętro restauracyjne. Obiad był niezły. Miały

wygodny boczny stolik, skąd mogły widzieć całą, niewielką salę. Oliwia doznała zawodu. Tylko kilka osób było w wieczorowych strojach. Reszta towarzystwa przypominała jej swojski pensjonat w Llandudno, ulubionym letnisku ojca z przedwojennych czasów. Myślała, że zobaczy świetne zgromadzenie. Pamiętając o gościnności i hojności ojca, zamówiła szampana, ale Lidia nigdy nie pijała przy jedzeniu z obawy, żeby nie utyć. Oliwia piła wodę, wyrzucając sobie, że nie uraczyła wspaniałej przyjaciółki okazalszą ucztą.

Lidia, wysłuchawszy sprawozdania o sytuacji w Mediów, rozpoczęła swój monolog. Oliwia słuchała z zainteresowaniem jej opowieści o życiu wielkiego świata w Londynie, którego centrum zdawało się mieścić u Lidii na Maddox Street. Tam księżne kupowały kapelusze, za które książęta nie płacili. Tam żony ministrów wyjednywały rabat na kapeluszach, zwierając się Lidii z tajemnic politycznych, które dostawały się do prasy ku konsternacji ministrów, nie mogących zrozumieć, jak się o nich dowiedziano. Tam dochodziły do skutku romantyczne zaręczyny. Tam, gdyby zapisywała wszystko, czego się dowiadywała, zebrałoby się tyle materiału dowodowego, że starczyłoby na rozwiedzenie połowy arystokracji angielskiej. Lidia sypała nazwiskami jak z rękawa. Oliwia odniosła wrażenie, że magazyn przyjaciółki był czymś więcej niż zwykłym magazynem, bo instytucją społeczną. Lidia bywała na weekendach u lordów.

– Widzisz, kochanie, mój mąż pochodził z utytułowanej rodziny. Nie miał pieniędzy, biedak, ale za to zostawił mi pożyteczne stosunki. Rodzina kupuje u mnie kapelusze i robi mi reklamę.

Opowiedziała, że ma legion wielbicieli, którzy obiecują jej niezależność, złote góry, podróże, samochody...

– Naturalnie, to jest trochę męczące. Mężczyzna będzie się afiszował przez pewien czas z elegancką, przystojną kobietą przez samą próżność. Ale jeżeli trafi na gęś, to albo się nią znudzi i porzuci ją albo też będzie chciał...

Jednym słowem, trzeba mieć głowę na karku i umieć ich bawić. Na tym świecie trzeba za wszystko płacić albo pracować na zapłatę, co na jedno wychodzi. Ja pracuję. Mam ciężką pracę, ale miłą. Idę z wielbicielem na obiad, do teatru lub do nocnego klubu i odprawiam go od swoich drzwi w nocy z uczuciem, że się dobrze rozerwał w moim towarzystwie i że byłby osłem, gdyby popsuł sympatyczny stosunek, napomykając o czymś innym.

Kładę się spać z myślą, że zasłużyłam na wypoczynek.

Ten wykład filozofii współczesnej porządnej kobiety nastąpił pod koniec obiadu. Oliwia bawiła się z roztargnieniem łyżeczką od kawy, nabierając na nią ciemny płyn i zlewając z powrotem do filiżanki.

– Ale przecież ci mężczyźni... – zaczęła półgłosem. – Ja nie rozumiem... Jesteś taka piękna i rozumna, że... że muszą się do ciebie umizgać?

– Naturalnie. Cóż chcesz, jestem wdową i, jak mówisz, mogę się podobać. Ale jestem sprytna i umiem ich trzymać z daleka. W tym rzecz, moje dziecko.

– Ale przypuśćmy – ciągnęła Oliwia, nie przestając przelewać kawy – przypuśćmy, że się w którymś zakochasz. Kobiety się przecież zakochują.

– To bym wyszła za mąż – roześmiała się wdowa. – Tylko że rozsądna kobieta nie zakochuje się w takich typach.

Oliwia spuściła oczy na obrus. Była poruszona i urażona w swej dziewiczej godności.

– O ile ja, niedoświadczona, mogę wiedzieć, kobiety nie zawsze są

rozsądne.

– To niech się uczą rozumu. Zaletą współczesnego życia jest to, że mają od samego początku wszelkie możliwości.

– W jakim mężczyźnie zakochuje się rozsądna kobieta?

– W statecznym – wyjaśniła Lidia. – Moim ideałem byłby młody biskup anglikański, bardzo tolerancyjny i trochę leniwy.

Oliwia potrząsnęła głową. Widziała biskupa tylko raz, przy konfirmacji, ale jego widok nie obudził w niej romantycznych marzeń.

– Jacy są ci mężczyźni, którzy ci asystują? – badała ciekawie – i dostarczają rozrywek? Ile ich to musi kosztować...

– Jacy? Różni. Trafiają się bardzo dystyngowani z najlepszych rodów. Ci żenią się z solidnymi pannami, które nie uczęszczają do nocnych klubów i ustatkowują się raz na zawsze.

Wypiły kawę i wróciły na górę na naradę nad garderobą Oliwii. Zrobiły przegląd jej toalet, przy którym Myra asystowała niby sierżant na inspekcji ekwipunku.

– Moje dziecko – rzekła Lidia – ty nie masz po prostu w czym chodzić. To ma być bielizna? To mają być suknie? Przyślę ci jutro kupca, który weźmie to wszystko i dobrze ci zapłaci. Nie wiem jeszcze, co zamierzasz z sobą robić, ale jedno jest pewne: że musisz się ubrać po ludzku.

Oliwia popatrzyła żałośnie na domowe sukienki, które Lidia rzuciła pogardliwie na łóżko. Jej wydawały się eleganckie i odpowiednie do noszenia.

– Cóż robić? – westchnęła. – Ty się znasz na tym...

Dyskusja o szmatkach przeciągnęła się do przeszło jedenastej, kiedy zjawił się oczekiwany towarzysz Lidii, pan Sydney Rooke, mężczyzna w

średnim wieku, we fraku, z kędzierzawymi, czarnymi włosami, przedziałkiem na środku, zaczątkiem łysiny, małym, wojskowym wąsikiem, nie godzącym się z ziemistą cerą i głębokimi zmarszczkami, czarnymi, zmęczonymi oczami i surowymi ustami. Maniery miał wytworne. Dał paniom do zrozumienia, że chociaż był oddany Lidii, to przecież wdzięk Oliwii odbił się w jego sercu głębokim echem. Uczynił to w sześciu słowach, przypieczętowanym ukłonem. Grzeczne zdanie, gest i nowy ukłon oznajmiły Oliwii, że gdyby się przyłączyła do towarzystwa, jego szczęście nie miałoby granic. Wymówiła się zmęczeniem. W takim razie kiedy indziej? Z panią Dawlish. Byłoby niesłychanie miło, szalenie miło...

– Umówimy się – rzekła znacząco Lidia. – Niech będzie za dwa tygodnie. Więc, moja droga, jutro o jedenastej.

Oliwia odprowadziła ich do drzwi, wróciła do pokoju i rzuciwszy się na sofę, z rękami pod głową, zapatrzyła się przez krawędź swego świata na tamten nowy, dziwny, niepojęty...

Weszła Myra.

– Czy panienka pójdzie wreszcie spać?

– Chyba.

– Często będą tu przychodzić takie eleganty?

– Pan Bóg wie, kto tu będzie przychodził – odparła Oliwia.

ROZDZIAŁ V

Jeszcze nikt nie opisał w żadnym poemacie pierwszej wyprawy młodej kobiety w krainę ubiorów. Trzeba by na to nie tylko poety lecz i mistrza psychologii, który by odtworzył jej emocje pod wpływem różnych pokus: załamania, dreszcze radości, subtelne objawienia nowych horyzontów i uniesienia zdobywczynie. Jest to przeżycie, które pochłania całą wolę, przewycięża głód, znużenie, pragnienie i ból głowy i zmienia dzień w sen na jawie. Nawet kobiety światowe, zahartowane na takie rzeczy, dają się nieraz ponieść szaleństwu, choćby chodziło tylko o jedną suknię i parę kapeluszy. Ale urok jest potężniejszy, kiedy chodzi o młodą dziewczynę, która staje pierwszy raz wobec sekretów mody i ma się zaopatrzyć we wszystko, począwszy od bielizny a skończywszy na okryciach wyjściowych, reprezentacyjnych.

Takie emocje przeżyła Oliwia przez pierwsze dwa tygodnie pobytu w Londynie. Liczyła godziny na okrzyki podziwu. Straciła poczucie czasu, pieniędzy, ludzkich wartości. Nigdy przedtem nie wyobrażała sobie, żeby kwestia koloru pończoch mogła mieć taką wagę. O praktycznej stronie zakupów nie myślała wcale. Byle dziś było modne i ładne. Prowincjonalna Ofiara jednego kłamstwa panią jakiej takiej urody przeobrażała się w efektowną, dystyngowaną damę.

Wahania, sprzeczki z Lidią, przeprosiny, powiększały jeszcze nastrój podekscytowania.

– Nie bierzesz solnych kąpieli? – wołała Lidia. – Kto słyszał o kobiecie, nie stosującej solnych kąpieli?

Oliwia zgodziła się na solne kąpiele.

– Na Boga, więc ty myjesz twarz wodą i mydłem? Co się stanie z twoją cerą?

Oliwia udała się do specjalisty z West Endu i zastawiła swoją toaletkę drogimi kremami. Wszystko to było takie nowe, takie niesłychane, takie cudowne, że warto było poświęcić na to choćby cały majątek. Same posiedzenia we wspaniale umeblowanych salonach i oglądanie pięknych modelek demonstrujących arcydzieła krawieckie, które tak łatwo było zdobyć, budziły w niej dziwne, prawie duchowe emocje. Mediów zapadło się w bezkresną dal, a Londyn przeszedł wszelkie oczekiwania.

Później Oliwia, odzyskawszy poczucie rzeczywistości rzekła do przyjaciółki:

– Zabawne to, ale zapomniałam zupełnie o istnieniu mężczyzn. A mądra Lidia odparła:

– Bo byłaś zanadto pochłonięta przeobrażaniem się w kobietę.

W tym okresie przygotowawczym Oliwia była parę razy z Myrą w teatrze na galerii, gdzie siedziały w otoczeniu panienek w skromnych sukienkach lub bluzeczkach i młodzieńców w wytartych mundurach wojskowych lub marynarkach. Sprawiało jej to olbrzymią przyjemność a nawet ulgę. Czyż sama nie należała do tej kategorii? Patrząc na publiczność w lożach – wspaniałe kobiety w klejnotach i dekoltach – zastanawiała się, co będzie robić, gdy znajdzie się w ich gronie. Ogarnął ją strach. Błyszczące światy wyżyn społecznych wydawały się jej niepojęte. Zwłaszcza jedna ze strojnych kobiet zrobiła na niej silne wrażenie – wysoka, pogodna, o pięknej regularnej twarzy i ślicznym głosie. Towarzyszył jej elegancki pan. W westybulu potrąciła Oliwię i, odwróciwszy się, przeprosiła

ją z wdzięcznym uśmiechem. W tłumie rozległy się szepty:

– To markiza Aintree. Jaka piękna!

Oliwia sama się zorientowała, że musiała to być kobieta z arystokracji, i wróciła do domu pełna wątpliwości co do identyczności środowiska jej i Lidii Dawlish. Ale zaraz odrzuciła te refleksje jako objaw niewdzięczności, bo Lidia wynagradzała jej dawne zaniedbanie po królewsku i zamiast doglądać swego magazynu pomagała jej przekształcić się w wielkomięjską elegantkę.

– Nie rozumiem, dlaczego jesteś dla mnie taka dobra...

Wdowa uśmiechała się żartobliwie. – Moja droga, dostarczasz mi nowych wrażeń.

Nadszedł wreszcie dzień wejścia w świat. Lidia przyjechała po przyjaciółkę autem Sydneya Rooke'a, oddanym jej do dyspozycji. Oliwia, ubrana w krótką, wydekoltowaną toaletę z ciemnozłotej tkaniny, czuła się częściowo wniebowzięta, ale trochę zawstydzona. Przez cały wieczór miała lekkie rumieńce. Lidia przytrzymała ją na długość ramienia, obsypała komplementami, a w końcu wycalowała. Cieszyła się nią jak artysta dziełem swego geniuszu. Raz jeszcze zmierzyła ją od stóp do głów, od złotych brokatowych pantofelków do brylantowego motyla (pamiątki po matce) w ciemnych, falujących włosach i wykrzyknęła:

– Jesteś rusałką! Drugiej takiej nie ma w całym Londynie!

Pojechali do Savoyu. Sydney Rooke zaprosił jeszcze siwowąsęgo generała Wigrama, który zaimponował Oliwii czterema rzędami kolorowych wstążeczek orderowych, panią Fane Sylwester, wesołą kobietę w średnim wieku, autorkę powieści, dramatów, opisów podróży i artykułów w czasopiśmie, sir Pawła i lady Barraclough (on – młody baronet we fraku, ona – ładna jasnowłosa laleczka), rozpromienionych i swobodnych, i

wreszcie wicehrabiego de Mauregarda z poselstwa francuskiego, przystojnego młodzieńca, mówiącego po angielsku jak rodowity Anglik. Oliwia dowiedziała się tego wszystkiego w ciągu pierwszych pięciu minut. Pani Gale na pewno uznałaby to towarzystwo za odpowiednie dla swej już prawie marnotrawnej córki. Oliwia siedziała przy obiedzie między Rookiem i Mauregardem. Stół stał koło okien, wychodzących na taras, z dala od orkiestry, którą Oliwia, zastanawiająca się nad fenomenami życia towarzyskiego, uznała słusznie za czynnik antytowarzyski, bo przeszkadzający zbliżeniu między ludźmi.

Pomimo to wejście po wspaniałych schodach przy dźwiękach modnie hałaśliwej muzyki przejęło ją rozkosznym drżeniem. Były to jakby fanfary, oznajmiające jej wejście w nowy świat. Ale prędko stwierdziła, że idiotyczna orkiestra działała po prostu ogłupiająco. Przed oczami jej przesuwwały się białoczarne plamy – mężczyźni, i chaos barw, nagich ramion i klejnotów – kobiety. Towarzystwo, z którym przyszła, wydawało się jej gronem cieni. Uszy nienawykłe do takiej wrzawy, nie rozróżniały słów wstępnej, konwencjonalnej rozmowy. Dopiero gdy znalazła się przy stole i straszliwa, murzyńska kakofonia przycichła w oddaleniu, wróciło jej poczucie rzeczywistości.

Teraz dopiero wezbrała w niej szalona radość. Obaj jej sąsiedzi podróżowali po całym świecie i znali wszystkie rasy ludzkie. I w ogóle interesowali się wszystkim, co się działo w kraju i za granicą. Duma nie pozwoliła jej przyznać się, że dotychczas nie spotykała mężczyzn tak dalece wykształconych i obytych w świecie. Pod wpływem rozmowy z nimi zaczęła się czuć sobą i otrząsać ze zmory mody, która hipnotyzowała ją przez dwa tygodnie.

– Niech pan mnie nie pyta – rzekła do Francuza – czy byłam w Monte Carlo, czy na Madagaskarze, bo nie byłam. Nigdzie nie byłam. Wegetowałam w mroku i dziś dopiero obudziłam się do życia.

– Ale skąd się pani wzięła? Czy z piany morskiej, jak Wenus Anadyomene?

– Nie. Z lądu. Ze Shropshire. Ale to panu nic nie mówi.

– Mówi! Byłam w szkole w Shrewsbury.

– Nie!

– Naprawdę. Trzy lala. Więc i ja pochodzę ze Shropshire.

– Cudownie... Ech, nie, bo to zdiera ze mnie urok tajemniczości.

– Nie! Nie! – zaprotestował ze śmiechem, błyskając wesoło oczami. Miał jasne włosy, podkręcone wąsiki i twarz cherubinka. – Hrabstwo Shropshire jest krainą tajemnicy. Panią urodził poranny wietrzyk, lazurowe niebo i złoty strumień.

– Ślicznie. A może to prawda? To nawet bardziej romantyczne i oryginalne niż morze. Widywałam je raz na rok i zawsze mi się zdawało, że pozuje i stara się utrzymać na poziomie swojej sławy. Co innego „wietrzyk”... W rezultacie przyniósł mnie tutaj.

– Jak mgiełkę.

Oliwia rozkoszowała się lekką i dowcipną rozmową. Mauregard natchnął ją francuskim polotem do improwizacji na temat nimfy, rzuconej nagle w odmęt nowoczesnego życia. Wielka to zaleta umieć mówić, ale jeszcze większa – pobudzać innych do mówienia i dowcipu. Ten drugi przymiot posiadał Mauregard. Oliwia nie wiedziała, co jadła: mięso, rybę czy coś innego. Dopiero gdy Rooke szeptał jej do ucha, że ma dwie łoża na „Jazz-Jazz”, oprzytomniała i spostrzegła, że je kuropatwę.

Sydney Rooke mówił o strojach kobiecych, na których znał się jak projektant mody. Lady Barracrough wtórowała mu. Oliwia, świeżo wtajemniczona w tajniki mody, dorzucała uwagi, a Lidia spoglądała na nią od czasu do czasu i kiwała głową. Stary generał obrzucał ją spojrzeniami, w których było trochę humoru i dużo zachwyty. Początki powodzenia były nadzwyczaj obiecujące. Do teatru jechała taksówką w towarzystwie Barracroughów i pani Sylwester i przez pierwszy akt siedziała w łoży z nimi. Przy drugim akcie nastąpiła zmiana miejsc, tak że znalazła się obok generała, który, jak się okazało, służył w Indiach i znał rodzinę jej matki. Zresztą znali ją tam wszyscy IndoAnglicy. Przed laty przyjaźnił się z jej wujem, już nieżyjącym. Oliwia była uszczęśliwiona. W oczach generała wzniosła się na poziom sfery matki. Rozstali się po przyjacielsku.

Po teatrze udano się do Percy'ego limuzyną Rooke'a w zmniejszonej liczbie, bo generał i pani Sylwester wymówili się zmęczeniem. Już kilka par tańczyło, inne napływały z teatrów. Kolacja odbyła się bardzo wesoło. Rooke pokazał zaciekawionej Oliwii gwiazdy teatralne, które zaszczyliły klub swoją obecnością, i kilku wytwornych młodzieńców, zawodowych tancerzy.

– Czy oni tańczą na scenie?

– Mają zawodowe danserki i demonstrują nowe tańce. Dają również lekcje tańca, prywatnie. Z tego żyją.

Oliwia zmarszczyła brwi. – Nie bardzo szlachetne zajęcie dla młodego człowieka.

Rooke wzruszył grzecznie ramionami. – Jestem tego samego zdania, proszę pani. Pasożytnictwo nie jest szlachetnym zawodem. Ale cóż robić? Szlachetność się przeżyła. Jeżeli mnie znaki czasu nie mylą, to za pół roku

szlachetny człowiek będzie beznadziejnym przeżytkiem.

– Czy to znaczy, że wszyscy młodzi ludzie zejdą na psy?

Uśmiechnął się lekko. – Jaka pani bezpośrednia! Kłopotliwie bezpośrednia. Ja ujmowałem rzecz z negatywnej strony, nie pozytywnej. Chciałem po prostu wskazać na zanik idealizmu.

– Nie rozumiem. Przecież młodych ludzi czeka praca nad odbudową świata.

– O, nie. Oni już zrobili swoje i czekają, aby o to zadbali inni. Oni dbają tylko o pełne kieszenie.

– Czy ci młodzi ludzie, którzy poświęcają się fokstrotowi, także zrobili swoje?

– Och, panno Oliwio! Niech pani się zda na moje proroctwo: za pół roku nie będzie wypadało razić grzecznych uszu aluzjami o wojnie. Ci młodzi ludzie dziękują Bogu, że żyją. I my zrobmy to samo.

Ta rozmowa była jedyną chmurką na tle promiennej nocy. De Mauregard poprosił ją do tańca. Początkowo potykała się niezgrabnie, gdyż znała tylko kroki sprzed pięciu lat, ale stopniowo roztańczyła się i tańczyła przez dwie godziny w bezmyślnym upojeniu. Muzyka, tak początkowo drażniąca i dysonansowa, nabrała sensu i rytmu. Brzęk strun, wrzask cymbałów, barbarzyński huk bębna i chrapliwe okrzyki muzyków, budziły w niej nieznane dotąd emocje. Gdy przestawano grać, klaskała z zapalem razem z innymi o więcej. I znów zahuczała kakofonia dźwięków, burzących krew w żyłach, a ona wtulała się z zadowoleniem w ramiona tancerza i oddawała całą duszą rytmowi, ruchowi, zręcznemu przewodnictwu i w ogóle czemuś, czego dotąd nie doświadczała.

Osoba tancerza nie grała w tym, o dziwo, żadnej roli. Tańczyła po kolei z

Barracloughem, Rookiem i Mauregardem. Po prostu nie odróżniała jednego od drugiego i jeżeli czasem podnosiła oczy, żeby sprawdzić, z kim tańczy, spojrzenie jej miało taki wyraz upojenia, że mogli ją posądzić o kokieterię. Od czasu do czasu wymieniała w tłumie uśmiechy z Lidią i lady Barraclough. Poza tym zapomniała o ich istnieniu.

Mauregard odprowadził ją zadyszana do stolika, a sam poszedł po coś chłodzącego. Wrócił z kelnerem, usprawiedliwiającym się, że mogą służyć tylko mrożonym piwem ze skórkami pomarańczowymi, jako że inne napoje wyskokowe były zakazane. Ten nosił miano „końskiego wina”. Oliwia roześmiała się, wypila „końskie wino” i znów się roześmiała.

– Prawdziwy nektar – rzekła.

– Nawet nieszczęsny Bachus wypiłby to bez słowa skargi, gdyby go pani poczęstowała.

– Czy pan to naprawdę uważa za takie okropne?

– *Mon Dieu!** [Mój Boże! (fr.)] – rzekł Francuz.

Podeszła Lidia z czarnookim, przystojnym młodzieńcem, którego przedstawiła jako pana Boba Quintona, a w którym Oliwia poznała ze zdziwieniem jednego z fordanserów. Był to nadzwyczaj elegancki chłopiec o miłym głosie. Tańczył niezrównanie. zaproponował nowe kroki. Oliwia spróbowała, pomyliła się i zaczęła się usprawiedliwiać:

– Nie tańczyłam przez cztery lata.

– Drobnostka, proszę pani. Pani jest urodzoną tancerką. Parę lekcji wystarczyłoby, żeby pani opanowała wszystkie tajniki nowoczesnego tańca. Większość pań, które uczę, nie tylko nie rozumie, o co chodzi, ale nawet nie próbuje rozumieć. Pani za to ma wrodzony zmysł taneczny. Naturalnie trudno się uczyć w takim tłoku...

– Czy mógłby pan dać mi kilka lekcji?

– Z największą przyjemnością – odpowiedział skwapliwie pan Bob.

Około drugiej nad ranem Sydney Rooke i Lidia wysadzili Oliwię przed domem. Rooke czekał z kapeluszem w ręku, dopóki nie weszła w drzwi.

– Mam nadzieję, że pani się nie nudziła.

– Och, cóż znowu? Wzlatywałam z nieba w niebo.

– Ale do siódmego pani nie dotarła. O, gdybym mógł panią tam wprowadzić...

– Siódmym niebem będzie sen – odparła Oliwia. – Jestem tego pewna.

ROZDZIAŁ VI

W najfantastyczniejszych snach w Mediów nie marzyło jej się takie cudowne życie. Rzuciła się w nie pod przewodnictwem Lidii na oślepi, całą duszą i nie doznała rozczarowania. Znalazła się jakby w swoim królestwie. Londyn sypał jej pod nogi same róże, bez cierni. Barracloughowie zaprosili ją na obiad do swojej rezydencji w Kensingtonie. Generał Wigram – na obiad i do teatru; poza tym przedstawił jej starego kolegę z Indii, generała Philimore’a i swoją córkę, Janet. Philimore znał dziadka Oliwii, kiedy jeszcze sam był podporucznikiem. Świat wydawał się mały. Oliwia, która o tyle tylko interesowała się pradziadami, o ile ją teraz wprowadzali pośmiertnie w wyższy świat, zapalała żywą sympatią do Janet. Mauregard zaprosił ją na śniadanie do Carltona, a potem zachowywał się tak, jakby postanowił żywić ją i starać się dla niej o rozrywki do końca życia. Prawda, że kochał się do szaleństwa w rosyjskiej tancerce, która traktowała go okropnie i była w ogóle niemożliwie ekscentryczna. Oliwia słuchała jego wiecznych skarg z żywym zainteresowaniem i szczerym współczuciem. Co się tyczy Boba Quintona, to dawał jej lekcje tańca w mieszkaniu, po gwinei za lekcję.

Boże Narodzenie spowodowało przerwę w rozrywkach i wizytach londyńskich. Lidia zabrała ją do Brightonu, gdzie czekały je nowe znajomości. W ślad za tym poszły bale i wycieczki samochodowe. Oliwia dokonała niesłychanego odkrycia, że i ona mogła brać udział w odwiecznym konflikcie płci. Nie posiadała się z radości. Przyjechał Rooke i stanął w tym samym hotelu, jak zawsze uśmiechnięty, jak zawsze młodzieńczy, jak

zawsze zniszczony, jak zawsze ugrzeczniony. Sypał czekoladkami, szampanem, cieplarnianymi owocami i kwiatami i haftowanymi torebkami. Raz podarował Lidii pieska pekińczyka, a raz chciał ją uszczęśliwić autem, lecz spotkał się ze stanowczą odmową.

– Pieska, różę, szklankę wina może kobieta przyjąć w nagrodę za trudy uprzyjemniania czasu mężczyźnie – orzekła wdowa. – Samochód to coś innego; to jest rzecz wartościowa i w końcu zawozi kobietę albo do domu hańby, albo do gniazdka małżeńskiego. Wszystko zależy od tego, kto siedzi przy kierownicy.

– Rozumiem – odparła Oliwia, choć nie rozumiała. Rooke był dla niej zagadką, a stosunek Lidii do niego – czymś przekraczającym granice jej doświadczenia.

Ale co tam! Bawiła się i o resztę nie pytała. Miała tylko jakieś niejasne wrażenie, że dawny świat zatonął, a to była jedyna łódź ratunkowa. Błyszczący świat użycia czynił ją głuchą i ślepą na wszystko inne.

Przed samym Nowym Rokiem otrzymała list od Boba Quintona, zaczynający się od słów: „*Droga Pani*” Nikt przedtem nie zwracał się do niej w ten sposób. Wydało jej się to wdzięczne i oryginalne. Pismo było wytworne i nadzwyczaj wyraźne. Młody człowiek skarżył się na nieobecność „Drogiej Pani” na pustkę i zniechęcenie do życia. Święta Bożego Narodzenia spędził samotnie jak bezpański pies. Dawał do zrozumienia, że nie miał nikogo, kto by go kochał – ani matki, ani sióstr. Straszne, nocne życie, na jakie został skazany po demobilizacji, żeby mieć z czego żyć, odbijało się ujemnie na jego zdrowiu fizycznym i moralnym. Zazdrościł „Drogiej Pani” pobytu nad morzem. Tęsknił do tego życiodajnego żywiołu, ale cóż? Tylko zaczarowane księżniczki mogą

sobie pozwolić na takie luksusy, nie biedni inwalidzi. To było wyrażone delikatnymi niedopowiedzeniami. Liczył dni do jej powrotu. Na zakończenie prosił, żeby przywiozła ze sobą trochę ożywczego ozonu dla niego, wiernego sługi, który miał zuchwałość uczyć ją tańczyć.

Żałosny list! Bob potrafił swą unізonością i dowcipem zatrzeć w niej ujemne wyobrażenie o fordanserach. Polubiła go! Wydawał jej się taki młody; bo czyż sama nie była w porównaniu z nim stara, po tylu latach żałoby? Taki dziecinny, taki opuszczony, bez matki, bez siostry, sam na świecie! Pamiętała, jak ojciec i bracia polegali na matce i na niej. I zresztą nie był bezimiennym awanturnikiem. Jego dawno zmarły ojciec piastował stanowisko gubernatora w kolonii. Chłopiec uczęszczał do dobrej szkoły, słowem, był dżentelmenem. Oliwia narzuciła na siebie szlafrok i poszła z listem do Lidii.

Sąsiadowały ze sobą przez ścianę. Była dziewiąta rano i wdowa jadła właśnie w łóżku śniadanie.

– Biedny chłopiec potrzebuje morskiego powietrza – rzekła tonem macierzyńskiej troskliwości Oliwia. – Dobrze by mu to zrobiło! Czy by wypadało, jak myślisz, żebyśmy go tu zaprosiły jako gościa na parę dni, żeby go nie obrazić? My, wiesz, dla przyzwoitości, bo właściwie ja...

Lidia, strojna w delikatne negligé, przeczytała list z hamowanym uśmiechem.

– Mogłybyśmy, jeśli idzie o Boba.

– A jeśli chodzi o nas? – oburzyła się Oliwia. – Więc kobiecie nie wolno poratować człowieka w niedoli tylko dlatego, że jest kobietą?

– Człowieka? Powiedz: mężczyzny!

– Cóż to ma do rzeczy! – zapytała twardo Oliwia.

Lidia zaśmiała się trochę pobłaźliwie, a trochę cynicznie.

– Rób, jak chcesz, moja droga. Mnie nic do tego. Ty zbierasz doświadczenia, nie ja. Ja powiem tylko tyle, że nasz Bob siedzi na dwóch łapkach i przymila się o zaproszenie.

– Och! – zachnęła się Oliwia. – Jakaś ty okropna!

– Nie – uśmiechnęła się przyjaciółka. – Nie jestem okropna, tylko liczę się z rzeczywistością. I ty się tego nauczysz. Inaczej źle ci będzie na świecie. Zaproś swojego Boba, owszem, tylko miej go na oku.

– On nie jest mój – oburzyła się znów Oliwia.

– No, to nasz – ustąpiła dobrodusznie Lidia.

Oliwia napisała do Boba w słowach tak delikatnych, że nie poczułby się dotknięty, nawet gdyby był zbiedniałym hidalgiem lub wodzem górskiego klanu. Była pod silnym wrażeniem. Spełniała dobry uczynek, ale co by na to powiedziano w Mediów? Bob przyjął zaproszenie skwapliwą depeszą.

Zjawił się wyelegantowany, rozplywający się w podziękowaniach i komplementach dla dobroczynnych wrózek, rozradowany, szczęśliwy. Z miejsca rozproszył wszelkie uprzedzenia. Młodszy syn rodu, wieszający się u dworu Ludwika XIII nie mógł przyjąć sakiewki złota od damy swego serca ze swobodniejszym wdziękiem. Oddał się na ich usługi, zabawiał przy stole rozmową i młodzieńczą wesołością, uchodzącą za dowcip, zniknął taktownie, kiedy go nie potrzebowano i zjawiał się zawsze wtedy, kiedy potrzebowano.

„Uwielbianej” Oliwii zwierzył się z żalosnych kolei swego życia. Siedzieli w słonecznym kąciku w porcie, owinięci w futra i niemal przytuleni do siebie, tak że nastrój był w sam raz do zwierzeń. Oliwia nie zadała sobie pytania, jak ten „biedny” chłopak zdobył się na płaszcz, podbity futrem i

nowy karakułowy kołnierz. Wystarczyło jej to, że czuł się przy tej pięknej, morskiej pogodzie tak samo błogo jak ona. Opowiedział jej o swoim dzieciństwie przeżytym w dostatkach, o stracie skromnego dziedzictwa, o wybuchu wojny, wstąpieniu do wojska, o rozpaczliwym wyczekiwaniu na pójście na front, o przeniesieniu się do pułku liniowego, o odzyskaniu radości życia na froncie, o klęsce zwolnienia z wojska z powodu niezdatności fizycznej, o powrocie „do cywila”, o poszukiwaniu środków do życia. Był aktorem, występował w kabarecie, gdzie przyjęto go z otwartymi ramionami, jako że w balecie nie było ani jednego mężczyzny. Potem wyuczył się na tancerza...

– Jedno wynikało z drugiego. Ot, i moje życie!

– Te ciągle tańce i niesypianie po nocach muszą panu szkodzić na serce – rzekła Oliwia.

Uśmiechnął się smutno. – I co z tego? Nie jestem nikomu potrzebny, a światu wszystko jedno, czy umrę, czy będę żył.

– Ależ świat potrzebuje takich młodych ludzi! – zaprotestowała Oliwia.

– Mógłby pan być pożyteczny, nie w ten sposób, to w inny.

– Nie taki gruchot jak ja.

– Mógłby pan pracować w biurze.

– Tak. Wszedłbym jednymi drzwiami po to, żeby wylecieć drugimi. Nie ma się co łudzić.

Wyjął z kieszeni płaską, złotą papierośnicę, a z niej tureckiego papierosa (drobiazgowo gościnnie Oliwia postawiła w jego pokoju pudełko z setką papierosów) i stuknął palcami po złotym wieczku.

– Bądź co bądź, wolę zgasnąć jak motyl, kolorowo i efektownie, niż mozolić się jak robak, który też nie jest nieśmiertelny.

– Nie wolno panu mówić o śmierci! – zawołała Oliwia. – To po prostu nieprzyzwoite.

Bob zapalił papierosa.

– Kto by po mnie płakał?

– Choćby ja – odparła, buntując się w swym zdrowiu i sile przeciwko chorobliwym przywidzeniom młodzieńca. On dotknął jej płaszcza i patrząc na nią przenikliwie piwnymi oczami, zapytał szeptem: – Naprawdę?

Zaczerwieniła się i nastroszyła obronnie. Sama nie zdawała sobie sprawy, dlaczego ją to pytanie rozgniewało.

– Żałowałabym każdego młodego człowieka. Tylu was poległo, że życie pozostałych jest tym cenniejsze. Każda normalna kobieta czuje tak jak ja – Pani jest cudowna.

– Jestem wcieleniem zdrowego rozsądku.

– Pani jest wszystkim – szepnęła. – Nigdy nie zapomnę tego, co mi pani dziś powiedziała.

Udobruchała się. Przeszła koło nich opasła para: ona w tanim kapeluszu z piórami i w perłach na futrze, on bez rękawiczki na prawej ręce, aby imponować olbrzymim rubinem, osadzonym w gnieździe brylantów, z gigantycznym cygarem w ustach.

– W każdym razie nie jestem taki jak oni – rzekł Bob.

Roześmiali się i poszli na lunch, rozmawiając o dorobkiewiczach wojennych.

Po odjeździe Boba Oliwia poczuła wyrzuty sumienia, że była dla niego za chłodna. Chłopiec robił, co mógł. Czy miała prawo gardzić nim? Gdyby nie okoliczności byłby może bohaterem. A i teraz walczył bohatersko ze słabym zdrowiem. Chociaż... Zwróciła się żartobliwie do przyjaciółki:

– Jeżeli się zakocham, to na pewno nie w takim typie jak Bob. Mnie by się podobał mężczyzna, który w razie czego byłby zdolny dać mi w skórę.

Inna rzecz, że byłaby straszna awantura, bo bym się nie dała.

– Bob by to potrafił.

Oliwia pomyślała chwilę.

– Dlaczego ty go nie lubisz? – zapytała znienacka. – Ty coś do niego masz.

– Nie, dziecino. Gdyby tak było, nie zgodziłabym się, żeby tu przyjechał. Żyję i pozwalam żyć. Dzięki tej taktyce mam się dobrze i używam życia niewielkim kosztem.

Oliwia, już ubrana do obiadu, popatrzyła ciekawie na przyjaciółkę, owiniętą w kimono i zwiniętą na sofie jak duży kot angora i znów w umyśle jej zamajaczyła wątpliwość, czy matka uznałaby środowisko Lidii za odpowiednie dla niej.

Po powrocie do Londynu życie popłynęło tym samym nurtem zabaw. Jadła i tańczyła, tańczyła i jadła. Starła się powrócić do książek, które przez tyle lat stanowiły jej jedyną rozrywkę, lecz brakło jej na to czasu. Nie, żeby miała zaproszenia na wszystkie śniadania, podwieczorki i obiady – na to trzeba większego rozgłosu – ale zachodziła często do magazynu Lidii, biegła za drobnymi sprawunkami i przyjmowała znajomych. Jeżeli zdarzył się wolny wieczór, szła spać zaraz po kolacji. Sypiała kamiennym snem młodości. Urok Londynu trwał w całej sile. Wszystko ją uszczęśliwiało: zatłoczone ulice, wystawy mód, przed którymi przystawała w tłumie kobiet, dziwne ptaki w St. James Parku, wędrowki po Abbey i Tempie Gardens, galerie obrazów i kina. Raz spędziła rozkoszne popołudnie u Madame Tussaud. Czasami oprowadzała ją po Londynie Janet Philimore, która

znała się na starych zabytkach i orientowała się w komunikacji. Były razem w City, Tower, Bank of England, Royal Exchange i Guildhall. Sentymentalną stronę rzeczy reprezentował Bob Quinton, starający się nie schodzić z jej troskliwych oczu.

I nowe życie płynęło, płynęło...

Pewnego kwietniowego wieczoru pod kolumnadą teatru czekała na Mauregarda, który poszedł po karete – o taksówki było w owych czasach dosyć trudno – kiedy zobaczyła przed sobą jednorękiego dżentelmena z długim nosem.

– Pani mnie nie poznaje?

Zawahała się sekundę i śmiejąc się zawołała: – Ach, pan major Olifant!

– Podali sobie ręce. – Co pan tu porabia? Myślałam, że pan się zakopał w swoich wykopaliskach. Co słyhać w domu? Czy w łazience jest gorąca woda i jak się miewa papuga? Myra ma obawy co do pańskiego kawalerskiego gospodarstwa i podejrzewa, że pan ją zjadł z głodu.

Odpowiedział tak samo żartobliwie i, dotykając ramienia swego towarzysza, rzekł:

– Pani pozwoli, że przedstawię pani mego przyjaciela: pan Aleksy Triona.

Triona skłonił się i ujął podaną sobie rączkę, nie nakrywając głowy.

– Moja gospodyni – rzekł Olifant.

– Można mu pozazdrościć – rzekł Triona.

– Ślicznie! – zaśmiała się Oliwia, obrzucając szybkim spojrzeniem niepozorną postać młodzieńca, który dokonał tylu nadzwyczajnych rzeczy.

– Więc jestem gospodynią? Chyba na to nie wyglądam?

Triona odpowiedział śmiechem. Przypomniawszy sobie setki gospodyń,

niemłodych, zafrasowanych kobiet, widywanych w okresie poszukiwania mieszkania. W silnym elektrycznym świetle, katastrofalnie niekorzystnym dla większości czekających kobiet, Oliwia wyglądała tak świeżo i młodo jak dziecko w majowy poranek. Miała na sobie strojny płaszcz teatralny narzucony na ramiona, a jej wysmukła sylwetka w purpurowej, wieczorowej toalecie, wyglądała nadzwyczaj efektownie. Oczy miała pełne blasku, głowę podniesioną, trochę dumnie. Triona patrzył oczarowany.

Zwróciła się do Olifanta: – Więc pan przyjechał do Londynu?

– Na parę dni. Otrzepać się z pajęczyny.

– Gdyby pan zaszedł do mnie, pożyczylabym miotelkę. I zresztą chciałabym się dowiedzieć, jak się miewa Polly.

– Z wielką przyjemnością – odparł major.

Umówili się, że przyjdzie do niej na podwieczorek następnego dnia.

– Czy pan, panie Triona, nie odmówiłby mi również tego zaszczytu?

– Jeżeli się odważę...

– Piąte piętro, winda. – Zobaczyła nadbiegającego Mauregarda.

– A więc o wpół do piątej.

Uśmiechnęła się, skinęła głową i odwróciła się ku Francuzowi.

– Pojedziemy do klubu? – zapytał jej towarzysz.

Oliwia zawahała się. Ni z tego, ni z owego elegancki klub wydał jej się niesympatyczną norą.

– Jeżeli pan sobie życzy...

– Ja? Cóż znowu?

– Dlaczego pan tam bywa, jeżeli to pana nudzi? – zapytała już w karecie.

– Życzenie damy jest dla mnie rozkazem.

– To pewnie dlatego nigdy się pan do mnie nie umizga.

– Co? – zdumiał się młodzieniec.

– Musiał pan odczuć, że ja tego nie chcę.

– Jakże się mogłem do pani umizgać, kiedy zamęczam panią zwierzeniami o mojej nieszczęśliwej miłości?

– Takie rzeczy dają się pogodzić. Ale lubię pana za to. Pan jest dobrym przyjacielem.

– Może... – I po pauzie dodał: – Będę z panią szczery. Zgadła pani. Kusi mnie, żeby się do pani umizgać. Nie wiem, czy jest mężczyzna, który oparłby się urokowi pani, choćby był nie wiem jak zakochany. Ale powiedziałem sobie tak: – Lucjanie, jesteś Francuzem do szpiku kości, to znaczy, że nie potrafisz obrazić pięknej kobiety, nie składając jej hołdów. Z drugiej strony lady Oliwia, której nie jestem godzien całować końców paluszków – przy tych słowach dotknął ustami jej ręki z czarującą galanterią – jest Angielką do szpiku swoich kosteczek, to znaczy obraziłaby się, gdybyś się do niej umizgał dla sportu. Nie chcąc więc stracić lady Oliwii, której przyjaźń i sympatię cenię nade wszystko, przyjąłem wdzięcznym sercem stanowisko przyjaciela, chociaż wiem, że ogromna większość moich rodaków wyśmiałaby mnie za to.

– Cieszę się, żeśmy to wyjaśnili – rzekła po dłuższej chwili Oliwia. – Czułam się trochę niepewnie. Samodzielna panna musi na siebie uważać, a pan okazywał mi tyle względów, że...

– Służę pani, bo uważam to za zaszczyt.

Oliwia poszła spać zadowolona z siebie i z niego. Mężczyźni próbowali już się do niej umizgać, ale jej się to nie podobało. O ile Lidia odpierała tego rodzaju zakusy z cyniczną przyjemnością, o tyle ona uważała je za zło

konieczne życia towarzyskiego. Bobem mogła kierować z łatwością jak niegrzecznym smarkaczem. Tylko pełen szacunku, nieodłączny Mauregard dawał jej do myślenia. Teraz zagadka się wyjaśniła.

Początkowo nie przypisywała swojej nagłej niechęci do nocnego klubu spotkaniu z Olifantem. Porwana wirem londyńskiego życia, prawie o nim zapomniała. Nie korespondowali ze sobą, bo nie było po temu powodów. Czysz był regulowany za pośrednictwem Trivetta. Oliwia nie interesowała się naukową działalnością Olifanta i rzadko tylko powracała myślą do rodzinnego domu. O Trionie też nie myślała. Ale widok majora przypomniał jej rozmowę z nim w pokoju matki. Zobaczyła znów delikatne akwarele na ścianach i książki obok łóżka: „Myśli” Pascala, „Naśladowanie Chrystusa”... Triona, młodzieniec z cudzoziemskimi manierami, błyszczącymi oczyma i twarzą naznaczoną cierpieniem, zrobił na niej dziwnie silne wrażenie. Uświadomiła sobie, że ci dwaj ludzie należeli do wysokiej kategorii intelektualnej, nie mającej nic wspólnego z próżniaczym światem zabaw. Dlatego odechciało jej się klubu. Po powrocie do domu zabrała się do czytania poezji Ruperta Brooke’a. Czuła potrzebę pokuty.

ROZDZIAŁ VII

Siedziała przy stoliku, podawała herbatę i słuchała komplementów. Była uradowana, ale jednocześnie zdenerwowana – bardziej niż wtedy, podczas pierwszej bytności majora w Mediów. Dlaczego? Przecież od tego czasu nauczyła się swobody towarzyskiej. Dwaj goście przyłączyli się z innej sfery. Czowała, że nie ma o czym z nimi rozmawiać. Przez te pięć miesięcy po prostu stępiła. Czyż mogła nudzić ich uwagami na temat ostatniej operetki i kuchni u Carltona? Ich – żołnierza-uczonego i podróżnika-literata? Powitała ich sztucznie, tak była onieśmielona, ale w krotce odzyskała swobodę.

– Wczoraj nie od razu panią poznałem – rzekł Olifant. W pierwszej chwili wydawało mi się, że to tylko ktoś podobny do pani.

– Tak się zmieniłam?

– Oprawa była inna – odpowiedział z błyskiem w oczach.

Wyczytała w nich zachwyty i zrozumiała, dlaczego jej nie poznał.

Oczywiście, że skromnej kwakierki przeobraziła się w promienne stworzenie, w piękność, we wspaniałą, modną damę. Futra, klejnoty i jedwabie mogą jeszcze upiększyć nawet najpiękniejszą kobietę.

– Czy pan jest jednak zupełnie pewny, że to ja?

– Jestem pewny. Już drugi raz te piękne rączki karmią zgłodniałego wędrowca. Co się tyczy Triony, to głód jest jego specjalnością.

– Los mi sprzyja – rzekł Triona, sięgając po kanapkę z pomidorami. – Czy będzie mi wolno zajrzeć jeszcze raz w te gościnne progi?

– Jak najczęściej – odpowiedziała ze śmiechem.

– Jaka pani nieostrożna. Człowiek, który żył całe miesiące z żebraniny,

zatraca wszelkie poczucie miary i staje się pieczeniarem.

– Więc pan uprawia pieczeniarnstwo?

– Gorzej. Czy pani trzyma kurczęta?

– Nie tutaj.

– Całe szczęście. Nikt tak nie potrafi kraść kurcząt jak ja. Prosta sztuczka. Łapie się delikwenta za szyję, zakręca nim w powietrzu i chowa pod kurtkę. Wystarczy, żeby właściciel odwrócił się na sekundę. Potem nogi za pas i ucztą w lesie.

– Niech mu pani nie wierzy – wtrącił Olifant. – On tylko udaje takiego desperata. Mieszkał ze mną dwa miesiące i nie sprzątnął pani ani jednej kury.

– To pan już nie mieszka w Mediów? – zwróciła się do Triony.

– Niestety, nie. Wciąż mnie nosi z miejsca na miejsce. Miałem zaproszenie z Finlandii i spędziłem wiosnę w Helsingfors. Właśnie stamtąd wróciłem.

– Jak to musi być cudownie wędrować po świecie!

– Wszystkie kraje są do siebie podobne. Różnice dotyczą powierzchniowych drobiazgów. Żeby żyć, trzeba jeść i spać. Jajko na twardo smakuje tak samo w Tobolsku jak w Somerset. A sen jest snem, czy się śpi w luksusowym hotelu, czy pod gołym niebem. Natura ludzka, odarta z opakowania różnych ubrań, zwyczajów i tradycji pozostaje niezmienna we wszystkich epokach, i pod każdą szerokością i długością geograficzną.

– Ale – zaproponowała logicznie Oliwia – jeżeli Londyn jest taki sam jak Tobolsk, to po co się wyrywać do Tobolska?

– Po co? W nadziei znalezienia czegoś nieznanego... W pogoni za

błędnym ognikiem. – Umilkł na chwilę i znów ciągnął z błyskiem w oczach: – To jest właśnie istotą ludzkiego postępu: pogoń za błędnymi ogniami. Na tysiąc ludzi tylko jeden dociera do ziemi obiecanej; reszta utyka w bagnach. Ale nie wolno tracić wiary w swoją gwiazdę przewodnią – rzekł, zaciskając nerwowo ręce i spoglądając w dal. – Nie wolno pod grozą śmierci duchowej.

– Zazdroszczę ci tego rosyjskiego idealizmu – zauważył major.

– Kiedyż wreszcie przestaniesz uważać mnie za Rosjanina? – zapytał spokojnie Triona. – Jestem takim samym Anglikiem jak ty.

– Nie o to idzie, tylko o rosyjskość pańskiego idealizmu – wyjaśniła Oliwia.

– Tak pani sądzi? – zapytał z uszanowaniem. – Może ma pani rację. W Anglii trzyma się ideały w ukryciu i dopiero jakaś wielka katastrofa dobywa je na powierzchnię życia jak koła ratunkowe. W normalnych warunkach nie wypada się na nie powoływać. W Rosji nosi się ideały na wierzchu, tak że kiedy wybija krytyczna godzina, nie ma się czym ratować, bo tymczasem zwietrzały. Biedna Rosja – westchnął. – Wszyscy moi koledzy, studenci, inteligenci, którzy dyskutowali całymi godzinami, gdzie oni są teraz? Szczęśliwi zginęli w walce. Inni albo zostali wymordowani, albo gniją w więzieniu, albo żyją nędznie jak ścigane zwierzęta. Z czarodziejskiego kotła ich dysput wyłoniła się ohydna bestia i... pożarła ich. Tak, może angielska rezerwa jest lepsza.

Olifant uśmiechnął się pobłaźliwie.

– *Moscovus loquitur* – mruknął.

– Co to znaczy? – zapytała Oliwia.

– To, że Moskał musi gadać – wyjaśnił Triona.

– Ja to lubię – rzekła.

Młody człowiek położył rękę na sercu i pochylił głowę w ukłonie. Oliwia skarciła wzrokiem śmiejącego się majora.

– Ostatecznie, co jest ciekawsze: idee, czy głupie fakty? – zapytała.

– Co lepiej omawiać? Większość ludzi uważa ideę za chorobę i unika jej jak ospy.

Olifant zaprotestował. I on umiał zonglować ideami. Czyż nie skończył uniwersytetu? Pytanie to zabrzmiało w jego ustach autoironicznie. Sprzeczano się chwilę, po czym podjęto inny temat i Triona się ożywił tak, że zaczął się śmiać. Oliwia nie zawsze rozumiała, o co szło jej gościom, wiedziała tylko, że dawali z siebie wszystko co najlepsze, że sami byli elitą myśli i czynu, że starali się ją rozerwać i zasłużyć na jej pochwałę, że wreszcie byli obaj pod jej urokiem. To ostatnie dawało jej nowe poczucie władzy i napełniało radością jeszcze nie zaznaną...

Wtem otworzyły się drzwi i Myra wprowadziła Lidię Dawlish, wspaniałą w futrze i jedwabiach. Chcąc zaznaczyć, że nie jest snobką, wdowa zwróciła się zaraz do majora, pytając o Mediów, drogie Mediów, w którym nie była od wielu lat. Czy major spotkał jej ojczulka, starego Freke'a?

Olifant miał do zakomunikowania tylko dobre nowiny. Owszem, spotkał go na posiedzeniu komitetu szpitalnego i zachwyił się jego sprawnością, energią, wymową i tak dalej.

– Gdyby był wyruszył w szeroki świat, może wyszedłby na wielkiego człowieka – rzekła Lidia.

– Pan Freke jest wielkim człowiekiem – odpowiedział major.

– Na co wielkość człowiekowi, zakopanemu w takiej przedpotopowej

dziurze jak Mediów?

Mówiła od niechcienia, lecz z ożywieniem. Oliwia czuła, że zależało jej na zrobieniu na obu panach dobrego wrażenia. Ale miły nastrój pierzchnął. Olifant i Triona pożegnali się tak prędko, jak im na to pozwoliło dobre wychowanie. Gdyby nie Lidia, byłiby zostali do późnej godziny, okazując w ten sposób hołd gospodyni. Oliwia była zła na przyjaciółkę, lecz pocieszała się refleksją, że nie udało jej się skokietować żadnego z nich. Żegnając się z majorem, rzekła:

– Teraz; skoro pan znalazł drogę do swojej gospodyni, nie będzie jej pan zaniedbywał, prawda? Poczekała, co powie Triona.

– Czy będę miał przyjemność zobaczyć panią kiedyś?

– O ile uda mi się z panem skomunikować – odparła żywo. – Adres: „Pan Triona, planeta Ziemia, system słoneczny” jest tak imponujący, że żadna poczta nie zaręczyłaby, że list dojdzie do pana rąk.

– Hotel Vanloo, South Kensington, będzie prostszy.

– Dobrze wiedzieć, gdzie kogo szukać.

– Gdyby mi pani raczyła sprawić ten zaszczyt... – zaczął Triona.

– Umówmy się – wtrąciła Lidia. – Jestem opiekunką i adoptowaną ciotką Oliwii.

Oliwia zachnęła się wewnętrznie i spojrzała ze zdumieniem na przyjaciółkę, słodko nieświadomą swego nietaktu. – Będzie nam ogromnie miło – rzekł grzecznie Triona. Drzwi zamknęły się i panie zostały same.

– Co za sympatyczni mężczyźni! – wykrzyknęła Lidia.

– Owszem, sympatyczni – potaknęła Oliwia, dziwiąc się w głębi duszy, że sama nie określiła ich tym przymiotnikiem. Byli prawdziwymi mężczyznami, mówili literacką angielszczyzną i mieli maniery bez zarzutu,

no więc oczywiście byli sympatyczni, tylko że to określenie nie wyrażało istoty rzeczy. Lidia nie umiała się poznać na takich ludziach. Sympatyczni!

I Bob Quinton był sympatyczny, i Sydney Rooke też, i Mauregard też, i dwudziestu innych pospolitaków z otoczenia Lidii. Ale żeby Olifanta i Trionę włączyć do tej samej kategorii co oni, to już było śmieszne!

Lidia trzepała dalej: – Majora Olifanta znałam z twoich opowiadań. Ten drugi, taki młody ze zniszczoną twarzą, kto to taki?

– Triona. Aleksy Triona.

– Zdaje mi się, że słyszałam to nazwisko. Co on robi? Pisze? Maluje? Wygłasza odczyty o eugenicie?

– Napisał książkę o Rosji – wyjaśniła sucho Oliwia.

– Och, mam Rosji powyżej uszu. I zresztą nie przyszedłam do ciebie, żeby rozmawiać o Rosji, a w zupełnie innej sprawie. Zgadnij, co się stało? Sydney Rooke poprosił mnie o rękę.

Oczy Oliwii zajaśniały dziewczęcromantycznym zainteresowaniem.

– Moja droga! – wykrzyknęła. – To cudowne!

– Ba, żeby było cudowne! – odparła spokojnie wdowa. – Bądź co bądź, jestem wytracona z równowagi. Naturalnie, wiedziałam, że miał żonę, z którą rozszedł się już przed wielu laty. Nie wiem, jak to tam z nim było, dość że nie mógł dostać rozwodu. Ona była katoliczką. Teraz umarła, parę – 4 Ofiara jednego kłamstwa miesiący temu, w Kalifornii. Sydney przyszedł dziś rano do mnie z lady Northborough; jeszcze jej nie znałam. Wybrała sobie pół tuzina kapeluszy za jego radą; on ma niezawodny gust. Odprowadziwszy ją do auta, wrócił do mnie i rzekł: „Ja pani wyświadczyłem przysługę, teraz na panią kolej. Prosiłbym o pięć minut rozmowy w pani kancelarii”. Przeszliśmy do kancelarii i tu mnie oszołomił wieścią o śmierci żony i

oświadczynami.

– Nie, to musiała być nadzwyczajna chwila – upierała się Oliwia. – Ale – zmarszczyła brwi – po co on sprowadził lady Northborough?

– Jak to on...

– Co mu powiedziałaś?

– Że dam mu odpowiedź dziś wieczorem.

– I co?

– Nie wiem. Podoba mi się. Pieniędzy ma w bród, pamiętasz: chciał mi ofiarować samochód. Ma ogromne stosunki, pięćdziesiąt wiosen...

– Pięćdziesiąt! – przeraziła się Oliwia. Dla dwudziestotrzyletniej dziewczyny pięćdziesięcioletni mężczyzna jest zgrzybiałym starcem.

– Ideał wdów!

– Nadzwyczajne, ale nie romantyczne.

– Romantyczność przestała istnieć 11 listopada 1918 roku. Od tego czasu obowiązuje hasło: „Samodzielność dla kobiet, a resztę bierz lichy!”. Nie wiesz, że mężczyzn jest dużo, dużo mniej niż kobiet? Wobec tego jeżeli się zjawi konkurent z dwudziestoma tysiącami rocznego dochodu, kobieta powinna się dobrze namyślić...

– Ty masz głowę na karku – roześmiała się Oliwia. – Naturalnie, moja droga, ale czy on rzeczywiście jest taki bogaty? Czym on się zajmuje?

– O, nie bardzo się w tym orientuję. Jest dyrektorem czegoś i należy do jakiegoś przedsiębiorstwa.

– Kochasz go?

Lidia potrząsnęła głową, strojną w elegancki kapelusz.

– Nie. Muszę mu oddać sprawiedliwość, że był mi zawsze szczerze oddany. Ale, widzisz, małżeństwo... Nie wiem, jak ci to wytłumaczyć...

Pomimo swego cynizmu oszczędzała dziewczęcą wrażliwość przyjaciółki. Ale Oliwia machnęła pogardliwie ręką.

– Nie masz mi co tłumaczyć. Wszystko rozumiem.

– W takim razie... – Lidia urwała, zapaliła papierosa i usadowiła się wygodnie w rogu sofy z pieszczotliwym wdziękiem dużego kota. – Myślałam, że jesteś naiwna. Ale mniejsza z tym. W takim razie co mi radzisz?

Oliwia zobaczyła oczyma wyobraźni pana młodego – pięćdziesięcioletniego mężczyznę, udającego sposobem bycia i elegancją ubioru dwudziestopięcioletniego i ukrywającego pod pozorami powierzchownej doskonałości Bóg wie jakie grzechy, oschłość serca i pustkę umysłu. Na myśl o jego uwielbieniu dla Lidii, wstrząsnął ją dreszcz obrzydzenia. Zdawała sobie sprawę z tych rzeczy w sposób właściwy czystej, lecz nie naiwnej dziewczyny, ale nawet przed sobą samą nie odważyła się nazwać tego po imieniu. Samochód nie pomógł, więc zakochany uciekł się do obrączki. Przypomniała sobie wrażenie, jakie Lidia zrobiła na niej przy pierwszym spotkaniu w Londynie. Tak, i w tej chwili było od niej coś wyzywającym. Jakich wrażeń mógł wobec tego doświadczać w jej obecności taki Sydney Rooke? Przypomniała sobie określenie z jakiejś powieści: ponętna! Tak, Lidia była ponętna! Wstrętny, obrzydliwy wyraz! Och, jaki wstrętny! Oliwia zaczęła przeczuwać rzeczy dotąd jej nieznanne.

– Kochana, co ci jest?

Oliwia drgnęła, jak obudzona ze snu.

– To przecież okropne! – zawołała.

– Co takiego?

– Wyjść za człowieka, którego się nie kocha. Brr! Ja nie wyszłabym za

niego za żadne skarby świata.

– Dlaczegoż to, moja panno?

Ale Oliwia, niezdolna wyrazić słowami wewnętrzną odrazę, wyjąkała tylko: – Bo bez miłości nie...

Lidia roześmiała się i nazwała ją romantyczką. W małżeństwie nie idzie o miłość, lecz o zgodność temperamentów. Małżeństwo zawiera się nie dla przelotnego romansu, a na amen, do końca życia. W małżeństwie trzeba się przyzwyczaić do wzajemnej codzienności, do szlafroków i złych humorów. Sydney Rooke na pewno będzie nosił arcyeleganckie szlafroki. A co się tyczy humorów...

– O, on zawsze będzie układny jak na balu – zauważyła Oliwia.

– Nie rozumiem, jak ty możesz wyrażać się w ten sposób o Sydneyu – zirytowała się wdowa. – Jesteś niewdzięczna. Czy zrobił ci kiedy jaką przykrość? Doznałaś od niego tylko dobroci.

Oliwia przyznała jej słuszność.

– Ale – rzekła – miły znajomy nie zawsze nadaje się na męża.

– Przecież to ja wychodzę za niego, nie ty.

– Więc wyjdiesz za niego?

– Cóż mam robić? – odparła wdowa, powołując się ponownie na argument finansowy.

Oliwia spostrzegła, że wahania przyjaciółki pochodziły z głowy, a nie z serca i głowa zwyciężyła.

– Ty uważasz – rzekła Lidia tonem niemal usprawiedliwienia – że powinnam poczekać z wyjściem za mąż, dopóki się nie zakocham. No, czekałabym do sądnego dnia. Zdawało mi się, że byłam zakochana w biednym Fredzie, ale tylko mi się zdawało. Nie należę do kobiet

uczuciowych. Gdyby Fred żył, pozwoliłabym mu się uwielbiać i byłabym szczęśliwa, o ile tylko nie żądałby ode mnie wzajemności.

– Czy Rooke tego żąda?

Lidia roześmiała się wesoło i potrząsnęła głową. – Jestem przekonana, że w tym właśnie tkwi tajemnica jego pierwszego nieszczęśliwego małżeństwa – rzekła.

– Jak to?

– No, żona go uwielbiała i to go do niej zniechęciło.

Zegar na konsolce kominka wybił wpół do siódmej. Lidia wstała. Musiała jechać do siebie przebrać się, gdyż miała być z narzeczonym na obiedzie w Claridge'u.

– Cieszę się, żeśmy o tym porozmawiały – rzekła do Oliwii. – Musiałam ci się zwierzyć.

– Myślałam, że chciałaś mojej rady.

– Och, ty gąsko! – odparła Lidia, otulając się futrem.

Pożegnały się konwencjonalnym pocałunkiem i Oliwia wyprowadziła ją na schody. W chwili, gdy chłopiec otwierał drzwiczki windy, Lidia zapytała:

– Czy nie kupiłabyś ode mnie magazynu po cenie szacunkowej?

– Cóż znowu? Nie! – odparła zdumiona Oliwia.

Wdowa roześmiała się i, machnąwszy ręką w popielatej rękawiczce, ruszyła windą w dół.

Oliwia wróciła do bawialni i usiadła na fotelu koło kominka. Lidia i jej otoczenie dawało jej coraz bardziej do myślenia. Zastanawiała się nad bezideowością tych ludzi i nad ich hulaszczym życiem. Dumiała nad sobą, nad tym, do czego dojdzie, podtrzymując takie znajomości i przyjaźnie. Ale cała Anglia szalała tak jak oni. Co się stanie z Anglią? Czy dla takiego celu

jej bracia oddali życie? Czy po to bohaterska matka posłała na śmierć ojca? Czy major Olifant stracił rękę, a Triona wycierpiał dantejskie męki po to, żeby świat zamienił się w raj dla takich kobiet jak Lidia i takich mężczyzn jak Rooke?

Weszła Myra – chuda, apatyczna, mizerna, cała w eleganckiej czerni: jedwabnej bluzce, wełnianej spódnicy, jedwabnym fartuszką, i zaczęła sprzątać ze stolika. Oliwia, wyrwana z zadumy, spojrzała na nią i zapytała, siląc się na pogodny ton:

– Myra, powiedz mi, po co ty żyjesz?

Służąca odpowiedziała monotonnym głosem, nie przestając sprzątać: – Bóg mnie stworzył i kazał żyć. Muszę żyć i spełniać obowiązki.

– Jakież są twoje obowiązki?

– Panienska sama wie – rzekła Myra, przytrzymując nogą drzwi, żeby wyjść z tacą.

Oliwia wsparła się łokciami na poręczach fotela i przycisnęła palce do skroni. Służąca zganiła ją i jednocześnie oświeciła. Nigdy przedtem sfinksowata Myra nie wypowiedziała się tak otwarcie. Może dlatego, że wcześniej nie miała okazji. Zapytana, odpowiedziała z całą bezpośredniością, właściwą swojej naturze. Oliwia doświadczyła łaski pokory. Bezinteresowne oddanie zachwyci i prostaka i mędrca. Czym było jej życie od dnia wyjazdu z Mediów, w zestawieniu z idealizmem tej prostej kobiety, niemłodej, samotnej znajdy, nic nie znaczącej na świecie, a przecież posiadającej swoją własną filozofię – więcej: religię życia i kierującej się niezłomnie poczuciem obowiązku? Na skali etycznej pani, oddana tylko rozrywkom i przestająca z hulaszczą zgrają, była dużo mniej warta niż pokorna służąca.

Oliwia wstała i rozejrzała się po bawialni, przyozdobionej artystycznymi drobiazgami. Na co to wszystko? Co ona tu robi? Na co trwoni złote dni młodości? Na co zużywa dary serca i umysłu? Do czego dąży? Na czym skończy? Cz na tym, że sprzeda się za futra, jedwabie i klejnoty człowiekowi w rodzaju Sydneya Rooke'a w zamian za swoją urodę, żeby się nią chwalił przed bezdusznym światem? Żeby miał na co wydawać pieniądze?

– O, lepiej wrócić do Mediów, do cichego, porządnego życia! Weszła Myra: – Panienska ma zaproszenie na obiad?

– Nie, dzięki Bogu! Narzucę na siebie cokolwiek i zejdzę na dół. Zjadła obiad w kąciku restauracji domowej, po czym zabrała się do książki Triony „Przez krew i śnieg”, kupionej tego dnia rano. Czytała ją już raz jesienią, lecz dorywczo, jak większość książek, zwłaszcza pożyczonych. Pomimo to była zachwycona.

Tym razem ze znanych kart wyjrzała potężna indywidualność autora, który przestał być dla niej abstrakcją. Poszła spać o drugiej.

ROZDZIAŁ VIII

Triona nie miał luksusowych upodobań, na które mógłby trwonić swoje literackie zarobki. Smakoszem nie był, o wino nie dbał, innych napojów luksusowych używał wstrzemięźliwie, palił, w przeciwieństwie do większości ludzi, wychowanych w Rosji, umiarkowanie. Poza tym ubierał się skromnie, Triona patrzył oczarowany. Wybrała pół tuzina krawatów w nienagannym guście. Miała tyle zmysłu artystycznego, że się na tym poznał. Poszedł do kasy uregulować rachunek i wróciwszy, odebrał od subiekta paczkę z miną człowieka, otrzymującego order z rąk króla. Skierowali się ku wyjściu; Oliwia rzekła zakłopotana:

– Trochę mi wstyd, żeśmy tak poszaleli.

– Jeżeli szaleństwo jest takie, zgodzę się wariować. Dostrzegł pytające spojrzenie jej oczu i zaczerwienił się.

– Może źle się wyraziłem? Nie jestem jeszcze mocny w języku angielskim.

Oliwia, widząc jego zmieszanie, roześmiała się wesoło. – Nie, nie. Lubię mocne przenośnie.

Deszcz ustał i w chwilę później pomocnik sklepowy, ubrany w płaszcz nieprzemakalny, sprowadził taksówkę. Triona pomógł wsiąść Oliwii. Podała mu rękę.

– Do widzenia. Cieszę się, że poznałam pana z ludzkiej strony.

Auto ruszyło. Stał na chodniku, z uśmiechem odprowadzając wzrokiem oddalającą się taksówkę. Jej pożegnanie wydało mu się bardzo oryginalne! Ale po niej spodziewał się tylko niespodzianek.

Od tego spotkania upłynęły trzy dni. Myślał o niej dniem i nocą. Stracił spokój ducha, zaczął się zaniedbywać w pracy. Widział ją oczyma wyobraźni, jak żywą: nieświadomie ponętą, a jednak dziecięco prostą i szczerą, uduchowioną, a przecież po ziemsku kobiecą. Za pierwszym razem objawiła mu się wspaniale i strojnie, w futrze i toalecie wieczorowej; za drugim dziewczęco, w bluzce domowej, nad stolikiem z herbatą, taktownie uprzejma, tak samo dla niego, jak i dla majora; za trzecim – na deszczu w piaskowym kostiumie, ale elegancka i wesoła. Czuł jeszcze na rękawie przyjazne dotknięcie jej ręki.

I teraz znów błędził wiosenną nocą w uśpionym mieście niby zakochany trubadur. Ale co tam! Wzruszył ramionami i skręcił w Victoria Street. Może przyjdzie taki cudowny dzień, kiedy powie jej, że warował nocą na chodniku, wypatrując jej okna na piątym piętrze. Było to, bądź co bądź, poetyczne, fantastyczne, rosyjskie. Tak, dojdzie do jej domu i wróci pieszo. Będzie miał porządny spacer.

Szedł tak zamyślony, że o mało nie wpadł na taksówkę. W chwilę później usłyszał brzęk szkła i zgrzyt hamulców i oprzytomniał. Taksówka stała na środku jezdni. Szofer wysiadł szybko i otworzył drzwiczki. Z wnętrza wyłoniła się biała postać kobieca, a za nią męska. Oboje byli w wieczorowych strojach. Wybuchła sprzeczka. Triona, przypuszczając, że to jakiś wypadek, przyspieszył bezwiednie kroku.

– Co się stało?

Spojrzał uważnie i skamieniał. Przed nim stała Oliwia, wzburzona, rozdygotana, blada jak płótno, z oczami w ogniu. Ale poznała go od razu i chwytając kurczowo za rękę, krzyknęła: – To pan?

Triona wyprostował się, jakby sposobił się do walki, i spojrzał na

szofera, potem na tęgiego, śniadego pana we fraku, a w końcu na nią.

– Co się stało proszę pani? – zapytał energicznie.

– Ten... pan... chciał mnie znieważyc – wyjąkała panna.

Oliwia sama nie wiedziała, jak się to stało, dość że młody człowiek wykonał nagły ruch, a pan we fraku runął ciężko na bruk.

– Dobrze psubratu – rzekł szofer – ale kto mi zapłaci za stłuczoną szybę?

– O, zapłacimy panu! – zawołała Oliwia. – Panie Triona, niech mu pan zapłaci i chodźmy.

Triona rozejrzył się po ulicy.

– Nie, ten pan zapłaci – rzekł spokojnie, podchodząc do swej ofiary, która się tymczasem pozbierała.

– Proszę, zapłać pan natychmiast szoferowi, bo jak mi Bóg miły, walnę pana drugi raz. Nim się zjawi policja, będziesz pan sztywny.

– Dobrze! Dobrze! – zgodził się pośpiesznie tamten. – Nie mogę dopuścić do awantury ze względu na panią. Ile? – zwrócił się do szofera.

– Kurs i szyba razem dziesięć funcików.

Pan we fraku wyjął portfel. – Masz, złodzieju!

– Tylko bez komplementów, bo wydam taką resztę, że się pan nie pozbierasz – odpowiedział szofer, chowając pieniądze.

Triona, czekając na dokończenie tego doraźnego wymiaru sprawiedliwości, stał przy Oliwii w obronnej pozie. Potem ujął dziewczynę pod rękę.

– Odprowadzę tę panią do domu; to kilka kroków stąd.

– Dobrze, proszę pana. Dziękuję panu – rzekł szofer. – Dobranoc.

Oliwia i Triona oddalili się chodnikiem. Między pozostałymi wybuchła ostra sprzeczka.

– Proszę mnie zawieźć do Porchester Terrace. Zapłacę funta.

– A nóg pan nie masz? – odrzyknął szofer, ujmując kierownicę.

– Leć pan, to zapłacę funta dla uciechy.

Zapukał do drzwi i mijając młodą parę, rzucił im wesołe „Dobranoc”.

– Mówią, że cuda się nie zdarzają – szepnęła Oliwia – ale to nieprawda.

Gdyby pan nie spadł z nieba...

– Niech mi pani opowie, jak to było.

– Przecież pan już wie.

– Powiedziała pani tylko, że chciał panią znieważyć, i to mi wystarczyło.

– Och, Boże, jak mi wstyd! – zawołała, załamując ręce. – Co pan sobie o mnie pomyśli?

Jemu zaszumiało w głowie, lecz zdołał się opanować.

– Nie powiem, bo mógłbym powiedzieć za wiele. Chcę wiedzieć, co się właściwie stało... O, przepraszam panią – urwał spostrzegłszy, że Oliwia utyka, i spoglądając na jej nogi. – Pani zgubiła pantofelek.

– Ach... prawda! – przystanęła. – Nie zauważyłam. Musiałam zostawić w taksówce, bo zdjęłam go z nogi i wybiłam szybę obcasem. Zdaje mi się, że uderzyłam tego łotra w twarz.

– Wskoczył z auta, nim zdążyłem nadbiec.

– Nie. Gdyby nie pan, to w ogóle nie wiem, co by się stało.

Ulica była pusta. Księżyc stał wysoko na niebie, oblewając ich srebrzystym światłem. Triona w codziennym, szarym ubraniu i miękkim kapeluszu wyglądał przy wystrojonej panie trochę zabawnie. Ale od obojga było jednakową, płomienną młodością. Opowiedziała mu szczegółowo przebieg swej przygody. Była w klubie Percy z towarzyszeniem Lidii, pod jej nominalną opieką. Jeden z mężczyzn, znajomy czy przyjaciel Rooke’a,

nazwiskiem Edvin Mavenna, ofiarował się odwieźć ją do domu. Zgodziła się. Była zmęczona, nie chciała psuć zabawy Rooke'owi i Lidii, którzy mieli jeszcze ochotę zostać. Bob Quinton zirytował ją swoją wieczną piosenką na temat kłopotów sentymentalnych i finansowych i zresztą spotkała się z Mavenną nie pierwszy raz. Ale już w połowie drogi pożałowała swej decyzji, a wkrótce potem ogarnął ją strach. Przy wjeździe w Victoria Street zdołała wyrwać natrętowi jedną rękę i wybić szybę zdjętym z nogi pantofelkiem.

– Nigdy już nie pojedę do tego obrzydliwego klubu! Nigdy!

– Ja na pani miejscu pojechałbym – rzekł spokojnie Triona.

– Dlaczego?

– W każdym razie choćby jeden raz. Żeby dowieść sobie, że się nie boję.

– Kiedy ja się boję. Na oko wydaje się, że to przyzwoite towarzystwo, a w gruncie rzeczy, to najgorsze męty. Dlatego boję się.

– Nie, panno Oliwio. Może pani być zaskoczona, wytrącona z równowagi, może to być wstrząs, gniew ale nie strach. Ja się na tym znam. Wiem, jak się objawia strach. Pani nie była przestraszona, od razu to zobaczyłem.

Stanęli przed bramą jej domu. Uśmiechnęła się wesoło jak zwykle.

– Dosyć na dzisiaj, błędny rycerzu; już mnie pan pocieszył i uspokoił.

Tylko jakim cudem zjawił się pan tak bardzo w porę?

– Gwiazdy mnie przywiodły – rzekł, pokazując szerokim ruchem niebo.

– Śmiertelnicy starają się w nich czytać od tysięcy lat, bez skutku.

Wyszedłem powłóczyć się po mieście. Nieraz wędruję całymi godzinami;

jestem urodzonym włóczęgą, mam włóczęgowską wiarę w przypadek i

gwiazdy. I tym razem instynkt mnie nie zawiódł.

Oliwia otworzyła bramę swoim kluczem i stanęła na tle ciemnego wejścia świetlisto-biała, jak widmo. Wyciągnęła rękę.

– Wśród tych wszystkich niemiłych wrażeń, tak straciłam głowę, że nawet panu nie podziękowałam. Pan nie wie, jak bardzo jestem panu wdzięczna. Powiem innym razem.

– Jutro? – zapytał skwapliwie.

Zawahała się. – Niech będzie jutro – szepnęła. – Będę cały dzień w domu. Dobranoc.

Podali sobie ręce, drzwi zatrzęsły się i Triona został sam. Był tak oczarowany, że pusta, banalna ulica wydała mu się nagle księżycową krainą z bajki.

Wrócił do hotelu o czwartej rano. Ale już tej nocy nie spał. Nie pragnął snu. Nie chciał przesłaniać radosnej świadomości mgłą nieświadomości. Spać, kiedy gwiazdy gratulowały mu szczęścia? Przenigdy. Przeżywał w wyobraźni niezwykłą przygodę, ciągle od początku, drżąc z wewnętrznego podniecenia. Widział wciąż ten obraz: oszołomiony szofer, elegancki, tęgi jegomość w rozpiętym płaszczu, ukazującym biel gorsu i kamizelki; wysmukła kobieta w białym futrze, czarnooka, czarnowłosa. A potem świadomość męskiej siły, ten cios między oczy i powalenie łobuza na bruk. W każdym razie coś dla niej zrobił, coś potwierdzającego na dobrą skalę heroiczno-romantyczne przeżycia, opisane skromnie, lecz żywo w książce, która przyniosła mu sławę.

Na tym punkcie był specjalnie drażliwy. Wielu Anglików, którzy bawili w celach wywiadowczych na terenach przez niego opisanych, poddawało w wątpliwość jego twierdzenia i domagało się dowodów.

Odpowiadał rzeczowo, że sfera działalności rosyjskiego wywiadu, do którego należał, była z konieczności nieprzenikniona dla wywiadu państw europejskich i że urzędowe dowody przypadły w czasie zamętu rewolucyjnego. Na szczęście znalazł się człowiek, który uciszył swoim wielkim autorytetem hordę krytyków. Pomimo to nagonka na Trionę niezupełnie ustała. Oczywiście, nie mógł dostarczyć żadnych dowodów. Wszak wrócił do Anglii w łachmanach. Mogli mu wobec tego wierzyć albo nie wierzyć. Ale żył w ciągłej trwodze, że odbiorą mu zdobytą sławę i popularność i uznają go za oszusta.

Najbardziej zależało mu na opinii Oliwii. O to gotów był walczyć do upadłego. Żałował, że nocny przeciwnik okazał się takim tchórzem, żałował, że w ogóle nie było ich z pięciu! Dopiero by dowiódł Oliwii że to co pisał o swoich przygodach, nie było kłamstwem. Należał do ludzi u których triumf wywołuje potrzebę następnego sukcesu. Nie zmrużywszy oka wstał i ubrał się z przykrym uczuciem, że się właściwie skompromitował, bo cóż to za chwała pokonać przeciwnika, który nie próbuje się bronić” A więc ni podniósł w jej oczach wiarygodności swej książki ani na jotę a tylko to jedno mogło mu zjednać u niej łaskę. O tym, że książka była genialna nie myślał, czy nie wiedział. Na razie nie mógł się nadziwić, że posiadał się zamieniania rękopisu na czeki i banknoty. Pisać oznaczało zdobywać pieniądze. Nie bogactwo na wielką skalę, ale tyle, żeby żyć zupełnie przyzwoicie, bez konieczności powrotu do pracy szofera Książka nad którą właśnie pracował, była pisana dla pieniędzy; książka, którą wydał była samym życiem. Nie, teraz już czymś więcej, bo miłością Zjawił się w mieszkaniu na Victoria Street punkt o dwunastej. Surowa Myra zmierzyła go niechętnym spojrzeniem. Uważała, że tacy jak

on powinni przychodzić tylko w porze podwieczorku, a na dobrą sprawę – Nazwisko? – zapytała.

– Triona.

– Panienska jest w domu, proszę pana rzekła, gdyż Oliwia uprzedziła ją, kto przyjdzie – ale ubiera się i nie wiem, czy będzie mogła pana przyjąć – Proszę powiedzieć panience, że jestem na jej rozkazy i jeżeli nie może mnie przyjąć teraz, to przyjdę później.

Myra zostawiła go w przedpokoju i poszła do Oliwii już zupełnie ubranej i tylko polerującej paznokcie.

– Jesteś niemożliwa – rozgniewała się panna, wysłuchawszy raportu – Tak traktujesz człowieka, który wyratował mnie ze złej przygody?

– Dla mnie tam wszyscy mężczyźni są jednakowi – odparła nie wzruszona pokojówka. – Na drugi raz każe mi panienska przyjąć tamtego który panienkę obraził.

Oliwia nie słuchała. Wpadła do przedpokoju i wciągnęła gościa do bawialni.

– Jaki pan dobry, że pan przyszedł tak wcześniej.

– Byłem niespokojny...

– O co?

– O panią. Ta nocna awantura musiała panią zdenerwować – Naturalnie – odpowiedziała z uśmiechem – ale nie aż tak zęby musiano wzywać lekarzy. Nie jestem specjalistką od omdleń i spazmów.

– Spała pani dobrze?

– Nie – odpowiedziała szczerze. – Nie spałam. Byłam wytrącona z równowagi. I zresztą...

– I zresztą co?

– Przyszło mi do głowy, żeby sporządzić sobie bilans moralny. Arytmetyka nastraja mnie zawsze do snu, ale to podziało wręcz przeciwnie. Pan rozumie...

Triona popatrzył uważnie na jej ożywioną twarzyczkę i zobaczywszy, że ma podbite oczy, wykrzyknął:

– Pani jest zmęczona! Do licha! – zerwał się i dodał gniewnie:

– Powinna się pani natychmiast położyć. Pani służąca ma rację. Nie powinienem był przychodzić o tak wczesnej godzinie.

– Gdyby pan nie przyszedł – odparła Oliwia ciesząc się w duszy jego oburzeniem – pomyślałabym, że przy świetle dziennym moja nocna przygoda wydała się panu błaha i pan o niej zapomniał.

– Niemożliwe – rzekł. – I ja nie zmrużyłem oka.

Spojrzeli sobie w oczy i patrzyli tak dłuższą chwilę, aż Oliwii uderzyła krew do twarzy. Zła na siebie, zawołała:

– Pan tyle razy patrzył śmierci w oczy, że to zajście musiało się wydać panu nedorzeczne. Co to było w porównaniu z tym... kiedy... kiedy pan bezbronny walczył z wartownikiem i zabił go jego własnym bagnetem.

Strzepnął palcami i uśmiechnął się lekceważąco. – Ach, wtedy nikomu nie zależało na moim życiu czy śmierci, a i mnie samemu nie bardzo. Walczyłem przez prosty instynkt samozachowawczy. Dziś w nocy broniłem pani, a to wielka różnica.

Oliwia wstała i wzięła ze stolika papierosy. – Pan pali?

Wziął papierosa i zapalił trochę drżącymi palcami, a ona mówiła dalej:

– Tak, z kobietami tak już jest. Zawsze wchodzimy w drogę. „Najpierw kobiety i dzieci!” Dlaczego nas nie wyrzucają za burtę, żeby mogli się ratować ci, którzy są pożyteczniejsi? Tego nie rozumiem.

Słuchał z przerażeniem wyznawcy, w którego obecności bluźnią przeciwko jego świętości, lecz śmiech dziewczyny brzmiał mu w uszach jak najpiękniejsza muzyka.

– Wie pan – dodała – brakuje mi świeżego powietrza. Z przyjemnością pojechałabym na parę godzin do Richmond Parku.

– I ja również! – westchnął. – Gdybym miał samochód.

– A to nie ma autobusów?

Zerwał się uradowany. Jego bóstwo w autobusie! Jego bóstwo, które powinno jeździć rydwanem, zaprzężonym w gołębie!

– Czy pani rzeczywiście zgodziłaby się pojechać autobusem?

– Och, naturalnie! Natychmiast. Tylko włożę kapelusz.

Zostawiła go na chwilę samego, oszołomionego, szczęśliwego i wróciła roześmiana w kapeluszu i rękawiczkach.

– Ale czy pan naprawdę ma ochotę? A pańska praca?

– Moja praca potrzebuje świeżego powietrza tak samo jak ja. Pojechali na dachu autobusu. Słońce świeciło, a oni cieszyli się jak dzieci.

W Richmond zjedli lunch, a potem zwiedzili stare miasteczko. Na moście stali bardzo długo, zachwycając się zakrętem rzeki i śliczną, świeżą zielenią, porastającą brzegi. Później poszli w głąb parku i usiedli pod drzewem. Niedaleko w cieniu pasły się daniele. Gawędzili od niechcienia, ale uszczęśliwiała ich głównie poczucie swobody i odosobnienia. Ona mówiła więcej, gdyż on uprzedził ją:

– Taki jestem znużony mówieniem o sobie! Ostatnio byłem do tego zmuszony, tak że stało się to u mnie literackim nawykiem. Zresztą pani już wszystko o mnie wie. Za to ja nie wiem o pani prawie nic. Nie znam w ogóle Angielek. Pani jest dla mnie tajemnicą. Niech mi pani opowie o sobie.

Oliwia zaczęła: – No więc, urodziłam się w – nie powiem roku – z rodziców biednych, lecz uczciwych...

Ale ponieważ słuchał z wielkim przejęciem i zaznaczał, że pamięta jej dom do najmniejszych zakamarków, zaniechała żartobliwego tonu i opowiedziała prosto i szczerze dzieje swego bezbarwnego życia. Tylko pod koniec, powodowana kobiecą chytrą i świeżą nieufnością do mężczyzn, wynikłą z przygody ostatniej nocy, zapytała podstępnie:

– Czy pan widział pokój mojej matki?

– Chyba nie. To pewnie ten, którego Olifant nie pozwala otwierać?

Zawstydzona swego niegodnego podejrzenia i jednocześnie uradowana, że major nie pozwolił zajrzeć do zakazanego pokoju nawet przyjacielowi.

– Major Olifant jest wyjątkowo szlachetnym typem angielskiego dżentelmena – rzekła gorąco.

W oczach Triony zamigotała trwoźna zazdrość, ale odpowiedział takim samym tonem: – Nie potrzebuje pani mi tego mówić. Olifant jest dzielny, skromny, niesłychanie subtelny i tak dalece kulturalny, iż wydaje się, że nie wie nic i dopiero gdy się zacznie z nim rozmawiać, okazuje się, że wie wszystko. Kocham go.

– Cieszę się, że pan to mówi.

– Dlaczego? Czy pani go tak uwielbia?

– Nie dlatego – odparła. – Ze względu na pana. Tak miło jest usłyszeć, gdy jeden człowiek oddaje sprawiedliwość drugiemu. – Wyciągnęła przed siebie ręce takim ruchem, jakby chciała porwać w objęcia cały park. – Kocham wielkie rzeczy.

Triona podziękował w duszy swojej gwieździe, że wiodła go zawsze

drogą prawdy.

Może czuli oboje, że choćby mieli żyć bardzo długie lata i przejść przez klęski życiowe, jakie gotuje ludziom przeznaczenie, to ta wiosenna idylla pozostałaby dla nich zawsze światłem w mroku. Miłość owiewała ich potężnym urokiem. Ją, jako kobietę, ciągnęły do niego ciężkie przeżycia i odwaga, jego do niej – jej piękno i wdzięk. On widział ją pierwszy raz na tle przyrody, swobodną i nieuchwytną jak leśną nimfę. Ona zapomniała o jego niepokojącej rosyjskości. Oddawali się czarowi chwili, pełnej delikatnych słodkich niedopowiedzeń. Może wspomnienie tego dnia miało pozostać cenniejsze dla niej niż dla niego. Mężczyźni nie przechowują wspomnień tak troskliwie jak kobiety.

Może gdyby jej wyznał miłość, padłaby mu w ramiona i wróciliby do Londynu pijani szczęściem. Ale może wspomnienie straciłoby na tym. Jednak nie doszło do niczego wyraźnego. Triona milczał, powodowany szacunkiem dla jej bezbronności i ufności. Ona wdzięczna mu była za wczuwanie się w nastrój chwili. Bo jak to łatwo naruszyć delikatną harmonię serc jednym niezręcznym słowem! Wspomnienie miało pozostać nieskażone i nierozdzielnie związane z obrazem wiosennej zieleni.

Wrócili dosyć późno autobusem. W drodze mówili niewiele, tylko wymieniali spojrzenia i uśmiechy. Odprowadził ją z przystanku do bramy domu.

– Śpiewają mi w uszach pani słowa: „Kocham wielkie rzeczy!” – rzekł przy rozstaniu. – Dla mnie dzisiejszy dzień jest wielką rzeczą.

– I dla mnie też – odpowiedziała.

– Naprawdę?

– Naprawdę.

Pośpieszyła do mieszkania czując zamęt w głowie. W ciągu ostatniej doby zaszło tyle rzeczy... Kiedy Triona zabierał ją na wycieczkę, była jeszcze pod wrażeniem nieprzyjemnej nocy, teraz przeszło jej to bez śladu. Czuła w sobie tylko zwycięską miłość i radość życia.

– Hm! Dobrze panience zrobiła ta wycieczka – zaopiniowała apatycznie Myra, wpuszczając ją do przedpokoju.

– Pierwszy raz wyrwałam się z dusznego więzienia...

– Panienska musi wiedzieć, co mówi – mruknęła służąca.

Oliwia roześmiała się gwałtownie. – Jeszcze nie spotkałam takiej więdźmy jak ty.

– Ano, to ma panienska szczęście – odparła pokojówka, znikając w drzwiach kuchni.

Oliwia wbiegła tanecznym krokiem do bawialni i zaczęła zdejmować rękawiczki. Nagle wzrok jej padł na list, leżący na stoliku. Poznała charakter pisma i zmarszczyła brwi. Bob Quinton, a on znowu czego? Ratunku, pomocy, litości! Tarapaty – sprzedał futro, zegarek, dewizkę, spinki i jeszcze mu zabrakło. Za dwa tygodnie będzie miał do dyspozycji dużą sumę, ale na razie jest w sytuacji rozpaczliwej, śmiertelnej, bez wyjścia. Pięćdziesiąt funcików na dwa tygodnie! Czyby najdroższa, szanowna, łaskawa... ?

Oliwia wypisała czek i włożyła do koperty. Tylko czek. Poza tym nie przesłała samozwańczemu ulubieńcowi ani jednego uprzejmego słowa. Nie mogła.

ROZDZIAŁ IX

Oliwia doczekała się nareszcie prawdziwie romantycznej przygody. Triona mógł się nie obawiać, że jej nie zaimponował. Rzucił się na Mavennę jak dziki człowiek, ale potem opanował sytuację w sposób cywilizowany. Przypomniała sobie ustęp z jego książki „Przez krew i śnieg”, o opanowaniu góralskiego plemienia na Uralu i przywróceniu mu niezawisłości. W tym zestawieniu był cały Triona: człowiek czynu, przemocy i wreszcie sprawiedliwości. Wyobraziła go sobie żywo na czele tych dzikich górali w baranich kozuchach, a potem jako więźnia bolszewickiego, wreszcie jako uciekiniera, przedzierającego się przez wrogi kraj.

Po wycieczce do Richmondu zrozumiała, jakim cudem zjednywał sobie serca, żywność i schronienie tam, gdzie ludzie sami przymierali głodem, a przyjęcie pod dach nieznajomego włóczęgi równało się kuli w łeb.

Pomyślała o Mavennie i znów przeszedł ją dreszcz obrzydzenia. Nie pamiętała, co mówił, dusząc ją w niedźwiedzich ramionach i zasypując ohydnyimi pocałunkami. Krzyczeć nie mogła, bo jakimś sposobem przygniótł jej gardło. Zdołała tylko ściągnąć wolną ręką pantofelek i trzasnęła obcasem w szybę. Gdyby wróciła sama do domu, pewnie by dostała spazmów ze strachu i wstrętu, ale na szczęście znalazł się dzielny obrońca. Dwa biegunowo przeciwne wrażenia zneutralizowały się i wewnętrzna równowaga pozostała nienaruszona. Chciała to, co prawda, przypisać nocnym refleksjom. Potem nastął cudowny dzień, w którym obrońca okazał się, na domiar szczęścia, bratnim duchem. Nic więc dziwnego, że czuła się po tym wszystkim jak nieprzytomna.

Na drugi dzień poszła do Lidii i, zamknawszy się z nią w kancelaryjce, upamiętnionej oświadczynami Rooke'a i dusznej od perfum, opowiedziała o swojej nocnej przygodzie. Lidia wysłuchiwała przyjaciółki z cierpliwą tolerancją.

– Hm! – rzekła, gdy opowieść dobiegła końca. – Mówiłam ci, że młoda kobieta powinna się przede wszystkim nauczyć dawać sobie radę.

Londyn, moje dziecko, to nie prowincja.

Oliwia zaczerwieniła się. Ależ ona umie dawać sobie radę! Tylko ten brutal, Mavenna, co on sobie myślał?

– Wszyscy znają Mavennę – odparła Lidia. – Żadna rozsądna dziewczyna nie pozwoliłaby mu się odwozić po nocy.

– I pomimo tej reputacji przyjaźnicie się z nim, ty i Sydney?

Lidia wzruszyła pulchnymi ramionami. – Moja droga, gdybyś żądała od każdego nowego znajomego czy znajomej świadectwa moralności, potwierdzonego przez niebiańskie urzędy, to musiałabyś się wyprowadzić na bezludną wyspę.

– No dobrze, ale to jest podły człowiek i ty o tym wiedziałaś – zawołała Oliwia.

– Tak, święty to on nie jest...

– Ależ, na Boga, czyż to nie dosyć?

Oliwia drżała ze wstrętu, Lidia jednak zachowała filozoficzny spokój.

– Co byś zrobiła na moim miejscu?

– Nie mogłabym się znaleźć na twoim miejscu, jestem na to za rozsądna.

– Nie rozumiem?

– Moja droga, znajomość natury mężczyzn jest początkiem mądrości.

– I ja powinnam była wiedzieć?

– Naturalnie. W każdym razie będziesz wiedziała na przyszłość.

– Będę. Będę! – krzyknęła gniewnie Oliwia, porywając z sofy ozdobną poduszczkę. – I jeżeli kiedy...

– Uspokój się, mała, podrzesz mi poduszkę – rzekła spokojnie Lidia.

Oliwia cisnęła z pasją poduszkę.

– Proszę cię, powiedz mi, czy ty i Sydney zamierzacie się nadal przyjaźnić z Mavenną.

– Musimy, kochanie. Sydney ma z nim tyle wspólnych interesów, że...

– Dobrze. Przy następnym spotkaniu zajrzyj mu w oczy i zapytaj, co sądzi o moim obcasie i o pięści pana Triony. To nie tylko zwierzę, to nędzny robak. Dał się powalić człowiekowi o połowę mniejszemu od siebie i potem podniósł się i... – Zaśmiała się trochę histerycznie. – To kreatura, jedyna w swoim rodzaju!

Lidia potrząsnęła jasną głową. – Współczuję ci, moja droga, ale on jest zasadniczo w porządku.

Ofiara jednego kłamstwa – Dosyć! – krzyknęła Oliwia i wypadła, jak mały huragan do sklepu, a stamtąd na ulicę, na szeroką przestrzeń i powietrze. Od tej chwili skończyła raz na zawsze z nocnym życiem i dancinami.

W kilka dni później Lidia zjawiała się u niej jakby nigdy nic. Najwidoczniej opierała filozofię życia na przekreślaniu przeszłości i wczoraj znaczyło dla niej tyle co zeszłoroczny śnieg. Zaprosiła Oliwię na lunch do jakiegoś nadrzecznego klubu. „Zgoda, kochanie? Sydney zabierze po drodze Mauregarda i przyjedzie po nas... „ Dzień był ciepły i pogodny, perspektywa ujrzania rzeki i zieleni okropnie nęcąca, a Mauregard bardzo sympatyczny.

Zresztą Oliwia zaczęła traktować Lidie humorystycznie. Zgodziła się. Przyjaciółka zaczęła opowiadać o swoich planach: ślub miał się odbyć w połowie lipca, na razie robiła wyprawę... „Moja droga, ja przecież nie mam się w co ubrać”... Poważny nastrój wyrażał się u niej zawsze określeniami modniarskimi...

– I ty musisz sobie coś sprawić. Przecież będziesz na moim weselu.

– Ja? – zdziwiła się Oliwia, bo pierwszy raz o tym słyszała. – A kto będzie drużbą, Mavenna?

Lidia zrobiła zgorszona minę. Tak by zareagowało zgromadzenie pierwszych chrześcijan, gdyby mu zaproponowano zaproszenie na uroczystą wieczerzę ducha Poncjusza Piłata.

– Kochanie, chyba nie przypuszczasz, że zaprosimy tego draba na nasze wesele?

– Tak? – odparła sucho Oliwia. – Przecież dałaś mi do zrozumienia, że jesteście z nim w serdecznej przyjaźni.

Lidia westchnęła. – Ty nigdy nic nie rozumiesz.

I nieporozumienie, jeżeli to można tak nazwać, zostało załagodzone. Oliwia opowiedziała o tym Trionie, nazywając postępowanie koleżanki gruboskórną wspaniałomyślnością.

Znajomość młodej pary robiła obiecujące postępy.

Pewnego wieczoru Janett Philimore zaprosiła oboje do jakiegoś kobiecego klubu na obiad, wydany na cześć Triony. Młody autor zachowywał się ujmująco skromnie, podczas gdy gospodynie przemawiały z wysokiego tonu. Oliwia pierwszy raz znalazła się w towarzystwie działaczek. Jej sąsiadka, Agnes Blenkiron, młoda panna, która byłaby ładna, gdyby nie tłusta cera, wymagająca pudru, niedbała fryzura, przypominająca wronie

gniazdo i zielona suknia, podkreślająca niezdrową barwę cery, zapytała ją, co zamierza robić w Tygodniu Niemowlęcia. Oliwia wyznała szczerze, że nie zna się na niemowlętach, na co usłyszała agitacyjny wykład o pielęgnowaniu niemowląt przed i po urodzeniu. W miarę jak z ust uświadomionej panny sypały się coraz nowe rewelacje, robiło jej się coraz nieprzyjemniej. Znekana fizjologią kobiecą, psychologią i medycyną, chciała nawiązać rozmowę z sąsiadem po drugiej stronie, sympatycznym panem w średnim wieku, ale nie zdołała. Zacierzewiona panna była bez litości. Oliwia dowiedziała się, że stowarzyszenie liczyło parę tysięcy członkiń i że wszystkie były przepojone tymi samymi ideami. Nastrój stawał się upiorny.

– Miałyśmy mówić o Rosji – zaprotestowała.

– Mówimy o Rosji... Przyszłość rasy ludzkiej leży w rękach tysięcy niemowląt rosyjskich, jeszcze spoczywających w łonie matki...

Oliwia zdobyła się z wysiłkiem na przebłysk humoru: – A cóż to za gigantyczne łono?

– Tak, to wielka rzecz – zgodziła się surowo agitatorka i prowadziła propagandę, dopóki nie zaczęły się przemówienia. Oliwia zlekła się już, że została skazana na dożywotnie członkostwo okropnego klubu.

A jednak pomimo tego udręczenia zdała sobie sprawę, że dziwna rozmowa pobudziła ją do myślenia i zastanowienia się nad zebranymi osobami. Dla tych kobiet obecny stan świata był doniosłym problemem. Towarzystwo Lidii nie dbało o nic z wyjątkiem zabawy i tylko jeden Sydney Rooke zaznaczał, że na świecie niedobrze się dzieje, bo jego interesy szwankują. Tutaj, przeciwnie, wszyscy interesowali się losami kraju i ludzi, a honorowy gość, Triona, symbolizował kolosalny zamęt

społeczny na wschodzie, z którego wyszedł z życiem prawdziwym cudem. Toteż patrzono na niego jak na proroka.

– Takich ludzi jak on powinno się znać osobiście – szepnęła panna w zielonej sukni, gdy przewodnicząca skończyła przemawiać i usiadła. – Chciałabym go poznać.

– Tak? – spytała Oliwia. – To się łatwo da zrobić, bo jestem z nim w przyjaźni.

I o mało się nie roześmiała, z takim szacunkiem spojrzała na nią tamta.

Triona zachowywał się imponująco. Oliwia nigdy jeszcze nie była na oficjalnym bankiecie i wydawało jej się, że nastrój ogólnego uwielbienia musiał na niego działać denerwująco. Kiedy wstał i odgarnąwszy ze skroni włosy, zaczął przemawiać, przeszedł ją dreszcz obawy. Wyglądał tak młodo, tak niemal chłopięco... Ale prędko się uspokoiła. Triona przemawiał do tego zgromadzenia, złożonego przeważnie z kobiet, tak swobodnie i entuzjastycznie, jak do niej, gdy byli sami. I faktycznie przemawiał głównie dla niej. Widziała to po jego oczach. Serce biło jej przyśpieszonym rytmem. Wszyscy słuchali go, ale ona jedna rozumiała do głębi. Był, jak zwykle, trochę zdenerwowany. Używał malowniczych i poetycznych zwrotów, a jeżeli nawiązywał do osobistych przeżyć, to tylko z konieczności. Jego skromność była ujmująca. Rozwinął feministyczne założenie logicznie i dramatycznie, dowodząc rzeczowo, że przyszłość cywilizacji spoczywa w rękach cywilizowanych kobiet.

Dostał rześiste oklaski. Kobieta lubi, żeby jej mówić o jej potrzebach, chociaż sama wie doskonale, czego chce. Praktycznych rad nie przyjmuje, jako że ma swoje sposoby o tyle kręte i ciemne, o ile romantyczne, ale to nic nie szkodzi. Idzie o zasadę, o cel, a ten uświęca wszelkie środki. Triona

usiadł uśmiechnięty wśród burzy zachwyków i zaraz poszukał wzrokiem Oliwii. Wtedy zrozumiała że mówił tylko dla niej jednej i odpowiedziała mu promiennym spojrzeniem. Była dumna i szczęśliwa.

Spotkali się w chwilę później w zatłoczonym salonie. Jemu przyszło to z trudnością, bo kobiety rzuciły się na niego jak drapieżne ptaki.

– Jak pani wróci do domu? – zapytał. Wzruszyła ramionami. – Nie wiem. Muszę pomyśleć.

– Czy, gdyby nie można było dostać taksówki, poszłaby pani pieszo? Powiedział to z taką nadzieją w głosie, że roześmiała się wesoło:

– Przecież są autobusy i kolejka podziemna.

– Nie dla pani. W nocy?

– Dlaczego nie dla mnie? – zapytała przekornie, uradowana, że się tak o nią boi. – Czy to autobusami i kolejką jeżdżą same satyry?

– Ojciec przyjedzie po mnie, to i ciebie zabierze – wtrąciła Janet Philimore.

– Dziękuję ci, to by państwu było ogromnie nie po drodze – odparła Oliwia. – Oddam się w opiekę panu Trionie.

Taksówka się nie znalazła, więc poszli pieszo. Triona zwierzył jej się po raz pierwszy, że pisze nową książkę – powieść. Pytał, czy nie mógłby jej przeczytać na głos rękopisu i prosić o krytykę. Tylko na jej opinii zależało mu naprawdę. Wniebowzięta Oliwia zaprotestowała skromnie, że się nie zna, ale uparł się i postanowił, że zaczną od następnego wieczora.

Czytanie trwało kilka dni. Oliwię zdumiewała tajemnica twórczości literackiej, nad którą się dotąd nie zastanawiała. Osoby dramatu wydawały jej się żywymi ludźmi.

– Skąd pan wie, że ona doznawała takich uczuć?

Triona wzruszył ramionami. – Nie mogła czuć inaczej.

Oliwia nie wzięła niczego tak poważnie do czasu choroby matki. Pomimo podziwu umiała się zdobyć na krytycyzm. Przez te kilka dni żyła jak we śnie. On notował skwapliwie jej uwagi na marginesach rękopisu. W połowie pracy zaczęli sobie mówić po imieniu. Tak było wygodniej i prościej. Przy ostatniej kartce patrzyli na siebie niemal z przerażeniem. Więc już? A teraz co?

– Będę musiał zacząć natychmiast następną powieść, żebyś współpracowała ze mną od samego początku – rzekł Triona.

– Masz już jakiś plan?

– Jeszcze nie.

– A kiedy będziesz miał?

Nie wiedział. Który autor wyczerpany jednym dziełem ma tyle żywotności, żeby się zaraz wziąć do drugiego? Czuje, że zużył cały materiał duchowy i nie wie, skąd zaczerpnąć więcej.

– Będę musiał na razie „pougorować” – rzekł z nadzieją. – Może za tydzień, dwa...

– Jak tylko zaczniesz coś kielkować, dasz mi znać, dobrze? – zapytała Oliwia, zapominając, że przed żniwem musi być siew.

Przyrzekł, poszedł do domu i zaczął się głowić. Mózg miał znużony, ale duszę w stanie wrzenia.

Musi zdobyć pozycję w świecie literackim! Musi opanować na zawsze jej serce i głowę; musi stanąć na mocnym gruncie, żeby móc jej powiedzieć: – Widzisz, stworzyłem siebie. Teraz mnie możesz wziąć. Przedtem kładłem fundamenty i korzystałem z tego, co miałem pod ręką. Teraz jestem dojrzałym człowiekiem.

Do tego czasu jednak pozostało mu tylko uwielbienie i rycerska gotowość do pomocy bez nadziei na uczucie z jej strony.

Ileż to razy w trakcie wspólnego czytania kusilo go, żeby jednym słowem otworzyć przed nią serce. Świadomość, że mogło to się stać w każdej chwili była jednocześnie piekłem i niebem. Człowiek mniej wrażliwy nie doceniłby takiej subtelnej równowagi uczuć. Żegnał się z nią po przyjacielsku, a wyszedłszy na ulicę, zataczał się jak pijany.

Poczucie honoru walczyło w nim z niską pokusą. O ile się orientował była bardzo zamożna. Świadczyły o tym jej stroje, rozrywki i dom w Mediów. O stanowisku społecznym jej nieżyjącego ojca nie wiedział prawie nic. Jej zamożność była faktem. On miał tylko tyle, co zarobił swoją powieścią, a i to topniało z dnia na dzień. Niepowodzenie następnej książki byłoby równoznaczne z nędzą lub powrotem do Cherbury Mews. Małżeństwo z zamożną panną zabezpieczałoby go przed takimi ewentualnościami... Na razie zwyciężył honor.

Nadchodził koniec lata. Na Oliwię spadł deszcz rachunków od krawców, szewców i modniarek. Usiadła przy stoliku, dodała poszczególne sumy i chwyciła się za głowę. Nie zwlekając pojechała do banku sprawdzić swój rachunek. Od stycznia wydała ogromnie dużo i teraz jeszcze przybywała taka suma! Czynnosc z wynajmu domu i zmniejszony procent od kapitału nie mogły żadnym sposobem wystarczyć na dotychczasowy tryb życia. Zawołała Myrę.

- Jesteśmy bliskie bankructwa.
- Głupi by nie wiedział – odparła służąca.
- Co zrobimy?
- Niech panienska żyje jak chrześcijanka, a nie poganka, to będzie

panience dobrze. Niech panienka idzie ze mną w niedzielę do kaplicy, to się panienka dowie, jak żyć po Bożemu.

Myra nie pamiętała, że Oliwia nie znosiła od dzieciństwa nonkonformistów, ich surowej wiary i ponurych nabożeństw, więc jej zachęta nie odniosła skutku. Pogaństwo, tylko nie w stylu hulanki Lidii, pociągało Oliwię daleko silniej niż kalwinizm pokojówki.

– Nie chce mi się wierzyć, że taka dobra kobieta jak ty może się rozkoszować myślą o wiecznym potępieniu.

– A czym mam się rozkoszować? – zapytała posępnie sekciarka.

– Jak nie masz czym, to z twojej własnej winy. Ani ja, ani mama nie broniłyśmy ci żadnych rozrywek. Możesz zacząć teraz. Nie lubisz kina?

– Panienka wspomniała o bankructwie.

– A ty mi poradziłaś kaplicę. Nie, moja kochana.

– Jak panienka woli.

– A jeżeli zbankrutuję, to co ty zrobisz? – zapytała złośliwie Oliwia.

– Będę panienkę ratować, jak się da – odparła drewnianym głosem służąca.

Oliwia zerwała się z krzesła. – Och, Boże! Jakaż ja jestem okropna!

– Co to, to nie, panienko. Przecie ja panienkę wychowałam.

Na tym się skończyło. Myra, pomimo licznych zalet nie była dobrą ekonomistką. Oliwia postanowiła zawierzyć swojej głowie. Zły stan budżetu przyprawił ją o bezsenną noc. Przy takiej gospodarce pozostałaby za dwa lata bez grosza. Pierwszy raz od czasu wyrwania się z Mediów wydało jej się, że podpisując czeki potwierdza wyrok śmierci na siebie. Z tych przykrych uczuć narodziły się bohaterские postanowienia.

Na domiar tych wszystkich zmartwień zjawił się któregoś popołudnia

Bob Quinton z pytaniem, dlaczego „najdroższa pani” przestała brać u niego lekcje tańca, dlaczego nie bywa w klubie i dlaczego się obraziła na wiernego sługę?

– Zbrzydł mi wasz Percy i cała wasza banda – odparła szczerze Oliwia.

– Ale ja chyba nie? – wykrzyknął żałośnie Bob, robiąc psie oczy. Zrobiło jej się go żal. Nie miała serca odpowiedzieć, że uważa go za takiego samego próżniaka jak tamtych. Kobiety lubią się litować nad przystojnymi mężczyznami.

– Pani chce mnie zgubić – rzekł. – Nie mam nikogo na świecie prócz pani.

Oliwia wyobraziła sobie, że jest za niego odpowiedzialna. Udzieliła mu dobrych rad, powołała się na mądrość dziadów i paradiadów, udała niemal matkę. Ale kiedy Bob zaczął histeryzować i zagroził, że jeżeli ona zlekceważy jego płomienną miłość, to będzie winna jego samobójczej śmierci, zganiała go, jak przystało na pannę dwudziestego wieku:

– O, nie bądź pan osłem!

Ale Bob uparł się przy swym osielstwie. Udając zakochanego na śmierć i życie, padł przed nią na kolana, wznosząc błagalnie oczy. Trzeba przyznać, że wyglądał w tej roli uroczo.

– Wszystko to bardzo pięknie, miły panie Bobie – odparła Oliwia, niewzruszona tym przedstawieniem, ale o co panu właściwie chodzi?

Odpowiedział, że pragnie się z nią ożenić, bo tylko w ten sposób wydzwignie się z piekła na niebiańskie wyżyny. Obiecał, że przez nią dokona wielkich rzeczy i stanie się wybitnym człowiekiem.

– Nie wiem, czy która kobieta zgodziłaby się na takie ryzyko, nie wiedząc, czy konkurent jest w ogóle zdolny do wielkich rzeczy – rzekła

krytycznie Oliwia. – Powinien pan czegoś dokonać przed ślubem.

– Więc pani mi nie ufa? Więc pani mnie nie kocha? – wykrzyknął dramatycznie, łapiąc się za głowę.

– Nie mogę powiedzieć, żebym panu ufała – odparła zniecierpliwiona.

– Niech mi pan powie, jakie pan posiada zalety, to oddam panu sprawiedliwość.

– W takim razie pozostaje mi tylko strzelić sobie w łeb – jęknął.

– Niech pan lepiej użyje tego łba w mądrzejszy sposób i zastanowi się jak zostać wartościowym człowiekiem.

– Pani nie ma litości!

– Gdyby pan tu przyszedł jako froterczy windziarz byłabym litościwsza... Gdyby nie to, że uważam pana za sympatycznego chłopca – dodała po chwili – nie chciałabym pana znać. Pan nie zdaje sobie sprawy, co to jest życie. Pan nie ma za grosz poczucia obowiązku i odpowiedzialności, zupełnie jak przestępca kryminalny. O, niech się pan nie gniewa. Idzie mi o pana dobro. Uczucie tańca próżniaczych kobiet nie jest zadaniem godnym mężczyzny. To wstyd. W dzisiejszych czasach mężczyźni są powołani do wielkich rzeczy. Wojna się jeszcze nie skończyła. Prawdziwa wojna się dopiero zaczyna. Pan zamiast wziąć się za jakąś pożyteczną pracę, robi z siebie pokojowego pieska i każe się pieścić.

– Pani nie rozumie...

– Rozumiem doskonale. Człowiek musi żyć. Na początek trzeba brać to, co wpada w ręce, ale pan bawi się w fordansera już od paru lat i nie stara się znaleźć niczego lepszego. Pan lubi to nędzne życie i...

– Nienawidzę!

– Nieprawda – ciągnęła twardo, bo już dużo teraz rozumiała. – Pan nienawidzi tylko pracy, zwłaszcza takiej, za którą mało płacą. Praca jest dla pana przekleństwem życia.

Bezczelne oświadczyły Boba w pierwszej chwili tylko ją rozśmieszyły. Stopniowo ogarnęło ją wielkie oburzenie. Bo żeby taki młody człowiek, dobrze wychowany, inteligentny, silny, zdrowy, sympatyczny, nie poczuwał się w życiu do niczego oprócz zabawy, to już przechodziło wszelkie pojęcie.

– Niech pan posłucha – rzekła, wstając od stolika z herbatą i nakazując mu gestem milczenie. – Niech pan siedzi. Poprosił mnie pan o rękę, bo pan myśli, że jestem bogata. Ani słowa! Przypuśćmy, że pan mnie rzeczywiście kocha... Jednak gdybym była biedna, nawet by pan na mnie nie spojrzął. W głębi duszy marzy się panu leniwe, rozrywkowe życie, podróże, rozbijanie się po modnych kurortach i już do końca życia święty spokój od zarabiania.

Zaprotestował gorąco. Ożeniłby się z nią, choćby była zupełnie biedna. Miała go w rękach. Od niej zależały jego losy, jego zguba lub zbawienie. Tęsknił do ambitnego zajęcia lecz warunki życiowe przykuwały go do pracy w klubie. Nagle wstał i przysunął się do niej o krok.

– Panno Oliwio, nie chce pani zostać moją żoną, to niech mnie pani poratuje w inny sposób. Jestem w rozpacz. Pani się zdaje, że zna świat.

Złudzenie. Ja wiem, co to jest świat. Świat może być więzieniem. Na miłość boską, niech mi pani pożyczy dwieście funtów.

Złowrogi wyraz: więzienie, przeszył jej serce skurczem trwogi, lecz zaraz wziął górę zdrowy rozsądek, odziedziczony po ojcu. Zorientowała się, że chłopak albo kłamał, albo – jeżeli mówił prawdę – to niewart był, żeby go ratować.

Zapytała więc surowo: – Co pan zrobił?

– Nie mogę pani powiedzieć. Musi mi pani zaufać!

– Nie ufam panu i nie pożyczę ani grosza.

– Pani mi odmawia?

Z gardła Boba wydobył się cichy głos, podobny do warczenia, a wargi, ocienione jedwabistym wąsikiem, skurczyły się jak u psa.

– Naturalnie.

– Pani śmie mi odmawiać po tym wszystkim, co między nami zaszło? W takim razie po co mnie pani ciągnęła, zachęcała?

Oliwia zdrętwiała. – Ja pana ciągnęłam?

– Oczywiście. Czy pani nie kazała mi asystować sobie w Brighton? Czy nie zapraszała mnie pani tutaj do mieszkania? Podle pani ze mną postępowała. Narząła mnie pani na stratę czasu. Przez panią zaniedbałem inne kobiety, które byłyby z radością...

Oliwia blada ze zgrozy, skoczyła ku drzwiom i otworzyła je na oścież.

– Precz!

Wypadła do hallu, otworzyła drugie drzwi.

– Precz!

Wybiegła na schody, zadzwoniła na windę i wróciła do hallu, gdzie Bob padł przed nią na kolana. Oczy miał dzikie, przerażone, jak ścigane zwierzę.

– Na miłość Boską, przebaczenia! Oszalałem. , Nie wiedziałem, co mówię. Litości! Niech pani przestanie, to powiem wszystko.

Ale Oliwia weszła bez słowa do bawialni, zamknęła za sobą drzwi i oparła się o nie plecami. Stała tak, dopóki nie usłyszała oddalających się kroków i trzasku drzwiczek windy.

Przed paru dniami o mało nie posprzeczała się z Mauregardem, który w trakcie rozmowy o współczesnych młodych ludziach, utrzymujących się z

kobiet, zaliczył do tej kategorii Boba. Miał rację! Nie mogła się uspokoić. Do innych uczuć przyłączył się okropny wstyd z powodu cnotliwego kazania, jakie mu wypaliła, bo przecież musiał się z niej śmiać w głębi duszy. No, ale z bandą Lidii skończyła raz na zawsze.

Przyszła do siebie dopiero na drugi dzień po południu, kiedy zjawił się Triona, żeby zabrać ją na niedzielne intelektualne zebranie u Benkironów. Przyjęła go z wyciągniętymi rękami. Po awanturze z Bobem młody autor stał się dla niej ideałem prawdziwego człowieka.

– Nie umiem powiedzieć, jak się cieszę, że przyszedłeś.

– A ja – odparł, całując ją po rękach – nie umiem wysławić, jaki Bóg jest dla mnie łaskawy.

ROZDZIAŁ X

Przyniósł wielką nowinę. Wydawcy nie tylko przyjęli chętnie nową powieść, dali dobre warunki i duży zadatek, ale jeszcze zobowiązali się umieścić ją w czasopiśmie i zapłacić za to oddzielnie. Więcej: pokazali rachunki ze sprzedaży pierwszej książki w Ameryce, opiewające na sumy przewyższające najśmielsze marzenia autora.

– Zapomniałem o Ameryce – rzekł naiwnie.

– Jesteś rozbrajający – roześmiała się Oliwia. – Ale to mi się w tobie podoba.

Zaproponował taksówkę, co ze względu na odległość było szaloną rozrzutnością. Powiedział, że pieniądze uderzyły mu do głowy. W drodze, już niedaleko celu, rzekł:

– A może by tak pojechać do John-o'-Groat's?

– Świetnie. Jedźmy. Jesteśmy na właściwej drodze. Zwrócił się do niej całą twarzą. – Naprawdę chcesz? Otworzyła torebkę i wyjęła portmonetkę.

– Mam piętnaście szylingów i siedem pensów. A ty ile masz?

– Trzy funty i coś dziesięć szylingów.

Westchnęła. – Ech, prozaiczny szofer zaśpiewałby nam za taki kurs najmniej pięć funtów.

– Wróćmy i wstąpmy do banku.

– Przecież to niedziela.

– O, do licha!

– Chcąc nie chcąc, musimy jechać do Benkironów.

– Ale któregoś z najbliższych dni pojedziemy do John-o'-Groat's, jak

najdalej i...

– I?

– I wsiądziemy na statek i pozelegujemy na Szczęśliwe Wyspy.

– Pozwolisz, że zabiorę Myrę? – zapytała Oliwia, podtrzymując troskliwie żartobliwy ton, ale czując, że to nie żarty.

– Naturalnie. Wydamy ją za chłopca okrętowego.

– A co będziemy robić na Szczęśliwych Wyspach?

– Napelnimy dusze słońcem, żeby po powrocie mieć czym rozjaśnić nasz groźny i ciemny współczesny świat.

W Oliwii zadygotało serce.

– Pojadę z tobą do John-o'-Groat's, kiedy zechcesz.

W tej chwili taksówka zatrzymała się przed willą Benkironów. Nad zieloną bramą widniał napis „Everdene”.

Zastali w salonie stosy pokruszonych ciastek, baterie filiżanek herbaty i kłęby dymu. Agnes, zgrzana i rozpromieniona, powitała ich serdecznie i przedstawiła swego brata, którego wyłowiła z tłumu.

Był to młody człowiek z ciastowatą cerą i łysym czołem, okolonym krótką, ciemną szczecina. Efektu dopełniały malutkie bokobrody, a strój składał się ze starej, sportowej kurtki, rozpiętej na całej długości, czerwonego krawata i miękkiego kołnierzyka bez spinki. Ręka, podana gościom, była mokra i lepka.

– Jaka pani dobra, że pani przyszła! Jakże się cieszę z poznania pana, panie Triona! Tyleśmy o panu słyszeli! Właśnie debatujemy nad rozwiązaniem problemu... Ostatecznie nie było jeszcze ludzkiego problemu, którego by nie rozwiązano...

– Jakiż to problem? – zapytała Oliwia.

– Jest tylko jeden, droga pani. Wyjście z Siebie, albo, jeżeli się wierzy, Wejście w Siebie. – Przytrzymał za rękę przechodzącego jegomościa, chudzielca z rzadką bródką. – Pozwoli pan, że pana przedstawię tej pani. Pan Dawkins, nasz gospodarz proszę pani. Panna Gale.

– Nie dostała pani herbaty? – zapytał burkliwie Dawkins, tak jakby się na nią gniewał, że nie dostała. – Proszę za mną.

Utorował jej drogę przez zapchaną bawialnię i poczęstował letnim płynem, widocznie symbolizującym w tym zgromadzeniu przyjaźń i braterstwo.

– Co pani sądzi o artykule Rogera w ostatnim numerze „Sygnału”?

– Kto to jest Roger i co to jest „Sygnał”? – zapytała prostodusznie Oliwia.

Dawkins popatrzył na nią przenikliwie, po czym odwrócił się i bez ceremonii zniknął w tłumie.

Oliwia w pierwszej chwili oniemiała, ale potem porwał ją taki śmiech, że wylała herbatę na sukienkę. Na jej okrzyk przerażenia zjawiała się Agnes, pytając co się stało. Oliwia opowiedziała o incydencie z Dawkinsem.

– Och, powinnam była panią uprzedzić – rzekła Agnes. – Moja wina. Dawkins jest okropnie drażliwy. Roger to mój brat, pani nie wiedziała? A „Sygnał” to nasze pismo tygodniowe. Dawkins jest wydawcą.

– Przykro mi doprawdy... – odpowiedziała Oliwia. – Czy... czy powinnam czytywać „Sygnał”?

– Ależ naturalnie – odparła z naciskiem tamta. – Wszyscy powinni czytywać „Sygnał”. Przecież to jedyne pismo w Londynie, które jest coś warte.

Oliwia zawstydziała się swej ignorancji i rzekła: – Dobrze, kupię jutro ostatni numer w kiosku na dworcu Victoria. Agnes uśmiechnęła się nerwowo.

– Proszę pani, takiego pisma nie sprzedają w kioskach. Wysyła się je abonentom albo rozdaje na spotkaniach.

– Kto ponosi koszty druku? – zapytała praktycznie Oliwia, przypominając sobie, co mówił Triona o podniesieniu cen wydawnictw.

– Dawkins stara się o pieniądze, gdzie może. Oddany jest „Sygnałowi” całą duszą.

– Zrobiłam sobie z niego dożywotniego wroga – rzekła ze skruchą Oliwia.

– Och, nie. Niech się pani nie martwi. My tu nie mamy czasu na nieprzyjaźnie. Nasz cel jest zbyt wielki, żebyśmy mogli sobie pozwolić na prywatne urazy.

Oliwia zrobiła wielkie oczy. – Jaki cel?

– To pani nie wie? Oczywiście, rewolucja społeczna.

– Nie wiedziałam.

Tego dnia dowiedziała się wielu zdumiewających rzeczy i poznała wiele dziwnych osób. Dotychczas niewiele się zastanawiała nad ruchami społecznymi, ogarniającymi cały świat. Strajki irytowały ją, gdyż powstrzymywały odbudowę powojenną i wpędzały robotników w zakłętą koło podwyżki płac i zwyczajów cen. Inne żądania były jeszcze gorsze, bo miały posmak bolszewizmu. Ale nie starała się w to wszystko wnikać krytycznie. Wyobrażała sobie, że doktryny rewolucyjne propagowali wśród robotników potajemnie albo agenci o szczurzych twarzach, albo otwarcie wrzaskliwi demagodzy. Fakt, że te doktryny mogły przeniknąć do tak szanownego

zgromadzenia jak to, które ją otaczało, zdziwił ją i przeraził.

– Nie rozumiem, jak inteligentni ludzie mogą mieć takie poglądy – rzekła do Rogera Benkirona, który bronił ustroju sowieckiego jako politycznego eksperymentu filozoficznego.

Uśmiechnął się pobłaźliwie. – Może to raczej wina pani, niż inteligentnych ludzi.

– Czy pański argument ostałby się, gdyby pan utrzymywał, że ziemia jest płaska i wisi w przestrzeni nieruchomo?

– Nie. Kształt i ruch ziemi są niezbitymi faktami fizycznymi. A czy pani może podać za fakt naukowy, że społeczeństwa ludzkie są niezdolne żyć w ustroju opartym na równości społecznej?

– Naturalnie, że mogę – oświadczyła Oliwia ku dyskretnemu rozbawieniu otaczających. – To nie leży w ludzkiej naturze. Wrodzone nam właściwości moralne i umysłowe wykluczają możliwość równowagi społecznej.

– Kochana pani – rzekł z irytującą Oliwię poufałością, podnosząc wysokie czoło i marszcząc łysinę – w królewskim otoczeniu w Ascot może pani znaleźć wszelkie stopnie rozwoju intelektualnego, począwszy od urodzonego arystokraty z mózgiem kretyna, a skończywszy na genialnym mężu stanu; wszelkie poziomy moralne, począwszy od skończonych łotrów, a skończywszy na najświetniejszych typach cywilizacyjnych. A przecież wszyscy oni są w stosunku do siebie na równej stopie. A dlaczego? Bo urodzili się w jednej sferze. Ten sam fenomen daje się zaobserwować w każdej grupie społecznej, żyjącej w jednakowych warunkach ekonomicznych i społecznych. Czy wobec tego nie jest jasne, że jeżeli zniesiemy podziały społeczne i ustanowimy jedną klasę, wspólną dla wszystkich, to równość społeczna będzie nieunikniona?

– Nie rozumiem, jak by to można osiągnąć?

– A, to jest inna sprawa. Niech pani pomyśli o ogromie naszego zadania. Usunięcie fałszywych zasad, którym ludzkość hołduje od, powiedzmy, ośmiu tysięcy lat, będzie wymagało długiego czasu. To się nie uda nawet w ciągu jednego pokolenia. Nim się wytepi zarazki epidemii, trzeba będzie wypalić ogniem całe kraje i potem dopiero przystąpić do odbudowy. Ta wielka reforma musi objąć całą kulę ziemską. To jest właśnie założenie teorii filozoficznej, zwanej wulgarnie bolszewizmem. Zniszczymy całą naszą zatrutą cywilizację współczesną, żeby z popiołów narodził się w przyszłym pokoleniu nowy feniks.

– Przedstawiłeś pani tę rzecz tak wyraźnie, kochany Rogerze – rzekł Dawkins, który przyłączył się do grupy – że chyba teraz będzie się poważniej zapatrywała na naszą działalność.

Uśmiechnął się pobłaźliwie, nie wątpiąc, że już ma przed sobą wielbicielkę, ale ona poczuła się tak dotknięta, że aż się zaczerwieniła.

Triona, atakowany w kącie przez dwie zaborcze damy i młodego marksistę, mechanika z gazowni, pośpieszył jej z ratunkiem. Nadstawił ucha na jej słowa i wiedział, na czym stanęło.

– Przepraszam pana – rzekł – ale człowiekowi, który doświadczył doktryn bolszewickich na własnej skórze, właśnie pański pogląd musi się wydać niepoważny.

– Wiadomo – odpowiedział proroczym tonem Dawkins – że okrucieństwa są przedstawiane zazwyczaj w przesadnym świetle.

– W Piśmie Świętym jest mowa o jakimś niewiernym Tomaszu – rzekł ostro Triona. – Pan jest taki sam.

– Tak. Zawsze cenilem tego apostoła za jego filozoficzny umysł.

Triona podciągnął nad kostkę nogawkę spodni.

– Patrz pan, to są ślady kajdan, do których był umocowany dwunastofuntowy pocisk armatni.

– Musiał się pan narazić władzom – odpowiedział uprzejmie Dawkins. – Czytałem pańską książkę, ale musiałbym wysłuchać i drugiej strony.

– Panie Benkiron – Triona, dziwnie pobladły, zwrócił się do gospodarza, stojącego obok w swobodnej pozie, z rękami na biodrach – panie Benkiron obawiam się, że nieświadomie nadużyłem pańskiej gościnności.

Benkiron zaprotestował wesoło: – Ani trochę, kochany panie. My tu szcycimy się naszą tolerancją. Może pan agitować wśród nas za reakcyjnym anglikanizmem, będziemy słuchać z uwagą i szacunkiem. Ale w zamian domagamy się takich samych względów dla apostołów naszej postępowej myśli. Pan daruje to określenie. Pan niewątpliwie przeżył straszne prześladowania. My jednak uznajemy konieczność terroru. Za dziesięć lat będzie się w Anglii dziać to samo, co w Rosji. Możliwe, że my wszyscy tu obecni zostaniemy zmieceni z powierzchni ziemi, tak jak się stało z rosyjską arystokracją i inteligencją. Co pan nam może zarzucić; mnie, mojej siostrze i Dawkinsowi, jeżeli jesteśmy gotowi zginąć męczeńską śmiercią dla dobra ludzkości? Niech pan będzie zupełnie szczery, my się nie obrażamy.

– Uważam, że powinno się was zamknąć w szpitalu psychiatrycznym.

– Czy i pani jest tego zdania? – zwrócił się nagle do Oliwii Roger Benkiron.

Odpowiedziała po namyśle: – Jeżeli pan potrafi dowieść ponad wszelką wątpliwość, że za pięćdziesiąt lat stworzycie na ziemi raj, to w waszych teoriach coś jest. Jeżeli nie, to powinno się was wszystkich rozstrzelać.

Roześmiał się i wyciągnął do niej rękę. – Dobrze powiedziane.

Wyrobane od serca. To nam się podoba. Proszę podać mi rączkę. – Wyjął z kieszeni notes i coś w nim zapisał. – Umieściłem panią na gratisowej liście prenumeratorów „Sygnału”. Siostra ma pani adres. Dowie się pani wszystkiego. Znajdzie pani argumenty nie do obalenia. Może pan Triona także by sobie życzył...

Triona potrząsnął głową. – Nie, jestem cudzoziemcem i źle by ze mną było, gdyby wykryto, że otrzymuję bibułę rewolucyjną.

– Rozumiem – uśmiechnął się Benkiron, chowając notes do kieszeni.

Dawkins zniknął. Inni goście zaczęli się żegnać. Triona i Oliwia skierowali się ku drzwiom, lecz Agnes zastąpiła im drogę pytając, czy nie chcieliby poznać Toma Pyefincha, męczennika wojny światowej, który był za dzielny, żeby pójść na front, za co kapitalistyczny rząd ukarał go straszliwymi prześladowaniami.

– Och, nie chcę! – krzyknęła Oliwia.

Agnes usłyszała, lecz Pyefinch, blady młodzieniec z rzadkimi, czarnymi wąsikami nie dostrzegł jej ostrzegawczego spojrzenia i częstował Oliwię bluźnierczą filipiką przeciwko patriotyzmowi.

– Proszę pani, toż to przesąd. Człowiek, dumny z tego, że jest Anglikiem, jest jak mucha, brzęcząca nad cuchnącą kałużą. To samo jest z innymi narodowościami. Roje much nad ściekami. Domniemane ideały narodowe są wymysłem poetów i innych dekadentów, opłacanych przez kapitalistów. W rzeczywistości patriotyzm nie jest niczym innym jak egoizmem grupowym.

Na zakończenie oświadczył, że dlatego on i inni inteligentni ludzie w kraju odmówili udziału w ostatniej wojnie.

Oliwia chwyciła Trionę za ramię. – Na Boga, chodźmy stąd. Już nie

mogę...

Wydostawszy się na świeże powietrze, odetchnęli z ulgą. Oliwia porównała zatłoczoną bawialnię, pełną krzykliwej wrzawy, kwaskowatego zapachu herbaty z mlekiem, dymu, szaleństwa i anarchii, z miniaturą piekła. Bóg zniszczył niegdyś Sodomę i Gomorę. Dlaczego teraz nie spuści ognia na ten dom zarazy?

Triona śmiał się z jej wzburzenia, ale był tego samego zdania.

– Rzeczywiście, trudno z nimi wytrzymać – rzekł. – Jeżeli Anglik mówi o sobie, że należy do inteligencji, to można być pewnym, że sam ma wątpliwości co do swego intelektu. Benkiron i Dawkins są głupcami pierwszej klasy, za to Pyefinch jest naprawdę niebezpieczny. Nieprzyjemnie mi, że się uniosłem – dodał po chwili.

– Byłeś wspaniały – szepnęła Oliwia.

Wśród londyńskich znajomych on jeden wydawał jej się człowiekiem, zdającym sobie jasno sprawę ze swoich celów. Zrobiła w myśli szybki przegląd. Mauregard był może z pozostałych najlepszy, ale i on żył błahostkami, a niebo widział w uśmiechu rozpustnej baletnicy. Za nim szli Sydney Rooke, Mavenna, i gorszy od Mavenny, haniebny Bob Quinton. Tak się przedstawiało kółko Lidii, złożone z samych materialistów i hulaków. Oliwia łudziła się, że Agnes Benkiron wprowadzi ją w środowisko poważnych myślicieli i działaczy społecznych, którzy wskażą jej pewną drogę obowiązku wobec ludzi i siebie. Tymczasem zetknęła się z takim Dawkinsem i takim Pyefinchem, zaciekłymi szaleńcami, głoszącymi wywrotowe, niszczycielskie doktryny. W mózgu jej szumiało od zasłyszanych frazesów, a serce ścisnęło się nieokreśloną trwogą. Nawet cyniczny świat Lidii był lepszy niż to. Ale przecież między tymi dwiema sferami musiała

istnieć jakaś inna, jakaś dziedzina szlachetnych dążeń, nauki, sztuki, myśli, filantropii, dziedzina, w której musiał żyć major Olifant i – kobiety poznane na obiedzie klubowym. Och, nie, byle nie te kobiety! Ale w całym Londynie znała dotąd tylko jednego człowieka, kwalifikującego się do takiej sfery: Trionę, anioła-rycerza, który wybawił ją z rąk Mavenny i zneutralizował wstyd przeżycia z Bobem Quintonem. A teraz znów przeciwstawił się w jej obronie hordzie szaleńców.

Wracali pieszo. Dzielnica willowa, w której mieszkali Benkironowie, była tak rozległa, tak pocięta krzyżującymi się alejami, że Triona musiał kilka razy pytać o drogę. Nowe, rażąco ozdobne wille przeplatały się z ogrodzonymi placami. Większość alei wychodziła na główną ulicę, której pseudoartystyczne fronty sklepowe zdawały się zaspokajać potrzeby estetyczne tutejszych mieszkańców.

– Nie sądźmy za surowo Benkironów i ich przyjaciół – rzekł Triona.

– Przecież to kraina dorobkiewiczów.

Po długim marszu dotarli do jednej z głównych arterii miasta i zatrzymali się na przystanku autobusowym. Ruch był niewielki, autobusy z rzadka nadjeżdżały.

– Dzięki Bogu, żeśmy się wydostali z tego labiryntu – westchnęła z ulgą Oliwia. – Ta droga prowadzi w nieskończoność.

Popatrzyli na siebie z uśmiechem.

– Powiedziałaś kiedyś, że kochasz wielkie rzeczy – odpowiedział Triona.

– Nigdy tego nie zapomnę. Tak, ta droga prowadzi w pewnym sensie w nieskończoność. Zaczyna się na granicy i przecina Anglię i Szkocję. Wielki, historyczny szlak. Kończy się w John-o'-Groat's. Nic tak nie działa na wyobraźnię jak wielka droga albo wielka rzeka. Ja wolę drogę.

– Pewnie dlatego, że droga jest dziełem rąk ludzkich.

– Jak my jednakowo myślimy! – wykrzyknął z zachwytem. – Wyjmujesz mi słowa z ust. Więcej, nadajesz im sens. Tak, Boskie dzieła się wielkie, tylko że my nie możemy ich zmierzyć. Nie mamy skali dla Boga, za to potrafimy ocenić wielkość człowieka. Dlatego wielkie dzieła rąk ludzkich mają dla nas tyle potężnego uroku.

– Czy my moglibyśmy dokonać czegoś wielkiego?

– My dwoje?

– My dwoje, ożywieni jednym ruchem. – Ujęła go pod rękę. – Nie wiesz, jakie to szczęście: silne poczucie rzeczywistości. Dokonajmy czegoś wielkiego. Ale czego?

– Możesz mi pomóc w wielkiej rzeczy, dla mnie największej na świecie! – zawołał, przyciskając mocno jej ramię do boku.

Oliwia zadrzała. Czowała, że nadeszła wielka chwila, której się lękała po dziewczęcemu. Ale jakoś odbiegła ją wszelka trwoga. Poczucie rzeczywistości wzmogło się do granic szczęścia. Nie miała już wątpliwości, że kocha. Serce biło jej tak mocno, że aż bolało. Odpowiedziała niemądrze i chytrze jak to kobieta:

– Ach, mój drogi, chcę tylko być dla ciebie pożyteczna!

– Pożyteczna? – zaśmiał się krótko. – Czy ty rozumiesz, kim dla mnie jesteś? Mam ci powiedzieć?

Wyrwała mu się delikatnie i poszła przodem.

– Bo przeoczymy autobus...

Ale on zaczął mówić. W trzy minuty później minął ich hałaśliwy autobus. Nie słyszeli go i nie zauważyli. Następny miał być za wiele, wiele minut.

ROZDZIAŁ XI

W pewnym miejscu na południowym wybrzeżu znajduje się długi, wąski, piaszczysty półwysep. Mały hotelik stoi na samym cyplu, koło maleńkiej grobli. Do grobli przybił właśnie dziwny statek z białą flagą, przybywający z północy. Ale wracając do półwyspu, trzeba jeszcze zaznaczyć, że wzdłuż jego brzegów stoi ze dwadzieścia skromnych domków, z których jedne patrzą oknami na morze ciągnące się aż do Afryki, a drugie na rozległą zatokę, usianą wysepkami i okoloną dalekim błękitem gór. Ale jest punkt, z którego roztacza się widok na obie strony.

Najmniejszy i najbardziej kruchy z domków od afrykańskiej strony nazywa się poetycznie „Królowa Saba”.

– Szczególna nazwa dla domu – rzekł Triona.

– W sam raz dla nas – zawołała entuzjastycznie Oliwia. Wprowadzili się do „Królowej Saby” bez namysłu, gdyż przemówiła im do wyobraźni. I teraz oto Triona siedział na nędznej trawie, wsparty plecami o malutką werandę i rozkoszował się widokiem morza rozjaśnionego księżycem. Świetlista noc sierpniowa była jak czarodziejskie zaklęcie. Malutkie falki objajające się o plażę, migotały brylantowym blaskiem. Triona palił papierosa i śmiał się śmiechem szczęśliwego dziecka.

Ale tylko połowa jego duszy tonęła w pięknie przyrody. Druga poła się szczęściem rzadszym i – później – szerszym niż morze i gwiazdy. Przed kilku minutami miał je przy sobie. Słuchał słodkiego głosu, patrzył w uśmiechnięte oczy, jaśniejsze od gwiazd, czuł pod ramieniem żywe, pulsujące ciało. Teraz został sam na krótką chwilę, lecz z tą przelotną samotnością spłynął na

niego jakby cień, bo wydało mu się, że gwiazdy przygasły, niebo pociemniało, a morze poszarzało. Czekał na wezwanie, na dźwięk jej głosu.

Pobrali się nagle, tak samo bez namysłu, jak wynajęli „Królową Sabę”. Byli wolni, niezależni. Na cóż mieli czekać? Nie zawiadomili nikogo oprócz majora Olifanta i Janet Philimore, którzy jako jedyni byli na ich ślubie. Początkowo Oliwia miała wyrzuty sumienia. Jako dobrze wychowana panna powinna była zaprosić Trivetta, w miejsce rodziców, ale wtedy musiałaby również zaprosić jego żonę i córki. Fenmarch uznałby się za obrażonego, gdyby go pominęła. Dalej nowina rozeszłaby się po całym Mediów i stary Freke dałby znać Lidii. A właśnie Oliwii zależało przede wszystkim na tym, żeby się nie dowiedziała Lidia i jej znajomi. Ślub odbył się rano w kościele w Ashley Place w obecności Myry i dwojga świadków.

6 Ofiara jednego kłamstwa Kiedy po odbytej ceremonii wyszli na słońce, major rzekł do panny młodej:

– Nigdy w życiu tak nie żałowałem nikogo, jak pani.

– Dlaczego? – zapytała ze śmiechem.

– Przez zazdrość. – Uśmiechnął się dziwnie. – Po powrocie do mojej pustelni będę się czuł kawalerem bardziej niż kiedykolwiek.

– Łatwo temu zaradzić. – Wskazała głową na Trionę rozmawiającego z Janet. – Chętnie bym się zabawiła w swatkę. – Janet jest świetnym materiałem na żonę.

– To nie moja gospodyni.

Oliwia roześmiała się tak głośno, że Janet i Triona odwrócili się w jej stronę.

– Moi drodzy, major chciałby wydać prawo, zakazujące wychodzić za

mąż właścicielkom domów. Teraz mogę pana odwiedzić, jeżeli pan nas zaprosi.

– Omówiłem to już z Aleksym – rzekł Olifant.

Przed bramą kościoła czekały trzy taksówki; do jednej wsiadła młoda para, do drugiej Myra z bagażem, szczęśliwa, że jej panienska wzięła ślub w kościele, do trzeciej major z Janet. Pojechali na dworzec. Państwo młodzi, jak zwykle romantyczni, wynajęli letnisko w ciemno.

– Jestem pewna, że będziecie zachwyceni – zaopiniowała Janet, inicjatorka wynajmu. – Za dwa tygodnie przyjadę do was z ojcem. Jeżeli nie będziecie chcieli nas widzieć, to przy wiążcie do furtki białą kokardę. Nie obrazimy się.

Generał Philimore był właścicielem jednego z domków na półwyspie i spędzał tam zawsze wakacje. I on miał romantyczne usposobienie. Janet czuła się na tym skrawku ziemi jak królowa i ona to wysłała groźny list do pełnomocnika ojca z poleceniem przygotowania „Królowej Saby” dla młodej pary.

– Tylko że to nie pałac, panie Triona.

– To cóż z tego? – odparł pan młody. – Nam by wystarczyło gniazdo na skale.

Oliwia popatrzyła z uśmiechem na świeżo poślubionego małżonka. Czemu był taki różny od innych mężczyzn, nie wyłączając majora, nawet majora? Porównała ich dyskretnie. W majorze żołnierz nie zdążył się jeszcze przeobrazić w uczonego. Prosta, wojskowa postawa i cywilny, popielaty garnitur, leżący jak mundur, świadczyły o tym aż nadto wymownie. Pusty rękaw był przypięty do piersi, miękki kapelusz siedział na ostrzyżonej głowie odrobinę zawadiacko. Długi, prosty nos nadawał całej postaci

indywidualne piętno. Ale na pierwszy rzut oka widziało się, że to był dżentelmen, żołnierz i intelektualista. Cudowny człowiek, jej mąż, wyglądał inaczej. Twarz miał chudą i młodzieńczą, lecz biła z niej łuna bohatersko przeżytych cierpień, opromienionych geniuszem. Miał na sobie garnitur od dobrego krawca, lecz widać było, że czuł się w nim dosyć nieswojo. Zresztą wystarczyło jednego jego spojrzenia czy uśmiechu, żeby mu darować nawet łańchmany.

Oliwia rada z odpowiedzi męża, wsunęła mu rękę pod ramię dumnie władczym gestem.

– Nieswojony ptak, prawda? Ale ja go oswoję.

Kiedy pociąg, uwożący młodą parę, zniknął w oddali, major schował do kieszeni chustkę, którą powiewał i westchnął: – Oby była szczęśliwa!

– Dlaczego by nie miała być szczęśliwa? – zapytała Janet Philimore, piwnooka, ciemnowłosa, rumiana panienka, lubiąca stawiać wszelkie sprawy rzeczowo.

– O, nie wiem. Wyrażam po prostu życzenie.

Odprowadził ją do autobusu i poszedł przed siebie z ponuro zwieszoną głową. Zabawił w Londynie jeszcze dwa dni i znudzony wielkomięjskimi rozrywkami, wrócił do Mediów. Ale dom wydał mu się inny niż przedtem, jakiś nudny i smutny.

Tymczasem młoda para zamieszkała w małym domku o fantastycznej nazwie. Składał się on z trzech pokoiczków, wychodzących na werandę, wychodzącą z kolei na morze. Siedząc na tej werandzie plecami do domu, widziało się tylko ocean i polatujące nad falami mewy. Za domem w piaszczystej dolince krył się stary wagon kolejowy, połączony z nim za pomocą krótkiego korytarzyka i mieszczący w sobie kuchnię, spiżarnię,

łazienkę i pokój służbowy.

– Nigdy nie widziałam, żeby ludzie mieszkali w czymś takim – irytowała się Myra. – Niedługo zaczną wynajmować stare samoloty.

Ale sama oryginalność mieszkania dodawała mu uroku. Młodej parze zdawało się, że świat oszalał razem z nimi. Pretensjonalna, banalna willa nie sprawiłaby im tyle radości. To przynajmniej było podobne do gniazda na skale. Cieszyli się jak dzieci.

– Tylko jeden kieliszek do jajka – zrzędziła Myra, wskazując na szczuplutki zapas porcelany.

– Więcej nie potrzeba – roześmiała się Oliwia. – Na raz można jeść tylko jedno jajko.

Wyszli przed dom i popatrzyli na piaszczyste wybrzeże, usiane na skraju wody muszelkami i porośnięte morskim zieleń. Słony wiatr przewiewał im włosy i ubrania. Triona objął żonę w pól, pocałował i rzekł, śmiejąc się i patrząc jej w oczy:

– Kochanie, niebo opustoszało. Wszystkie anioły są tutaj, z nami.

Słoneczne dni spędzali na wodzie i plaży, na którą nie zaglądała żywa dusza.

– Gdzie się nauczyłeś pływać? – zapytała raz Oliwia.

Zawahał się i, rzuciwszy jej trochę ukradkowe spojrzenie, odpowiedział: – W Wołdze.

Roześmiała się. – Ty we wszystkim jesteś romantyczny. Ja nauczyłam się w prozaicznym Llandudno.

– Gdzie twoje poczucie względności, kochana? Mieszkańcy Rosji środkowej wyobrażają sobie wybrzeża Walii tak samo romantycznie jak ty Wołgę.

– Tak, ale do Llandudno możesz jechać choćby jutro, naturalnie razem ze mną, a ja nie będę nigdy pływać w Wołdze, Morzu Kaspijskim czy Bajkale. A marzyłam o Rosji od dzieciństwa.

– O, pojedziemy do Rosji, gdy się tam zmienią rządy. Nie wiem, kiedy to nastąpi, ale mam nadzieję, że jeszcze za naszej młodości.

Oliwia leżała na gorącym piasku, pławiąc się w słońcu. Miała na sobie purpurowy kostium kąpielowy i takiż czepek. Wyglądała uroczo, a czuła się tak błogo, iż nie chciało się jej wierzyć, aby mogła się kiedyś zestarzeć.

– Warto poczekać – rzekła.

Czasami wynajmowali łódź i żeglowali po morzu lub łowili ryby. Triona był zręczny w tej sztuce i znał się na pogodzie. Raz złapali węgorza morskiego, dziwną bestię z ogonem jak u pstrąga i pyskiem przypominającym dziób słonki. Triona poszedł do kuchni, żeby osobiście usmażyć swą zdobycz na lunch. Oliwia miała nowy powód do podziwu i zachwytu. Starła się nie patrzeć na niego przez różowe okulary, lecz nie mogła. Ten człowiek znał się na wszystkim, umiał wszystko, od rzeczy najwznioślejszych do najprzyziemniejszych. Ufała mu bezgranicznie i rozpływała się w szczęściu.

Nim przypomniała sobie o istnieniu zewnętrznego świata, upłynęło sporo dni. List Lidii, która jeszcze o niczym nie wiedziała, wyrwał ją z oszołomienia. Odpisała jej trochę złośliwie:

Przykro mi, że nie będę mogła być Twoją druhną, jak się umawialiśmy. Sama już jestem mężatką, więc rozumiesz? Stało się to nagle, ale szczęście przychodzi zawsze niespodziewanie. Rozgłos odebrałby temu dużo uroku. Dlatego nie mówiliśmy nikomu. Tu nam lepiej, niż wam będzie w Dinard.

Od dnia przyjazdu nie miałam na głowie kapelusza, a do obiadu ubieram się najwyżej w pończochy, czasami płaszcz nieprzemakalny, bo lubimy jadać na deszczu, na werandzie. Wczoraj wieczorem musieliśmy nawet zawiesić parasol nad stołem. Widzisz więc, że jesteśmy strasznie szczęśliwi. Zapomniałam Ci tylko powiedzieć, za kogo wyszłam. Pamiętasz Trionę... ?

Pisała żartobliwie, od niechcienia, wyobrażając sobie zdumienie przyjaciółki, jej zawód i oburzenie. Ale zakończyła serdecznie. Ostatecznie Lidia starała się jej pomóc, po swojemu co prawda, lecz miała dobre chęci. Według niej przystojne i eleganckie kobiety mogły być szczęśliwe tylko w świecie zabaw i zbytków.

Zakleiła list i wyszła na werandę, gdzie Aleksy robił korektę artykułu. Opowiedziawszy mu o wszystkim, zapytała:

– A może powinniśmy jej zrobić przyjemność, pojechać do Dinard i zabawić się w światowych ludzi?

– Jestem na rozkazy, kochana. Możesz jechać, choćby na koniec świata. Pojadę za tobą wszędzie. Gdzie ty, tam raj. Gdzie ciebie nie ma, pustka i ciemność, jak przed stworzeniem świata.

Siedząc wieczorem na werandzie, Triona zastanawiał się nad prawdą swoich słów. Tak, to była prawda. Poetyczne słowa nie zawsze kłamią treści. Krajobraz, choćby najpiękniejszy, miał znaczenie tylko jako oprawa dla jej osoby. Nawet to cudne, świetliste niebo, przygasło, gdy odeszła w głąb domu.

Zwinął i zapalił papierosa – na pewno ostatniego. Nie zastanawiał się nigdy nad tym, dlaczego się zawsze tak długo rozbierała. Jej subtelna, kobieca rezerwa była czymś, w co bał się wglądać, uważając tego rodzaju

ciekawość za brutalność. Wiedział tylko, że była mu jednocześnie bliska i daleka, konkretna jak morze i nieuchwytna jak błędny ognek.

Tak kochają poeci. Ubierają twory wyobraźni w realne kształty, a rzeczywistość oplatają przędzą marzeń.

A tymczasem Oliwia, pewna swego szczęścia, narażała go na czekanie, gdyż postanowiła notować przed pójściem spać przeżycia każdego dnia. Dziennik trzymała bezpiecznie pod kluczem. Teraz siedziała w łóżku i pisała z uśmiechem na ustach, bo przez otwarte okno dolatywał ją zapach dymu z papierosa.

ROZDZIAŁ XII

W zapowiedzianym czasie przyjechała Janet Philimore z ojcem i nie zobaczywszy na furtce białej kokardy, zostawiła bilety wizytowe, to jest właściwie kartkę, wydartą z notesu.

Nawiązały się przyjazne stosunki. Oliwia rada była z tego ze względu na męża. Od ojca i braci nauczyła się rozumieć, jak mężczyźni cenią towarzystwo mężczyzn. Sama zresztą czuła, że gdyby nie miała nigdy przestawać z kobietami, toby oszalała. Wszak przyjemniej jest pudrować nos w obecności kobiety niż krytycznego mężczyzny. Odwrotnie, mężczyźni lubią pić, gdy są sami.

– Chyba jestem tolerancyjna? – zapytała męża.

– Mało powiedzieć – odparł, odgarniając włosy z czoła. – W tobie w ogóle nie ma żadnych ograniczeń. Jesteś jak bezkres nieba.

Taki komplement musiałby zadowolić każdą żonę.

Przyjaźń z Philimore'ami była dla młodej pary jakby dodatkowym

szczęściem. Oliwia nie miała najmniejszego pociągu do łowienia ryb i jeżeli towarzyszyła małżonkowi w dalekich wyprawach na morze i piekła się na słońcu całymi godzinami z wędką w ręce, to tylko z miłości do niego. Podobnie Aleksy nie mógł się zdobyć na zainteresowanie szmatkami. Zachwycał się zgrabnymi palcami żony, manipulującymi jedwabną przędzą, ale to było wszystko. Za to Janet wiedziała o wszystkich modnych nowościach, a generał Philimore oddawał się łowieniu ryb z taką samą pasją, jak niegdyś łowieniu Niemców w sieci z drutów kolczastych.

Odwieczne prawa płci objawiały się ku ogólnemu zadowoleniu. Mężczyźni łowili ryby, kobiety szyły. Tak bywało w epoce kamiennej, tak jest dzisiaj.

Ale cywilizacja także ma swoje prawa. Pod koniec dnia przychodziła nuda i zniecierpliwienie i młodzi małżonkowie nie mogli się doczekać, kiedy zostaną sami, a gdy goście odeszli, rzucali się sobie w objęcia z okrzykiem: – Dzięki Bogu, poszli sobie!

Żadne nie pomyślało, że było niewdzięczne. Wyczekiwane sam na sam nabierało szczególnego uroku, świat stawał się piękniejszy, niż był przed chwilą, szczęście potęgowało się.

Czasami schodziła się cała czwórka; organizowano wycieczki, grano w brydża, a jeżeli padało, gawędzono o niedawnych dniach wojny albo urządzano w willi generała mały koncert. Przy tej okazji Oliwia odkryła w mężu nowy talent. Triona grał pięknie ze słuchu – na nutach się nie znał. Oliwia słyszała od dziecka, że nie powinno się grać ze słuchu i to ją tak zniechęciło do nut i ćwiczeń, że wyrzekła się muzyki. Może, gdyby się kształciła w Blair Park, byłoby inaczej, bo lubiła muzykę, a tam panowały szersze poglądy. Triona, który nie miał pojęcia o teorii muzycznej, wygrywał

melancholijne melodie rosyjskie z taką samą łatwością jak modne, amerykańskie szlagiery.

– Powiedz mi od razu, mój drogi, co jeszcze umiesz? – zapytała go po pierwszym koncercie. – Powiedz, bo te wstrząsy są szkodliwe dla mojego zdrowia.

– Umiem grać na harmonii – odparł ze śmiechem. – Nie spotkałem jeszcze nikogo, kto by mi w tym dorównał.

Okazało się, że nie była to próżna przechwałka. Przy następnej bytności w deszczowy dzień w najbliższym miasteczku Oliwia kupiła najlepszą harmonię, jaką mogła dostać, i Aleksy zagrał „Marsylianę” z nieporównanym kunsztem.

Szczęśliwe dni upływały nie tylko na miłości i uśmiechu. Oliwia odkryła, że artysta-poeta musi chwycić w lot wrażenia i przeobrazić je we fragmenty piękna. Tak artysta-malarz gromadzi szkice do jeszcze nawet nie zamierzonych dzieł. Na zapas.

– Dla ciebie, kochana – mówił Triona – dla ciebie gromadzę skarb naszych złotych chwil, żeby ci go potem złożyć u nóg.

Musiał również czytać. W czasie wojny zaniedbał dokształcanie się. Literatura angielska była mu w olbrzymich zakresach zupełnie nie znana. Na przykład, nie czytał wielkich dramaturgów elżbietańskich. Toteż cała bawialnia była założona grubymi tomami. Oliwia porwana entuzjazmem męża i dumna, że może mu pomagać w pracy nad sobą, czytała razem z nim. Razem delectowali się majestatem Marlowe’a, subtelnym pięknem Beaumonta i Fletchera i posępną prozą Webstera. Czytali na głos, dzieląc się rolami. Przy niektórych ustępach Trionę porywał taki entuzjazm, że zapominał na chwilę o jej istnieniu. Ale nie miała mu tego za złe. Przeciwnie:

zdumiona i przejęta, starała się wczuwać w jego uniesienie.

Przy okazji wszczęli dysputę na temat plagiatu. Oliwia zapytała, jak dalece autor ma prawo korzystać z cudzych pomysłów, i zdziwiła ją gwałtowność, z jaką on wystąpił w obronie plagiatorów. Zerwał się i biegając po pokoju, dowodził wymownie swego twierdzenia. Czyż wielki Szekspir nie kradł pomysłów literackich na prawo i na lewo? Oliwia, znając pasję męża do dysput, atakowała go z uśmiechem.

– Ale od śmierci Szekspira upłynęły trzy wieki i teraz mamy ochronę praw literackich.

– Zgoda. Kwestia handlowa. Nie mamy prawa eksploatować cudzych pomysłów z czyjąś materialną szkodą. Ale weźmy taki wypadek – wypadek, który mógł się zdarzyć w czasie wojny. Ktoś znajduje o kilometr od pola bitwy, zasłanego trupami, jeszcze jednego trupa. Chce zbadać, co to za jeden – lecz przy zabitym nie ma żadnych papierów osobistych oprócz notesu z cieniutkiego papieru, ukrytego pod koszulą. Okazuje się, że to nie jest przeciętny dziennik wojenny – uwagi o marszach, kwaterach, nastrojach wśród wojsk – lecz coś ciekawszego. Znalazca chowa go do kieszeni. Co się tyczy zabitego, to jest on stracony dla świata. Znalazca czyta dziennik w wolnej chwili i odkrywa w nim skarby uczuć, myśli, spostrzeżeń i wyobraźni, ale wszystko to w stanie chaosu, nieuporządkowane, nieopracowane. Przypuśćmy, że sam ma zdolności literackie i że tworzy na podstawie tego materiału piękne dzieło. Kto w tym wypadku poniesie szkodę? Nikt. Przeciwnie, cały świat się wzbogaci.

– Uczciwy znalazca powinien by poprzedzić książkę wstępem z wyjaśnieniami – zauważyła Oliwia.

Triona roześmiał się.

– Kto by mu uwierzył? Sztuczne podniesienie wartości książki za pomocą fałszywych przedmów jest tak rozpowszechnione, że nikt już nie wierzy nawet prawdziwym.

Ale oprócz literatury zajmowały ich także sprawy praktyczne. „Królowa Saba” była przejściowym domem. Musieli pomyśleć o stałym.

– Nim zostałam moją żoną, myślałam: „Po co mi dom”? Wystarczała mi byle dziura. Znudzony jednym miejscem, przenosiłem się w inne. Teraz za to...

– Teraz chciałbyś mieć swój własny, zaciszny domek, jadać regularnie, płacić podatki i być szanowanym obywatelem.

A więc dom, umeblowanie... Ile by na to trzeba przy obecnych cenach? Ale przecież jest dom w Mediów, przeładowany pięknymi meblami i w ogóle wszelkim gospodarskim sprzętem... Oczywiście. Nie ma się o co martwić.

– A może byśmy tak zamieszkali w Mediów? Olifant nie będzie tam siedział do końca życia. Sam mówił...

Oliwia potrząsnęła głową. Nie. Mediów nie jest dla takiej orchidei jak on. W Mediów może udawać się tylko kapusta. On by tam zwiędł i umarł.

– Nie martw się o mnie – rzekł serdecznie, śmiejąc się. – Ty dasz mi tyle światła i ciepła, że nie zwiędnę. Mówiłaś mi zawsze, że tak kochasz swój dom... Połączyłabyś nowe życie z tym, które minęło. I zresztą to byłoby najrozsądniejsze wyjście z sytuacji. Mielibyśmy tam naszą główną kwaterę, a poza tym moglibyśmy podróżować, gdzie by się nam podobało...

Ale Oliwia nie dała się przekonać: – Nie, ty musisz żyć w świecie literackim, musisz podtrzymywać swój prestiż. I po drugie sam mówiłeś,

że nie ma dla ciebie większej przyjemności niż rozmowa z inteligentnymi ludźmi. Z kim byś rozmawiał w Mediów? Po wyprowadzeniu się majora zabierzemy meble, a dom wydzierżawimy komu innemu.

– Jak uważasz, kochanie... chociaż szkoda – dodał z dziwnym żalem – pokochałem ten dom, stare miasteczko i ruiny zamku.

Rozmowa ta była pierwszą chmurką na niebie małżeńskiego szczęścia Oliwii. Nigdy przedtem nie przyszło jej do głowy, że mogłaby mieć tajemnice przed mężem. Opowiedziała mu o wszystkim, co przeżyła w gronie znajomych Lidii. Teraz wszakże czuła swoją nieszczerłość i to było okropne. Jak mogła mu wyjawić istotny powód niechęci do zamieszkania w Mediów? Wszak była dla niego księżniczką z bajki. Stale jej to powtarzał. Nie mógł zapomnieć pierwszego spotkania pod portykiem teatru, kiedy to olśniła go wspaniałością stroju. Wspominał wciąż, jaka była zachwycająca, kiedy ją ratował z rąk Mavenny. Jednym słowem miał ją niemal za królową. Śmiała się w głębi duszy z jego iluzji, lecz tu właśnie tkwił sęk. Kochała jego iluzje, cieszyła się nimi i ceniła je. Mogła je łatwo ochraniać i zachować do końca życia...

Ale nie w Mediów.

Od wyjazdu z rodzinnego domu starała się zaaklimatyzować w sferze matki i udało jej się to w zupełności. Nazwisko ojca i matki otworzyło jej wstęp do wielu domów. Ceniła uzyskane tą drogą przyjaźnie. Małżeństwo zrealizowało jej ambicje, zasadniczo skromne i dorzeczne. Mąż pochodził ze starej rodziny, z tej samej sfery, co matka i Philimore'owie. Co więcej, był genialnym pisarzem i należał do elity towarzyskiej.

Sfera matki była dla Oliwii środowiskiem dobrze wychowanych intelektualistów. Patrzyła na nią tylko pod tym kątem. Otoczenie Sydneya

Rooke'a przejmowało ją odrazą.

Parę dni przedtem Aleksy powiedział do niej: – Jakaś ty piękna! Chciałbym cię ubrać w perły i wprowadzić do wielkiego pałacu...

A ona odrzekła: – Nie chcę pereł, pałaców i samochodów. To są wszystko mrzonki. Przeciętne wygody, dobre jedzenie i ciepło, przyzwoite ubranie – owszem. Ale na tym koniec. Kochaj mnie tylko i pracuj nad naszym szczęściem.

Tak gorąco pragnęła żyć szlachetnie i nie mogła. Budząc się, cierpiała na myśl, że gra z nim komedię. Przypomniała sobie z upokorzeniem swoje dawne dzieje: gorzką urazę do dumnych panien w Blair Park; niechęć do pobłażliwie uprzejmych dla niej córek pastora, pochodzącego z jakiejś świetnej rodziny („Ta ładniutka Oliwia Gale”); stopniowe uświadomienie sobie przepaści, dzielącej Gale'ów od okolicznego obywatelstwa; zazdrość o ich bale, zabawy i tenisa. Jakżeby mogła wprowadzić męża w koło „porządnych ludzi”, zacnych prostaczków: Trivettów, kupców, młynarzy i nauczycieli, i wyłączyć niejako ze świata matki i jego świata? Nie, to było nie do pomyślenia. Odkryty w sobie snobizm męczył ją ogromnie. Pod tym względem stawiała się niżej od Lidii, która pomimo, że wyszła za mąż efektownie, mówiła o swoim pochodzeniu z cyniczną otwartością. Niestety, nie mogła wyznać mężowi za nic w świecie, co ją naprawdę odstręczało od Mediów. To było ponad jej siły. Raz zdobyła się na bohaterską próbę, lecz on z powodu swego zagranicznego wychowania nie zrozumiał jej ostrożnych, wstępnych słów, to jest zrozumiał, ale zupełnie fałszywie. I potem już nie mogła.

Jego wesoła beztroska działała na nią kojąco. Umówili się, że skoro tylko major wyprowadzi się z Mediów, zabiorą meble i postarają się o

mieszkanie, a dom wydzierżawia.

– Czuję, że nie zdobyłabyś się na to, żeby sprzedać dom – rzekł Triona.

– I zresztą kto wie? Może kiedyś...

– Nie, najdroższy – odparła, przytulając policzek do jego twarzy.

– Nie sprzedalabym. Jak ty mnie rozumiesz!

Niebezpieczeństwo, grożące od strony Mediów, upadło. Odetchnęła.

Ale w duszy pozostał cień mimowolnej obłudy.

Upłynęły cztery tygodnie. Pomimo prowizoryczności pobytu w „Królowej Sabie”, młoda para czuła się w niej rozkosznie pewnie, tak jakby miała tu mieszkać całe życie. Gdy pewnego dnia, w upalne południe, odpoczywali oboje po pływaniu na piasku na zboczu porośłym jałowcem, ukazała się Myra z telegramem w ręku i ignorując przywilej Triony jako głowy domu, wręczyła go „panience”. Na adresie było tylko napisane *Triona*. Oliwia odruchowo chciała ją otworzyć, lecz Aleksy usiadł, spojrzał bacznie i wyciągnął rękę.

– Zdaje się, że to do mnie. Spodziewałem się depeszy. Pozwolisz?

Oddała mu z uśmiechem. Wstał i idąc wolno ku morzu, czytał. Potem podarł papier na drobniutkie kawałeczki i rzucił na wodę. Chwilę stał, patrząc w dal, wreszcie zawrócił. Oliwia wstała. Myra wdrapywała się bez pośpiechu na zbocze.

– Co to? – zapytała Oliwia, dziwiąc się, że zniszczył telegram i patrząc mu w oczy, w których migotał strach.

– Dostałem złą wiadomość. – Podniósł płaszcz kąpielowy, otrząsnął z piasku i zarzucił na ramiona. – Chodźmy do domu. – Wstrząsnął się.

– Zimno mi.

Poszła za nim.

– Jaką wiadomość?

Zaśmiał się krótko i dopowiedział przez ramię: – Nic rozpaczliwego. Do końca świata daleko. Powiem ci, jak się ubiorę.

Wbiegł na werandę i zniknął w swoim pokoiku. Oliwia, sucha i rozgrzana, usiadła na słońcu, na wyplatanym krześle. Serce biło jej niespokojnie. Instynkt kochającej kobiety i wrodzona delikatność nie pozwoliły jej drażnić natrętnymi pytaniami człowieka, wytrąconego chwilowo z równowagi i tylko szukała w myśli prawdopodobnych przyczyn jego wzburzenia.

Czekała kwadrans, który wydał jej się ćwiercią wieku. Triona zjawił się w końcu, lecz nie w codziennym ubraniu, a w granatowym garniturze. Na ten widok poczuła w sercu mroźny chłód.

– Jedziesz?

Skinął głową. – Tak, kochana. Muszę.

– Dlaczego? Co się stało?

– Nie mogę ci powiedzieć, kochanie. To jest właśnie najprzykrzejsze. Tajemnica, od Foreign Office.

Doznała takiej ulgi, że się roześmiała. – Och, mój drogi, a tak mnie przestraszyłeś. Myślałam, że to coś poważnego.

– Poważnego, jeżeli muszę cię opuścić na trzy cztery dni, a może na tydzień.

– Na tydzień! – przeraziła się. A więc aż tak! Jak ona przeżyje siedem samotnych dni, a w każdym dniu dwadzieścia cztery godziny? Co to ma znaczyć?

– Mało jest Anglików, którzy znają język rosyjski tak jak ja. Od powrotu do Anglii jestem w stałym kontakcie z naszym wywiadem. Z jego

polecenia jeździłem jesienią do Finlandii. W tych rzeczach, kochanie, człowiek jest zobowiązany do bezwzględnej tajemnicy. Rozumiesz?

– Naturalnie – odpowiedziała dumnie.

– Gdybyś tego zażądała, mógłbym odmówić. Jestem wolnym człowiekiem.

Położyła mu ręce na ramionach. I znów wyrył mu się w pamięci jeszcze jeden jej obraz. Miała na głowie czerwony czepeczek, ogromnie twarzowy, a na ramionach płaszcz kąpielowy, spod którego wyglądał czerwony kostium. Czarne oczy błyszczały, drobna twarzyczka tchnęła życiem.

– Mój ojciec i dwaj bracia oddali życie za Anglię. Musiałabym być okropną egoistką, żeby się nie wyrzec ciebie na jeden tydzień dla dobra kraju.

Ujął jej twarz w obie dłonie.

– Moja zaczarowana księżniczko, jesteś cudowniejsza, niż cię sobie wymarzyłem. Co dzień sprawiasz mi jakąś nową niespodziankę.

Roześmiała się. – Jestem Angielką.

– Więc nie chcesz wiedzieć, dokąd jadę?

Odsunęła się. – O, chcę. Nie będę się ciebie mogła doczekać. Ale jeżeli mi nie powiesz, to trudno. Wystarczy mi świadomość, że działasz w dobrej sprawie. Powiedz mi – chwyciła go za klapy kurtki – nie grozi ci żadne niebezpieczeństwo?

Uśmiechnął się. – Żadne. O to możesz być spokojna. W najgorszym razie będę musiał jechać do Helsingfors, wnosząc z depezy. Okropnie ją zredagowali: z angielska po rosyjsku.

– Kiedy jedziesz?

– Pierwszym pociągiem. Mam się stawić wieczorem.

– Czy mogłabym cię odwiedzić do Londynu?

– Nie – odpowiedział po namyśle. – Gdzie byś spała? Według wszelkiego prawdopodobieństwa jeszcze dziś w nocy popłynę do Havre’u.

Rozstali się w godzinę później. Oliwia wróciła do pustego domu, pełna nieokreślonej trwogi, niepewności, poczucia samotności i niesamowitego wrażenia, że poślubiła mieszkańca innej planety, który nagle rozwinął skrzydła i popłynął przez puste bezmiary do swojej dziwnej ojczyzny. Kręciła się nerwowo po werandzie i trzech pokoikach, zarzuconych śladami jego niedawnej obecności: książkami, papierami, ubraniem. Na myśl, że zrzucił z siebie to otoczenie tak swobodnie jak odzież, uśmiechnęła się słabo. Nagle rzuciła okiem na konsolkę kominka i wydała okrzyk przerażenia. Zapomniał zegarka. Wzięła go z impulsywnym zamiarem natychmiastowego wysłania przez pocztę, lecz przypomniawszy sobie, że przecież nie zostawił adresu, zmartwiała. Musiała czekać na depezę, która mogła przyjść nazajutrz, pojutrze lub na trzeci dzień. Nie oznaczył dnia. A tymczasem będzie się irytował, że nie ma zegarka.

Trapiła się tym drobiazgiem w nieskończoność, nie zdając sobie sprawy, że znajduje w tym ulgę.

Godziny dłużyły się rozpaczliwie. Nie miała ochoty ani czytać, ani jeść, ani pójść do Philimore’ów. Pomimo całej delikatności na pewno by zapytali o przyczynę tego nagłego wyjazdu Aleksego. Mogłaby powiedzieć, że wyjechał do Londynu w interesach, lecz wydawało się jej, że to by nie wystarczyło. W rozgorączkowanym mózgu pozornie prosty incydent nabierał nieproporcjonalnie wielkich rozmiarów. Bała się, że zacni przyjaciele potraktowaliby tę międzyplanetarną tajemnicę zanadto zdawkowo.

Żeby tylko Aleksy nie zapomniał o zegarku! A może zdąży kupić inny?
Och, Boże, żeby kupił!

Pozostawiony włożyła na rękę z heroicznym postanowieniem, że do jego powrotu będzie go nosić dzień i noc.

Wieczorem usiadła przy lampie w bawialni, twarzą do werandy. Noc była czarna i tak cicha, że nie było słycać nawet szmeru fal. Wyobraziła sobie, że znajduje się na pustej wyspie na Oceanie Spokojnym. Na kolanach jej leżał drugi tom Motleya: „Republiki Holenderskiej”. Wszyscy Wilhelmowie, bohaterzy i łotry, żołnierze, politycy i obywatele z tamtych czasów, spoczywali wygodnie pod ziemią już od setek lat. Ale co znaczyli ci umarli **F** wobec jednego żywego człowieka, który ją opuścił i zapadł się w nieznaną, ciemną dal?

Do pokoju weszła Myra, obładowana pościelą.

– W garderobie jest łóżko polowe, to się na nim prześpię. Nie bardzo wygodne, ale ujdzie.

Oliwia odwróciła się szybko i spojrzała takim wzrokiem, jakby się obudziła z głębokiego snu.

– Okropnie niewygodne. Dziękuję ci, kochana, żeś do mnie przyszła.

Nie będę sama. Ty prześpisz się na moim łóżku, a ja na polowym.

– Czy panienka oszalała? – zapytała służąca. – Przykro słuchać.

I znikła razem ze swoim tobołem.

Oliwia zgasła światło i położyła się do łóżka. Całą noc nie zmrużyła oka.

Była pod wrażeniem fantastycznego wdowieństwa i starała się zgadnąć czy przeczuć, co się dzieje z mężem, gdzie jest, co robi.

Trzecia nad ranem: jest na Kanale. Czy dostał miejsce, czy też

przechadza się po pokładzie? Dzięki Bogu, że taka spokojna noc. Wyskoczyła z łóżka i wyrzała na ciemne morze, prawie nieruchome, jakby zalane oliwą. Och, dzięki Bogu i za to! Że też biedaczysko zapomniał zegarka – zegarka, który znaczył mu nieskończone minuty więzienia, pośpieszne godziny bliskiej śmierci, i w ogóle towarzyszył we wszystkich zdarzeniach zdumiewającego życia.

Starła się zmusić do zaśnięcia i nie mogła. Świadomość, że jest sama, że nie ma go obok siebie, trzymała ją w napięciu. Tak doczekała świtu.

Ale myliła się w swoich przypuszczeniach. Triona nie stał koło burty okrętu, nie patrzył w gwiazdziste niebo i nie dumał nad tajemnicą, dotyczącą pokoju świata. Nie. Jechał trzecią klasą na północ do NewcastleonTyne, ale nie żeby wsiąść tam na okręt, płynący do Finlandii. Nie. Trapił się tylko, czy znajdzie o tak wczesnej godzinie dorożkę, gdyż cel jego drogi leżał o trzy mile dalej.

Bo depesza, którą podarł i rzucił w morze, nie była nadana z Foreign Office i nie była zredagowana po rosyjsku, lecz zwyczajnie po angielsku:

Matka umierająca. Przyjeżdżaj natychmiast.

ROZDZIAŁ XIII

Siąpił drobny deszczyk. Taksówka pędziła brudnym nadbrzeżem rzeki, to równo z szynami tramwajowymi, to przecinając nędzne uliczki. Za miastem ciągnął się szereg tandetnych domków z ogródkami. Triona wysiadł przed numerem siedemnastym i zapłaciwszy szoferowi, pchnął furtkę. Jednocześnie drzwi domu otworzyły się i w progu stanęła niemłoda, wynędzniała kobieta, w lichym, brudnym szlafroku.

– To ty, Janie... Nie poznałabym cię...

Mówiła twardym, północnym akcentem i twarz jej nie zdradzała wzruszenia.

– Jesteś Ellen – odparł jakby pytająco.

– Ellen, Ellen. Chyba nie myślałeś, że Jane? Zaprowadziła go przez wąski korytarz do malutkiej bawialni.

– Nie. Naturalnie. Jane umarła trzy lata temu. Ciebie nie widziałem od dzieciństwa.

Zmierzyła go od stóp do głów.

– Prawdziwy pan.

– No, chyba. Jak tam matka?

Opowiedziała, wzdychając. Chora przeżyła noc i śpi.

– Postanowiła, że nie umrze, dopóki cię nie zobaczy. Zawsze była taka twarda. I nie umarła. Postawiła na swoim. Dopóki nie przyszła depeza od ciebie, myślałam, że nie przyjedziesz.

Spojrzał na nią badawczo.

– Dlaczego nie miałbym przyjechać? Od powrotu nie raz ją

odwiedzałem. Jeżeli mi się dobrze wiedzie, to nie powód, żebyś mi wyrzucała nieobowiązkowość wobec matki.

– Nie chcę się z tobą kłócić – rzekła jękliwie. – Wiem, żeś ją odwiedzał i przysyłał trochę grosza. Biedna, błogosławi cię za dobroć... – Urwała. – Ale pewnie zjadłbyś śniadanie.

– I umyłbym się.

– Czy jaśnie pan każe sobie dać do pokoju gorącej wody, czy umyje się po dawnemu przy zlewie?

– Przy zlewie. Nie chcę ci robić kłopotu.

Triona poszedł za siostrą i umył się przy zlewie kawałkiem żółtego mydła, a wytarł ordynarnym ręcznikiem, wiszącym obok na sznurze, po czym wszedł do czystej kuchni, wytapetowanej lichymi reprodukcjami i wyblakłymi fotografiami pomarłych Briggsów. Ellen smażyła dla niego jajka i wędzonkę. Jego gotowość do dostosowania się do zwyczajów domowych trochę ją udobruchała. Nawet zdjął kurtkę. Matka tak była dumna z wielkiego syna, iż Ellen spodziewała się, że zobaczy nieznośnego, aroganckiego parweniusza. Mieszkała w Sunderlandzie z mężem, majstrem ślusarskim i dziećmi, i odwiedzała matkę raz na rok, tak że z bratem nie spotkała się poprzednio ani razu. Teraz przyjechała na nagłe wezwanie córki sąsiada, która pełniła przy Briggsowej obowiązki opiekunki i posługaczki. Nie widziała się z bratem od szesnastu lat i w ogóle niewiele się nim interesowała. Pamiętała go jako łobuza, który albo płatał figle, albo „leniuchował” nad książkami i, jako kobieta praktyczna, miała mu za złe i jedno, i drugie. Później on „przepadł” gdzieś za granicą, a ona powodowana „głupotą” („młoda byłam, głupia”), zaprzęła się w ciężkie jarzmo małżeństwa i macierzyństwa. Ponieważ sama miała „psie życie”, było jej

absolutnie wszystko jedno, czy brat żyje, czy umarł, czy jest szczęśliwy, czy nieszczęśliwy. I nagle zjawił się, żywy i szczęśliwy i zaimponował jej pewnością siebie, nie mającą nic wspólnego z parweniuszowską fanfaronadą. Ale pomimo wszystko patrzyła na niego pogardliwie, nawet gdy usiadł przy kuchennym stole i zajadając z apetytem jajka i wędzonkę, chwalił jej gotowanie.

– Czego nie rozumiem – rzekła, stając z drugiego końca stołu – to tego, dlaczego wzgardziłeś naszym nazwiskiem?

– To trudno wytłumaczyć – odparł. – Widzisz, napisałem książkę. Czytałaś ją?

Skrzywiła się pogardliwie.

– Czy to ja mam czas na książki? A mąż, a siedmioro dzieci? Gdzie bym zaś leniuchowała! Ale widziałam twoją książkę. Matka mają przy łóżku na stoliku, obłożoną porządnie papierem, a jakże.

– Musisz przeczytać – odparł Triona z ulgą. – Wtedy zrozumiesz, dlaczego zmieniłem nazwisko. – Roześmiał się z jej miny. – Nie popełniłem żadnego przestępstwa i nie ukrywam się przed policją.

– Pewnie zagraniczne nazwisko przynosi więcej pieniędzy – rzekła praktycznie.

– Właśnie.

– Ludzie są głupi.

Zgodził się z nią wesoło i skierował kłopotliwą rozmowę na sprawy domowe.

Po śniadaniu zapalił papierosa i patrząc na jej zniszczone ręce, sprzątające ze stołu, wskrzeszał w wyobraźni wspomnienia dzieciennych lat. W tym samym drewnianym krześle z poręczami, choć nie w tej samej kuchni,

siadywał ojciec z fajką w ustach, podczas gdy kobiety krzątały się koło gospodarstwa. Wszystko to było takie znane, a takie już dalekie. Między tamtą przeszłością i terażniejszością rozciągało się całe życie – po prostu całe życie – romantyczne, szerokie i bujne. Na wprost, na ścianie wisiała pamiętna kolorowa reprodukcja, wycięta z jakiegoś gwiazdkowego numeru i przedstawiająca młodego Raleigha w rozmowie z marynarzem, którego długie ramię, wskazujące na morze, działało na wrażliwego Johna Briggsa jak symboliczny nakaz. Wyruszył w świat, przeżył dziwne przygody i wrócił do obrazka. Teraz miał uczucie, że mu się to tylko śniło, że dawne życie wciąż trwa.

Po odejściu lekarza wpuszczono go do matki. Siedział przy niej z godzinę, co ją niewymownie uszczęśliwiło. Po południu straciła przytomność, a na trzeci dzień umarła.

Długie, szare godziny, jakie upłynęły między tym ostatnim widzeniem i pogrzebem, przesiedział z niewielkimi przerwami na krześle ojca. Do wyjścia na dwór zniechęcała burzliwa, północna plucha. Rozpamiętywał swoje życie, starając się spojrzeć w oczy wewnętrznej prawdzie i oddzielić ją od mistyfikacji w jaką wplątał swój życiorys. Przecież w romantycznych dziejach Triony, którym był od roku, tkwiły realne fakty. Nie mógłby żyć takim zmyślonym życiem, gdyby się opierało całkowicie na kłamstwie. Tak badając swoją duszę, szukał jednocześnie usprawiedliwienia.

Znajdował je w dziecinnym entuzjazmie, z jakim posłuchał nakazu ręki z obrazka, wskazującej na morze i, ratując się od perspektywy pracy w fabryce, porzucił ograniczonego, dokuczliwego ojca, wsiadł ukradkiem, bez grosza przy duszy, na okręt płynący do Archangielska, a stamtąd powędrował w głąb Rosji. Znajdował je w przemożnym uroku, jaki go

ciągnął do Rosji, we wrodzonym sprycie, dzięki któremu, poniechawszy żeglarskiej włóczęgi, dostał miejsce chłopca w stajni wyścigowej rosyjskiego księcia, a potem, protegowany przez księżnę, która się na nim poznała, na praktykę do garażu i wreszcie do fabryki samochodów. Znajdował je w łatwości, z jaką przyswoił sobie język rosyjski, tak trudny dla Anglików, w zachwycie dla poezji rosyjskiej i folkloru. Nie dosypiał, bo uczył się po nocach; w ambitnych marzeniach o małej księżniczce Tani, która miała guwernantkę Angielkę i szczebiotała po angielsku srebrzystym głosikiem. Znajdował je w swoich wyjątkowych przymiotach: sprawności, zmyśle orientacji, inteligencji i wyobraźni, które sprawiły, że w ciągu niewielu lat przedzierzgnął się z obdartego, niedouczzonego włóczęgi, lądowego i morskiego, w zaufanego nadzorcę tuzina książęcych samochodów; w kuriera-szofera, znającego wszystkie drogi, obyczaje i języki imperium rosyjskiego od Rygi do Tobolska, od Tobolska do Tyflisu, od Tyflisu do Petersburga; w znawcę literatury rosyjskiej i prawie już znanego poetę, traktowanego przez księcia jak równy intelektualnie rozmówca, co było podniętą dla dalszego rozwoju umysłowego. To wszystko świadczyło o geniuszu, a geniusz podlega innym osądom niż przeciętni śmiertelnicy. Czyż bez tego rozgrzeszającego go geniuszu mógłby wdrzeć się, od pierwszego zamachu, w szranki literackiego świata Anglii?

Mając z natury skromne upodobania, wzbogacił się niesłychanie podług skali wymagań z dziecinnych lat. Nosił się z zamiarem wybudowania ogromnych zakładów samochodowych i stworzenia typu rosyjskiego samochodu. Rodzina książęca popierała go we wszystkim. Właśnie przystępował do realizacji tego projektu, kiedy wybuchła wojna i położyła koniec wszelkim planom. Książęcy dom rozpierzchnął się po świecie; konie i

samochody utonęły w zamęcie.

Woził generałów po froncie. Zgłosił się jako ochotnik na szofera. Będąc angielskim poddanym, nie podlegał poborowi. Był świadkiem ofensyw i odwrotów, bitew i pożarów, lecz miał służbę względnie bezpieczną. Dopiero natknąwszy się na angielską kolumnę aut pancernych, poczuł się patriotą angielskim i został żołnierzem. Służył w tej kolumnie przez większą część wojny; wreszcie, ciężko ranny, dostał się do szpitala, gdzie leżał przez wiele miesięcy. Rana w piersiach zagoiła się dość szybko, za to w nodze wywiązała się gangrena i tylko cudem nie doszło do amputacji. Trzy brakujące palce nie były żadną fikcją. Olifant widział lukę na własne oczy.

Triona walczył z sumieniem. Czy w swojej książce podał coś więcej niż fakty? I czy nie przecierpiał mężnym sercem całego okropnego kataklizmu?

To wszystko prawda, ale co z dalszym ciągiem? Czy i za dalszy ciąg był odpowiedzialny tylko los?

Przyszła rewolucja i państwo rosyjskie zapadło się jak domek z kart. On sam, opuściwszy szpital, wpadł w chaos. Chciał się dostać do Petersburga, gdzie miał małą fortunę. Odbył tę drogę, to czepiając się zabłąkanych pociągów, to przysiadając na chłopskich wozach, to idąc pieszo. Przekonawszy się, że mundur angielski nie cieszy się szacunkiem, przebrał się w chłopskie odzienie. O tyle jego podróż przez zrewolucjonizowaną Rosję była zgodna z prawdą. Ale miał przy sobie dostatecznie dużo pieniędzy, żeby nie przymierać głodem.

Wreszcie przyszedł największy, najważniejszy dzień jego życia, kiedy spotkało go to, co opowiedział żonie w formie fantastycznej możliwości.

Dowiedział się, że na pewnej stacji będzie mógł złapać pociąg wracający do Petersburga, ale czekał go jeszcze długi marsz. Znużony, usiadł koło

drogi i posilił się czarnym chlebem i suszoną rybą, zakupami z ostatniej, spotkanej wsi. Jedząc, zauważył, że w rowie, zarośniętym bujną trawą, bieleje coś długiego, nieruchomego, okropnego. Ześlizgnął się na dno i znalazł trupa, zupełnie nagiego, leżącego na wznak. Był to pięćdziesięcioletni mężczyzna o krótko ostrzyżonych, siwawych włosach i wąsach, regularnych, subtelnym rysach twarzy. Śmierć musiała nastąpić przed dwoma dniami. W piersiach widniała dziura od kuli. Ręce i nogi miał związane. Mordercy obrali go dosłownie ze wszystkiego. Triona wiedział i Ofiara jednego kłamstwa z doświadczenia, że takie napaści są nieodłączne od przewrotów rewolucyjnych. Już miał odejść od trupa – bo cóż mógł zrobić? – kiedy zobaczył, że w trawie coś błyszczący. Schylił się i podniósł kieszonkowy kompas. Potem znalazł kolejno, w pewnych odległościach, szczoteczkę do zębów; podarty egzemplarz Tacyta bez okładki; małą, amatorską, wyblakłą fotografię kobiety w tekturowej ramce; garnitur sztucznych zębów i małą, grubą książeczkę w płóciennym oprawie z pozawijanymi rogami. Gdyby dłużej szukał, pewnie by znalazł więcej przedmiotów, porzuconych przez bandytów, jako nieużyteczne, ale na co by się zdały te dowody rzeczowe, kiedy o śledztwie i sądzie nie mogło być mowy? Książeczkę, która, jak stwierdził, była rękopisem, schował do kieszeni i ruszył w dalszą drogę.

Odpooczywając, czytał. Książeczka okazała się niesłychanie ciekawym dziennikiem, pełnym opisów zdumiewających przygód, udręczeń, tortur i niewoli. Nie myśląc o jej wartości, a oczarowany jej urokiem, zaczął ją uważać za swój największy skarb.

Do przyjazdu do Rygi jego własny opis wędrówki przez Rosję był prawdziwy. Czyż nie włóczył się po rewolucyjnym Petersburgu, budząc groźne dla siebie podejrzenia? Czyż książe i księżna, wyidealizowani w

książce jako rodzice, nie zostali zamordowani, a ich bogactwa skonfiskowane razem z jego kapitalikiem? Czyż nie był uciekinierem? Czy nie przeszedł przez straszliwe więzienie? Prawda, że po kilku dniach uciekł, przekupiwszy strażę. Ale cała historia opierała się na faktach. Albo czy blagował na temat swojej przytomności umysłu? Strażnicy więzienni chcieli mu odebrać cenną książkę. Wiedząc, że byli analfabetami, zapewnił ich, że to rękopis jego republikańskiego poematu, a gdy mu kazali coś zeń przeczytać, zadeklamował z pamięci wiersze Szewczenki. W rezultacie uwierzyli mu, a nawet uznali go za czerwonego rewolucjonistę. To, w połączeniu z kilkoma rublami, otworzyło mu bramy więzienia. I czyż potem nie wędrował na północ, nie głodował, nie okrwawił nóg?

Czy nie storpedowano okrętu, którym płynął? Czy nie dotarł do Anglii na pół nagi i bez grosza przy duszy? Czy dalej realna prawda przygód nie świadczyła o nim lepiej niż fikcyjna opowieść? Przecież, zgłosił się na angielski okręt wojenny i spędził na nim kilka miesięcy jako marynarz, aż do ostatecznej katastrofy na Morzu Północnym. Potem, po krótkim pobycie w szpitalu, poczciwa komisja lekarska odkryła u niego wadę serca i wyprawiła do Anglii na wolność.

Tak. Nikt nie powstydziliby się takiej historii jak jego. Po cóż więc było uciekać się do fikcji?

Siedząc w surowo realnej kuchni matki, starał się odpowiedzieć sobie po raz pierwszy na to trudne pytanie. Znalazł odpowiedź w uroku czarownej książeczki. W rzadkich, beczynnych chwilach na morzu była mu brewiarzem. Więcej: talizmanem, zaklęciem, ucieczką od rzeczywistości. Nosił ją stale pod bluzą, w pokrowczyku od ceraty. Dusza autora, którego poznał w śmiertelnej nagości, wstąpiła niejako w jego duszę. W czasie

męczących wacht na Morzu Północnym przeżywał jego życie z nieprawdopodobną intensywnością. Zdawało się, że trudno mu było oddzielić swoje wrażenia od przeżyć tamtego. Nie mógł wprost uwierzyć, że to nie on mieszkał w Kurdystanie i to nie jego torturowano.

Kiedy na poddaszu w Cherbury Mews zaczął pisać swoją kompozycję faktów i wyobraźni, to złudzenie nasiliło się.

– A może to jest wypadek opętania psychicznego – rzekł półgłosem, patrząc w kuchenne ognisko – za który nie jestem odpowiedzialny?

To było najbardziej pocieszające rozwiązanie, jakie mu przyszło do głowy.

Innego nie znalazł. Poruszył się nerwowo, zmienił pozycję nóg i rzucił świeżo zwiniętego i zapalonego papierosa w ogień. Tak. Opętało go, bo w przeciwnym razie musiałby się uznać za bezczelnego kłamcę, kreaturę godną pogardy. Jak inaczej wytłumaczyć bezceremonialne okłamywanie wydawcy? Przedtem nie myślał o strojeniu się w cudze piórka. Musiał nadać tajemniczemu umarłemu jakąś osobowość. Jego własne nieświadome twórcze ja domagało się ekspresji. Złał zmarłego i siebie w jedną indywidualność, którą ochrzcił nazwiskiem Aleksego Triony. Naturalnie, dla prawdopodobieństwa, przyjął je jako pseudonim. I zresztą któż by się zainteresował książką, napisaną przez jakiegoś Briggsa? Pierwsze pytanie wydawcy oszołomiło go, niczym cios między oczy. Ale po kilku sekundach z chaosu artystyczno-psychiczno-romantycznych pobudek wyłonił się Aleksy Triona, a jako Briggs przestał istnieć. Kiedy książka ukazała się na wystawach księgarskich i Triona stał się sławny, sprawa była już przesądzona. Nie mógł się zdemaskować.

Dotychczas nie było się czym przejmować. Sam prawie wierzył w

swoje kłamstwa, gdyż tak mocno wczuł się w życie zmarłego, że myślał o nim jak o swoim drugim ja. Teraz wszakże, w surowej atmosferze domu rodzinnego, wszystko wydało się inne. Jeszcze przy pożegnaniu z Oliwią autohipnoza działała. Teraz czuł się już tylko kłamcą i oszustem.

Jesienią ubiegłego roku wcale nie jeździł do Helsingfors. Jakie sprawy mógł mieć w Helsingfors zdemobilizowany marynarz angielski, nieznany nikomu Briggs?

Po co te wyszukane kłamstwa? Wzruszył ramionami i opuścił bezradnie ręce. Znow to opętanie. Spokój Mediów działał mu na nerwy. Zapragnął się stamtąd wyrwać, zatęsknił do nowego otoczenia. Wymyślił Helsingfors – kłamstwo było dramatyczne, odpowiednie do romantycznej przeszłości; w szczerym umyśle majora Olifanta podtrzymywało tajemniczość osoby Triony, a jemu dawało swobodę. Mówiąc o swojej włóczęgowskiej żyłce, nie kłamał. Lubił wieczną zmianę szerokich gościńców. Gdyby go osadzono w jednym miejscu, choćby w książęcym pałacu, na pewno by się w końcu zbuntował i uciekł w świat. Ale i jego dawny dobroczyńca, książę, też miał włóczęgowską żyłkę, odziedziczoną po tatarskich przodkach.

Podróżowali bezustannie po całej Rosji, doświadczając różnych przygód i wrażeń, ku żywiołowej radości młodego kierowcy. Opuściwszy Mediów, powędrował pieszo, z torbą na plecach, na północ Szkocji. W drodze odwiedził matkę i dotarł do John-o'-Groat's, pamiętnego z rozmowy z Oliwią. Nie domyślała się, kochana, jak on dobrze znał ten daleki szlak...

A jednak przy ponownym spotkaniu z Olifantem, któremu musiał coś wspomnieć o swojej podróży, prawie uwierzył w swoje kłamstwa o powrocie

z Finlandii.

I co teraz? Nie mógł wrócić do stęsknionej Oliwii i wmówić w siebie, że wraca z Helsingfors. Kłamstwo było dość łatwe. Jakże mógł inaczej wytłumaczyć swój wyjazd? Musiał jechać do umierającej matki. Nawet nie pomyślał, że mógłby nie pojechać. Tylko że szczere powiedzenie prawdy rozbiłoby w puch wyszukaną legendę o Aleksym Trionie. Łatwo było skłamać przy rozstaniu. Za to kłamstwo powitalne – nieunikniona bajka o rzekomej podróży – wydawało się wstrętne i trudne. Po raz pierwszy od czasu, gdy ją pokochał, doznał wyrzutów sumienia z powodu swego oszustwa i obawy, że się przed nią zdradzi.

Nie sypiał nocami z tęsknoty za nią. Dręczył się przeczuciem, że mógłby ją stracić! Widział ją oczyma wyobraźni samotną, ufną, liczącą godziny do jego powrotu. Ale, dzięki Bogu, już się odtąd nie rozstaną. Matka była jedynym ogniwem, łączącym go z przeszłością.

Obawiał się trochę komplikacji testamentowych, ale nie było żadnych. Matka miała tylko dożywocie na malutkiej posiadłości, która, na mocy testamentu ojca, przypadła Ellen. A Ellen nie wchodziła w rachubę. Pochłonięta domowymi troskami, usunie się z jego życia raz na zawsze, bez cienia żalu.

Przy śniadaniu w dzień pogrzebu, rzekła nagle, po swojemu cierpko:

– Czytałam twoją książkę. Same łgarstwa.

– Byłyby, gdybym się podpisał swoim nazwiskiem – odpowiedział.

– O Trionie to wszystko jest prawdą.

– Ty inaczej myślisz niż my tutaj. – zauważyła chłodno. Słowa te odczuł jak policzek. Zaczerwienił się gniewnie.

– Jak ty śmiesz tak do mnie mówić?

– Przepraszam – odparła. – Zapomniałam, że matka jeszcze nie pochowana.

Wzruszył ramionami. Musiał uznać to za przeproszenie, lecz w sercu została piekąca rana. Rozstali się po pogrzebie z kamiennymi twarzami. Podali sobie ręce i ona rzekła:

– Chyba cię już nie zobaczę.

– Chyba.

– No, to bywaj zdrów.

– Bywaj zdrowa.

Wsiadł do taksówki z uczuciem ogromnej ulgi. Dzięki Bogu, że te upiorne dni już minęły, że mógł wrócić do cudownego życia ze swoją czarnooką, wymarzoną księżniczką i do pracy, wcielającej wspólne cele ich obojga.

Jak po przybyciu do Newcastle depeszował do niej, że wsiada na okręt, tak teraz zapowiedział swój przyjazd:

Wracam. Wszystko dobrze. Kochani, tęsknię.

Oliwia ucałowała blankiet telegraficzny. Tylko on umiał tak pisać.

ROZDZIAŁ XIV

Czekała na niego na stacji. Nie mogli się przywitać tak, jak by pragnęli, ze względu na ludzi, ale w taksówce wzięli się za ręce i przytulili mocno do siebie. Triona skorzystał z tych chwil, żeby się wytłumaczyć i poszło mu to łatwiej, niż przypuszczał. Nie miał właściwie po co jeździć i tylko zmarnował kilka dni. Agent, z którym miał się zobaczyć, został wezwany do Rosji, tak że oddał tylko papiery w poselstwie angielskim i wsiadł na okręt powrotny. Dwie nudne podróże morskie i nic więcej. Ale drugi raz nie podejmie się takiej misji.

– Nie mógłbym już rozstać się z tobą na tak długo.

– I dla mnie to było okropne – rzekła Oliwa. – Nigdy nie myślałam, że samotność może być taka ciężka do zniesienia. Pamiętasz tę rybkę, którą dzieci Bryce'ów trzymały w puszce od biszkoptów? Ja się czułam tak, jak ta biedna rybka.

Obiecał, że już jej nigdy nie zostawi samej, i nim dojechali do domu, prawie zapomniał o swoim kłamstwie. Obawy, jakie go dręczyły w kuchni matki, rozwiały się jak mgła na słońcu. Mityczna przeszłość musiała pozostać. Postanowił tylko, że dotąd będzie wobec niej tak szczery, jak ona wobec niego.

Znalazłszy się w mieszkaniu, rzucili się sobie w objęcia, śmiejąc się radosnym śmiechem zakochanych. Pokoje były przybrane różami i pachnącym groszkiem. Woń kwiatów mieszała się delikatnie ze słonym oddechem morza. Triona zwrócił od razu uwagę na powitalne bukiety, ku wielkiej radości Oliwii, która poznała już jego brak spostrzegawczości. Co

więcej, zachwycił się śniadaniem – on, taki zawsze obojętny na jedzenie!

– Wszystko jest w tobie – rzekł – zapachy, barwy i smak. Tylko dzięki tobie ten wszechświat ma jakiś sens.

Położyła rękę na jego dłoni i oczy jej zaszyły łzami. – Naprawdę jestem dla ciebie takim skarbem? – spytała wzruszona. – Co mam robić, żeby nie spaść z piedestału, na jakim mnie postawiłeś?

Podniósł do ust jej rękę.

– Gdybyś tylko istniała jako kwiat, twoja piękność i woń byłyby dla mnie wszystkim. Ale jesteś kwiatem, który ma duszę. Bądź taka, jaka jesteś.

Mówił szczerze. Kobiety grały dotychczas minimalną rolę w jego wewnętrznym życiu. Pomimo wszystkich swoich szaleństw żył raczej ascetycznie. Jako chłopiec marzył o niedostępnej księżniczce Tani. Później, kiedy rozsądek przygasił w nim porywy wyobraźni, księżniczka wyszła za mąż za młodego, ogromnie bogatego arystokratę rosyjskiego i on sam wiózł ich do ślubu z sercem ściśniętym lekkim, sentymentalnym żalem. Lecz jej elfowata uroda pozostała dla niego ideałem kobiecej piękności. Później zdarzył się cud – spotkał Oliwię, która uosabiała wszystkie jego młodzieńcze marzenia. To była naprawdę księżniczka z marzeń. Miała w sobie taki sam nieuchwytny czar jak tamta, takie same ciemne, falujące włosy, śmiejące się oczy i srebrzysty głos.

Życie popłynęło dawnym, magicznym trybem, tak jakby nie było żadnego rozstania. Triona zabrał się znów do pisania artykułów i nowel. Jednocześnie myślał o nowej powieści i omawiał z żoną jej plan. Ona podziwiała ten twórczy proces jak coś niespotykanego. Skąd brali się ci ludzie, wyczarowani wyobraźnią, a bardziej żywi i realni niż prawdziwi

ludzie? Dyskusje z mężem zbliżyły ją z nim intelektualnie, lecz jednocześnie wyniosły go w stosunku do niej na jakieś niedościgłe wyżyny. On nazywał ją, ku jej dumie i radości, swym natchnieniem.

Nim się zdecydowali, gdzie zamieszkać, upłynął termin wynajmu „Królowej Saby”. O Mediów nie było mowy. O meblach z Mediów również, gdyż major Olifant przedłużył swój wynajem na rok.

Triona rzekł: – Decyzja należy do ciebie. Ja pójdę za tobą wszędzie, choćby na koniec świata. Jestem z natury nomadą i gdyby nie ty, wyniosłbym się gdzieś na pustynię i zamieszkał w namiocie.

Oliwia, która nie знаła dotąd szerokiego świata, uśmiechnęła się i położyła mu ręce na ramionach. Stała za jego krzesłem.

– A we dwoje nie możemy?

Potrząsnął głową. Nie, angielski kwiat jest za delikatny na pustynię; może kwitnąć tylko w ogrodzie. Ze względu na nią muszę osiąść w jednym miejscu. Zaprotestowała. Nie myślała o sobie. Najważniejszy jest on i jego praca. Czyż nie postanowili, że najlepszy pokój w domu będzie jego pracownią? Triona roześmiał się i zacytował Omara: „Pióro i papier... i Ty obok mnie...”

– Nie wierzę, żebyś się chciał ustatkować! – zawołała Oliwia. Wykręcił się z krzesłem i objął ją wpół.

– Nie wierzysz?

– Naturalnie, kiedyś...

– Ale przedtem rok wędrówki?

– Francja. Włochy... – urwała.

– Honolulu, Ocean Spokojny, szeroki świat. Po co osiadać w jednym miejscu, dopóki nie poznamy świata?

– Po co? Mamy przed sobą całe życie. – Usiadła mu na kolanie. –
Cudnie! Ułożmy plan!

Przez następnych parę dni żyli w atmosferze projektów i zaraźliwego entuzjazmu. I znów Triona przypomniał sobie wskazującą rękę ze starego obrazka. Oliwia czuła podświadomie to samo, co on. Olifant mógł sobie zatrzymać dom i meble na długo.

– Objedziemy kulę ziemską – rzekła.

– Tak! – wykonał okrągły gest ręką.

– Którędy się jedzie?

Nie wiedział dokładnie, a w „Królowej Sabie” nie było atlasu.

– Napiszę do Cooka!

– Do Cooka? Kochanie, gdzie twoja romantyczność?

– Będziemy musieli korzystać z pociągów i okrętów, a Cook dostarczy nam rozkładu.

Postawiła na swoim. Cook przysłał żądane informacje. Na wymienioną przez nią sumę na koszt podróży Triona zrobił wielkie oczy.

– Skąd wziąć tyle pieniędzy?

– Z banku! – oznajmiła triumfalnie. – Mam dużo więcej.

Kto miał rację, pomyślała, ona czy prozaiczny Triwett i przezorny Fenmarch? Teraz mogła czerpać dowolnie ze swego majątku, który wystarczyłby na sześć takich podróży.

Pojechali do Londynu, żeby kupić od razu bilety okrężne na długą podróż. Urzędnik u Cooka ochłodził ich zapęły. Kazał im zamówić przejazd, lecz zapowiedział, że poczekają na swoją kolej kilka miesięcy.

Trzeba zaznaczyć, że były to pierwsze miesiące po wojnie.

– Ależ my chcemy wyruszyć w przyszłym tygodniu – przeraziła się

Oliwia.

Urzędnik wyraził jej grzeczne, lecz obojętne współczucie. Cóż mógł na to poradzić? Czterdzieści razy dziennie sprawiał taki sam zawód entuzjastom i entuzjastkom, chcącym wyruszyć w przyszłym tygodniu do antypodów.

– Ogromnie nam to nie na rękę – rzekła tonem urazy Oliwia.

– Naturalnie, to nie pana wina, że panuje wciąż zamęt – dodała z uśmiechem. – Naradzimy się i przyjdziemy do pana.

Zjedli lunch i wrócili na lotnisko.

Przygotujemy się i wyruszymy koło Bożego Narodzenia – rzekł Aleksy.

– Do tego czasu...

– Wynajmiemy w Londynie umeblowane mieszkanie – zdecydowała Oliwia.

Październik zastał ich w prowizorycznym mieszkaniu na Buckingham Palace Road. Zaczęli życie, które Oliwia obmyśliła dla męża jeszcze przed szalonym planem podróży.

Pod koniec pobytu w „Królowej Sabie” Triona otrzymał mnóstwo listów i zaproszeń z Londynu od osób, z którymi poznał się dzięki swojej sławie. Jako człowiek lekkomyślny, chciał to wszystko zignorować, lecz rozsądniejsza Oliwia podyktowała mu taktowne odpowiedzi. W rezultacie zyskał wstęp do wielu domów, niepodobnych do kół Lidii, bolszewickiego gniazda Blenkironów, a nawet konserwatywnie jałowego środowiska Janet Philimore. Świat, który tańczył, jadł, stroił się, myślał i czuł w takt jazzu, minął jak sen. Nowy świat był zdumiewająco nowy i miał ciekawe rozgałęzienia. W domach, kultywujących z przekonania stosunki z elitą umysłową, Oliwia poznała całe zastępy artystów, powieściopisarzy,

dziennikarzy, aktorów, wydawców, polityków, podróżników i ich żony, względnie ich mężów. Początkowo obserwowała zazdrośnie, jak ci sławni odnoszą się do jej męża, lecz stwierdziła z radosną dumą, że uznali go od razu za swego. Mniejszość głupich kobiet szalała za nim, lecz większość zachowywała się po przyjacielsku, rozumnie. Oliwia patrzyła i słuchała z zachwytem, gdy rozmawiał lub przekonywał. Miał sposób bycia prosty i bezpośredni, zupełnie inny niż wyszukanie elegancki Rooke, a nawet konwencjonalnie suchy Mauregard. W dyskusji zapalał się i ujmował wdziękiem.

Nowi znajomi zapraszali ich do swoich domów. W krótkim czasie Oliwia zaaklimatyzowała się w kołach tak elitarnych, o jakich marzyła w najambitniejszych snach. Nie wiedziała tylko, jak wielką rolę grały w ich sukcesach jej własny wdzięk, dowcip i inteligencja.

Triona oddawał się radości tej nowej egzystencji z lekkim sercem. Kontakt z żywą sztuką i myślą dodawał mu bodźca do pracy. Jego historia przestała być aktualna, więc nie był zmuszony odpowiadać ciągle na te same pytania. Ludzie, znużeni podświadomie okrucieństwami niedawnej wojny, byli skłonni traktować go raczej jak autora niż bohatera, jemu sprawiało to ogromną ulgę. Wszak miał więcej tematów do rozmowy, niż zwyczajnie mieszkańców wybrzeży jeziora Bajkalskiego i bolszewickie więzienia. Kiedy zahaczano o te tematy, zawracał zręcznie na inne tory. Wolny od uroku czarnej księżniczki, myślał o swojej rosyjskiej egzystencji jako o czymś strasznie dalekim i skończonym. Z właściwą sobie beztróską odłożył całą rzecz ad acta. Żył wiarą w przyszłość, mającą usprawiedliwić wiarę Oliwii w jego geniusz literacki. Odrzucił pamięć o Ellen i kuchennym krześle i parł przed siebie, radosny i szczęśliwy. Co dzień

odkrywał w żonie jakiś nowy urok. Z pism różnych filozofów wiedział o niebezpieczeństwach pierwszego roku małżeństwa; o sprzecznościach charakterów, niemożliwych do pogodzenia; o nieporozumieniach, sprzeczkach i konfliktach; o szkodliwych dla miłości nawykach, które albo trzeba wykorzenić przemocą, albo znosić z ponurą rezygnacją. Drwił z nich. Na horyzoncie ich szczęścia nie ciemniały nigdy żadne chmury. Doskonałość żony była dla niego pewnikiem, tak samo jak jego własna bezwartościowość. W codziennym życiu łapał się ciągle na zwyczajach Briggsa i ratował od katastrofalnych potknięć tylko czujnym instynktem.

Praca, miłość i przyjaźnie wypełniały mu beztroskie dni. Nowa powieść wychodziła w odcinkach tygodniowych, budząc duże zainteresowanie. Miała wyjść w formie książkowej zaraz po Nowym Roku i wydawcy nie wątpili, że zrobi furorę. Wszystko szło jak po maśle.

Jednocześnie przygotowywali się do podróży. Dostali bilety do Bombaju na okręt styczniowy. Projektowali sobie, że zwiedzą Indie, Burmę, archipelag malajski, Australię, Japonię i Amerykę. Dalsze trasy będą sprawą przyszłości i przypadku. Ułożyli szczegółową, półroczną marszrutę, która zajęłaby sumiennemu podróżnikowi przynajmniej dwa lata. Przed wyruszeniem na wschód mieli zwiedzić Francję, zajrzeć do Paryża i Monte Carlo, a potem dopiero wsiąść na okręt w Marsylii. W miarę jak rok zbliżał się do końca, ogarniało ich coraz większe podniecenie. Z dziecinną uciechą opowiadali o swoich planach zazdrosnym znajomym.

Olifant, który odwiedzał ich za każdą bytnością w Londynie, przysłuchiwał się tym zwierzeniom z pobłażliwą miną starego bywalca. Nabrał tego zwyczaju od czasu ich ślubu.

– Czy chciałby nam pan towarzyszyć? – zapytała Oliwia.

Potrząsnął głową.

– Nie pamięta pani, jak przy naszym pierwszym spotkaniu powiedziałem, że skończyłem z przygodami raz na zawsze?

– A ja powiedziałam, że wyruszę na poszukiwanie przygód.

– Każde ma to, czego pragnęło – zauważył Triona.

– Tak – uśmiechnął się major.

Smutny ton jego głosu nie uszedł uwagi Oliwii. W ciągu tego roku nieborak wychudł; nos mu się wydłużył i zaostrzył niemal komicznie. A oczy patrzyły dziwnie melancholijnie.

– Nie służy panu pustelnicze życie – rzekła. – Niech pan jedzie z nami. Co tam!

Potrząsnął głową. Nie. Nie chciał się narzucać ich radosnemu sam na sam. I zresztą był związany z Mediów jej łaskawym pozwoleniem. Jego siostra rozeszła się ostatecznie z hulaszczym małżonkiem i zamieszkała u niego.

– Pan powinien się ożenić – oświadczyła Oliwia. – Tyle razy to panu mówiłam.

– A ja mówiłem, że jestem kawalerem z powołania.

– Nonsens! – roześmiał się Triona, wstając. – Czas na narodowe antidotum. Zaraz przyniosę.

Wybiegł lekko z pokoju w poszukiwaniu whisky.

Oliwia pochyliła się ku gościowi. – Pan może nie wie, że od chwili poznania powzięłam dla pana serdeczną przyjaźń, więc mi pan daruje, jeżeli... – Urwała i dokończyła szybko: – Pan się zmienił. Wygląda pan na nieszczęśliwego. Chciałabym pana pocieszyć.

Roześmiał się. – Dziękuję za dobroć, lady Oliwio, ale ja się nie

zmieniłem. Jestem taki, jaki byłem. Tylko pani przywykła do widoku szczęśliwego człowieka i zdaje się pani, że stara skamieniałość powinna być taka sama.

– O, to brzmi jak wyrzut. Wstyd mi mego egoizmu.

– Jak to?

– Nie powinniśmy tak okazywać naszego szczęścia. To po prostu nieprzyzwoite.

– Ale szczęśliwym dobrze robi – odpowiedział.

Wszedł Triona z tacą i poczęstował gościa whisky z wodą sodową.

– Wypij, to się rozweselisz i może pojedziesz z nami na Magiczne Wyspy, gdzie czeka w zaklętej dolinie Ona z orchideami we włosach.

Rozmowa przybrała żartobliwy ton i zboczyła znów na temat podróży. Wieczór upłynął bardzo miło. Oliwia, żegnając majora, przyrzekła, że mu przywiezie piękność z zaklętej doliny. Triona wyprowadził go na schody. Nim zjechała winda, Olifant zapytał od niechcienia:

– A paszporty macie?

– Paszporty? – zdziwił się Triona. – Ależ, naturalnie. To jest, jeszcze tego nie załatwiłem. Ale będą. Dlaczego pytasz?

– Jesteście rosyjskimi poddanymi. Mogą wam robić trudności. W razie czego, mógłbym wam służyć pomocą. Mam znajomego w Foreign Office...

Ukazała się winda, szcęknięły drzwiczki i uklonił się obsługujący ją chłopak.

– Dziękuję ci serdecznie – rzekł Triona. – Bardzo dziękuję.

Podali sobie ręce, życzyli pomyślności i winda zjechała na dół. Triona

stał w miejscu tak skamieniały.

Z odrętwienia wyrwał go dopiero głos Oliwii: – Co ty tam robisz, kochanie?

Spostrzegł, że musiał tak stać dość długo i odwrócił się ze śmiechem.

– Badałem mechanizm windy z punktu widzenia powikłań powieściowych.

Oliwia śmiała się wesoło. – Jutro się nad tym zastanowisz. Czas do łóżeczka, powieściopisarzu.

Ale tej nocy Aleksy Triona nie zmrużył oka. Ona spała twardym snem niewinności i nie wiedziała o jego trosce.

Paszporty! Nie pomyślał o tym. Każdy porządny obywatel ma prawo do paszportu. Upojony angielskim szczęściem, zapomniał o swoim fikcyjnym obywatelstwie rosyjskim, którego nie poświadczyłaby żadna żywa dusza. Szczegóły, odnoszące się do storpedowania szwedzkiego statku handlowego, na którym wrócił do Anglii nie nadawały się do oficjalnej wiadomości. Prośba o paszport na nazwisko Aleksego Triony, domniemanego poddanego rosyjskiego, pociągnęłaby za sobą dochodzenia, a te – wykrycie prawdy. Jego prawdziwy dowód tożsamości opiewał na nazwisko Johna Briggsa, byłego marynarza. Trzymał wszystkie swoje papiery wraz z czarną książeczką starannie zamknięte. Jako John Briggs, poddany angielski, mógł podróżować swobodnie po całym cywilizowanym świecie. Ale John Briggs był przekreślony i pogrzebany. Aleksy Triona nie mógł wędrować po świecie z paszportem Johna Briggsa. Zawrócono by go na pierwszej granicy. A nie mógł się zdobyć na taką bezczelność, żeby narzucić Oliwii na czas podróży nazwisko pani Briggs.

Leżał nieruchomo, żeby jej nie obudzić, i patrzył w ciemność, szukając rozpaczliwie wyjścia z sytuacji. I nie znajdował.

Mógłby namówić żonę na odłożenie podróży i tymczasem urzędowo zmienić nazwisko. Ale to by pociągnęło za sobą rozgłos prasowy, bo takie rzeczy są ogłaszane. Wiadomość w „Timesie”, że John Briggs przybiera nazwisko: Aleksy Triona skompromitowałaby go w kołach towarzyskich i literackich, a w oczach Oliwii pogrzyżała.

Zaraz po wojnie wydawano paszporty bardzo niechętnie. Angielscy poddani musieli wykazać się bardzo rzeczowymi powodami, jeżeli chcieli jechać za granicę, a obce państwa nie szafowały wizami na żądanie. Nim wydano paszport, stwierdzano identyczność petenta ponad wszelką wątpliwość.

Triona przypomniał sobie, że coś o tym słyszał, ale wtedy mało go to obchodziło. Teraz dopiero zdał sobie sprawę z całego niebezpieczeństwa sytuacji.

Nie było wyjścia, John Briggs umarł, a Aleksy Triona nie istniał oficjalnie.

Nie mógł jechać nawet do Boulogne, a co dopiero do Japonii. A Oliwia spała obok, marząc o Szczęśliwych Wyspach.

ROZDZIAŁ XV

Gdyby nie jej wiara w niego nie byłby wybrnął bezpiecznie z tego paszportowego koszmaru. Przy każdym nowym kłamstwie jej ufność mogła się załamać na dobre, musiał więc uciec się do nowej komedii, tym razem z odrazą i rozpaczą.

Zaczął swoją kampanię zaraz następnego wieczora po obiedzie. Udając, że ma do załatwienia jakieś interesy, spędził cały dzień poza domem. W rzeczywistości włóczył się po ulicach i wrócił na obiad wyczerpany fizycznie i moralnie. Czuła troskliwość żony ugodziła go w samo serce. Odpowiedział, że ma drobne zmartwienie, lecz że jej widok już go pocieszył. Zjedli obiad i przeszli do saloniku. Oliwia usiadła na poręczu jego fotela.

– Biedaku, więc co to za zmartwienie? Czy mogłabym ci w czymś pomóc?

Wpatrzył się tępo w ogień.

– Idzie o naszą podróż...

– O! Co się stało?

– To, że nie możemy jechać.

– Co? – chwyciła go za ramię. – Dlaczego?

– Musimy się wyrzec naszych pięknych marzeń.

– Dlaczego? – powtórzyła słabym głosem.

– Bo nam nie starczy pieniędzy. Roześmiała się wesoło i przyciągnęła go do siebie.

– Ach, ty głuptasie, przecież to załatwione. Tak dawno już nie podpisywałam czeków. Mam masę pieniędzy. Przecież uparłeś się, że

będziesz mnie utrzymywał.

– Naturalnie. Nie mógłbym żyć z pieniędzy żony. Nigdy! – powstrzymał gestem jej gwałtowny protest. – Wiem, co chcesz powiedzieć, najdroższa, ale to niemożliwe. Zgadzałem się, żebyś wyłożyła pewną sumę; byłbym ci zwrócił – no, może przyjął, gdyby ci to sprawiło przyjemność. Ale sytuacja uległa nagłej zmianie.

Wił się pod żądłem półkłamstw i półprawd. Żeniąc się, nie liczył na jej kapitał. Miał sobie za honor utrzymywać żonę z własnej pracy. Postanowił w głębi duszy zwrócić jej co do grosza kosztą podróży. Był uczciwy rzetelnie, po mieszczańsku. Gdyby nie paszport, wszystko poszłoby jak z płatka. Ale nie mogąc dostać paszportu, musiał kłamać. Bo i cóż miał robić?

– Kochanie, nie powiedziałem ci o sobie jednej rzeczy. Nie wydawała mi się ważna i faktycznie zapomniałem o niej. Kiedy uciekałem przed bolszewikami, udzielił mi schronienia przyjaciel, człowiek pochodzący z arystokracji rosyjskiej. Sam się ukrywał w przebraniu chłopca. Żona jego uciekła z dziećmi do Anglii. Tak mi przynajmniej mówił. Powierzył mi tysiąc funtów w banknotach angielskich – trzymał to w szkaplerzu na szyi – żebym im doręczył. Za jego przykładem schowałem tę sumę na sobie razem z garstką swoich papierowych rubli. Jak wiesz, okręt, którym płynąłem do Anglii został zatopiony, a mnie wyłowiono z wody tylko w koszuli i w spodniach. Sznur od szkaplerza przerwał się i pieniądze poszły na dno morza. Później obszedłem Londyn w poszukiwaniu rodziny Wrońskich i nie znalazłem jej. Doszedłem do wniosku, że nie wylądowała w Anglii i dziś przekonałem się, że miałem rację. Przepadli i w ogóle nie wiadomo, co się z nimi stało.

– Dziś?

– Dziś rano. Wydawcy przesłali mi list od Wrońskiego.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś? – zawołała Oliwia. – Od razu mnie uderzyło, że byłeś jakiś nieswój.

– Nie chciałem cię niepokoić bez powodu i zresztą sam byłem zdenerwowany. Miałem wrażenie, że dostałem wezwanie z zaświatów. Nie skomunikowałem się z nim po rozstaniu w Rosji i byłem przekonany, że jak tyłu innych, zginął z rąk bolszewików. Tymczasem nie. Mieszka w małym hoteliku w Bloomsbury. Oczywiście, musiałem się z nim zobaczyć.

– Oczywiście.

– Biedak uszedł z życiem i teraz zamierza szukać rodziny po całej Europie.

– Straszne! – wzdrygnęła się Oliwia.

– Straszne – odpowiedział z głębokim przejęciem Triona, już prawie wierząc w swoje kłamstwo. – Spędziłem z nim rozpaczliwy dzień. Spodziewał się, że zastanie rodzinę w Anglii.

– Pisywałaś do niego?

– Tak, ale w Rosji listy przeważnie nie dochodzą. Listy jego żony także musiały albo zginąć, albo dostały się w niepowołane ręce. Od dnia, gdy opuściła Petersburg, nie miał od niej żadnej wiadomości.

Porwana tą tragedią Oliwia zapomniała o podróży. Triona odpowiadał na jej pytania, improwizując malowniczo i z zapalem wchodząc wyczerpująco w szczegóły. Opisał powierzchowność Wrońskiego, który z zażywnego, czerwonego, jowialnego dżentelmena o tatarskich rysach, przeobraził się w kościstego nędzarza z zapadniętą twarzą, siwą brodą i czarnymi, szponiastymi paznokciami. Pani Wrońska miała ogromnie dużo wdzięku, a

jej córki, Wera i Sonia, były skończonymi pięknosciami. W ucieczce towarzyszył im wierny służący, który dał znać swemu panu, że panie popłynęły do Londynu, na duńskim okręcie. Potem okazało się, że taki okręt w ogóle nie istniał, a przynajmniej nie przybił wtedy do żadnego angielskiego portu. Wroński szalał z rozpacz.

– Dlaczego nie sprowadziłeś go tutaj? – zapytała Oliwia niemal ze łzami w oczach.

– Prosiłem. Nie zgodził się. Nie chciał tracić ani chwili czasu. Jedzie do Danii... Ale był prawie bez grosza i... i... zwrócił się do mnie o ten tysiąc funtów. Teraz rozumiesz, jaki to ma związek z naszą podróżą. Czy mogłem się wykręcić tym, że zgubiłem jego pieniądze?

Powiedział to nieco zaczepnie, ale Oliwia odpowiedziała szczerze i ufnie: – Nie, na Boga, nie mogłeś!

– Więc zabrałem go do banku i oddałem ten tysiąc funtów. Wobec tego musimy odłożyć naszą podróż do pomyślniejszych czasów.

Próbowała protestować, powołała się na swój kapitał, lecz musiała w końcu poddać się zdrowemu rozsądkowi. Tysiąc funtów w ich położeniu było ogromną sumą. Skapitulowała z wdziękiem i zasypała męża pieszczotami i słowami pociechy. I znów życie popłynęło dawnym trybem. Oliwia pytała od czasu do czasu o Wrońskiego. Czy pisał? Czy natrafił na ślad rodziny? Triona postanowił wreszcie skończyć raz z tą bajką i, wróciwszy do domu w jedno lutowe popołudnie, rzekł wesoło:

– Dostałem dziś list! Zgadnij od kogo? Od Wrońskiego. Kilka słów. Znalazł rodzinę w Palermo. Szczęście, radość! Irytuje mnie tylko, że nie opisał, w jaki sposób. Ale fakt jest faktem i nie mamy się już co o niego trapić.

W marcu wyszła nowa powieść, która dzięki swej oryginalności zyskała poklask wszystkich krytyków.

Świeżość tematu, w połączeniu z głębokim ujęciem, przemówiła zarówno do wybrednej młodzieży, jak i do rozczarowanych dorosłych i garstki sumiennych krytyków. Wydawcy uśmiechali się uprzejmie. Ze wszystkich stron płynęły coraz większe zamówienia. Triona zabrał żonę do księgarni, żeby usłyszała prawdę z ust jednego z wydawców. Wrócili właśnie do domu taksówką, przytuleni do siebie, upojeni dumą i miłością.

Na drugi dzień rzekła: – Jeżeli nie możemy sobie pozwolić na podróż naokoło świata, to zajrzyjmy przynajmniej do Paryża. Należy się nam wypoczynek. Na to nas stać.

Triona, który był przygotowany na ten racjonalny projekt, odpowiedział:

– I mnie by się to uśmiechało. Od dawna o tym marzę. Nie mówiłem ci, ale byłem w Foreign Office dwa tygodnie temu.

Zmarszczyła brwi. – Co ma Foreign Office do tego?

– Kochanie, mam opinię nadzwyczajnego człowieka. Należę jeszcze do naszego wywiadu. Próbowałem wystąpić w lecie, ale mnie nie puścili. Przyrzekli tylko, że nie będą mi zanadto dokuczać. Nie można wymawiać się od służby ojczyźnie, co?

– Nie. Ale dlaczego mi nie powiedziałaś?

Poczuła się dotknięta. Jednocześnie złękła się, tak jak kiedyś, jego tajemniczości. Może nigdy nie pozna go do głębi? Zawsze zostanie w nim coś niedopowiedzianego. Tyle przeżył, tyle widział, może tyle zapomniał... Sama historia Wrońskiego mogła dostarczyć tematu do niejednej książki. Była pewna, że od powrotu z Finlandii rzucił Foreign

Office.

– Nie myślałem, że mnie jeszcze będą potrzebować... Wiesz, jak jest w Rosji. Otóż mogą mnie wysłać albo nie. W każdym razie nie wolno mi opuszczać kraju na własną rękę przez kilka miesięcy.

– Co za idiotyzm! – oburzyła się Oliwia. – Przecież mogliby ci dać znać do Paryża.

– Niestety, jestem w ich ręku, bo od nich zależy udzielanie paszportów.

– Idioci! – syknęła Oliwia. – Chętnie bym im to powiedziała.

– Spróbuj! – odparł, śmiejąc się.

Znów mu uwierzyła. Odetchnął. Na razie było po krzyku. Był zły na siebie, że nie osłonił się przed nią tym wykrętem od dłuższego czasu. Obeszłoby się wtedy bez tej okropnej blagi o Wrońskich.

Niedługo potem Oliwia poruszyła niewinnie kwestię jego formalnego poddaństwa. Nie było sensu, żeby się bawił w dalszym ciągu w obywatela rosyjskiego. Syn angielskich rodziców mógł się naturalizować z łatwością. Triona przeklął w duszy tę nową komplikację razem ze swoim przybranym nazwiskiem. Odpowiedział mętnie... Owszem, pomyśli się. Nie ma się do czego śpieszyć...

Ale Oliwia nalegała: – Nie rozumiem cię. Ty zawsze załatwiasz wszystko tak szybko i sprawnie.

– Brak mi papierów, na podstawie których mógłbym ustalić swoją tożsamość – wyjaśnił. – Ustne zapewnienie nie wystarczy. Musimy poczekać, dopóki w Rosji nie wyłoni się jakiś rząd, do którego można by się zwrócić. Sytuacja jest kłopotliwa dla nas obojga, ale nie ma na to rady.

– Uśmiechnął się smutnie. – Nie miej do mnie żalu.

– Ja bym miała mieć żal do ciebie?

Wierzyła mu bez zastrzeżeń, tylko nie mogła się pogodzić z jego skrępowaniem i zależnością od Rosji. Bała się nawet, że mogło to być dla niego groźne. Wszak tajni wywiadowcy giną niekiedy w niejasnych okolicznościach.

Wyśmiał jej strachy. Naturalnie. Rozumiała, że mógł się tylko śmiać i była jeszcze bardziej niespokojna.

I Triona znów odzyskał spokój ducha. Przyszła Wielkanoc i przeszła.

– Umieram z tęsknoty za szerszym światem – rzekł raz do żony.

– Siedzimy w miejscu jak więźniowie.

– Łatwo temu zaradzić. Wynajmijmy auto i zrobmy wycieczkę naokoło Anglii.

Wpadł w dobry humor.

– Cudownie! Zawsze masz świetne pomysły. Dobrze, wynajmiemy dobre auto na dwie osoby. Tylko nas dwoje. Nie będziemy się trzymali wyłącznie szos. Można spać pod gołym niebem. Będziemy jeździli na chybił trafił. Moja droga, co za boska myśl!

Zawód z powodu nieudania się podróży zagranicznej pierzchł bez śladu. Cieszyli się jak dzieci.

– Jutro wyruszymy – rzekł Triona.

– Jutro mamy obiad proszony u Rowingtonów.

– Niech ich wszyscy... przepraszam cię! Można by dać znać, że zachorowałem na ospę. Nie znoszę tych literackich obiadów. Czy mam robić z siebie osła tylko ze względu na ich próżność?

– Musisz, mój drogi. Absolutnie nie wypada się wymawiać – odparła rozsądnie Oliwia.

– Trudno – westchnął. – Więc pojutrze. Jutro postaram się o auto.

Wyszedł zaraz po śniadaniu i wrócił w parę godzin później, zadowolony i radosny. Znalazł takie auto, jakie chciał: na dwie osoby, bardzo solidne, z silnym motorem. Zasypał żonę wyliczeniem jego technicznych zalet.

– Ty drogi dzieciaku! – rzekła Oliwia.

Ale nim zdążyli urzeczywistnić romantyczny projekt, zaszło coś nieprzewidzianego i to właśnie na obiedzie u Rowingtona, jednego w wydawców, który chciał specjalnie uczcić podwójny sukces młodego autora.

Dom Rowingtonów stał na południowym krańcu Portland Place. Był własnością rodziny od kilku pokoleń i mieścił w sobie mnóstwo skarbów, nabytych i odziedziczonych. Triona wchodząc, przypominał sobie, że takiego samego wrażenia luksusu doznał podczas pierwszej wizyty w gabinecie wydawcy, w gmachu firmy. Lokaj odebrał od niego płaszcz i kapelusz, a pokojówka zaprowadziła Oliwię do pokoju dla pań, skąd wynurzyło się wydekoltowane cudo, ubrane według określenia małżonka, w pajęczynę, zmiecioną z podniebnego pułapu. Drugi lokaj zaanonsował ze szczytu schodów ich nazwisko i gospodarza domu – ona chuda, kanciasta w binoklach, on dobrotliwy, niemłody, w złotych okularach, poznali ich z już obecnymi gośćmi. W ich gronie wyróżniali się: jakiś dygnitarz sądowy, znany autor i piękna, wytworna kobieta, w której Oliwia poznała z drgnieniem serca lady Aintree, zapamiętaną ze spotkania w przedsionku teatralnym w pierwszym tygodniu emancypacji. Aż pozazdrościła mężowi, że on pierwszy zaczął z nią rozmawiać. Jej przypadło na wstępie towarzystwo młodego, światowego biskupa w garniturze śliwkowego koloru, zupełnie, ale to zupełnie niepodobnego do starca o woskowych rękach, który dopełnił nad nią niepojętego w owym czasie rytuału

konfirmacji.

Święty duszpasterz wyjaśnił swoją obecność w towarzystwie faktem, że kiedyś wydał opis podróży po Azji Mniejszej. Zwiedził miejsca, upamiętnione bytnością św. Pawła.

Później przyłączył się do niej pułkownik Onslow, znawca Kurdystanu, który wyraził gorącą chęć poznania jej męża. Oliwia rozejrzała się odruchowo za Aleksym. Stał niedaleko niej w towarzystwie paru mężczyzn. Porozumieli się oczami, jak to zakochani. Zawsze, będąc w tłumie, szukali się nawzajem wzrokiem.

W tej chwili Triona nie wysyłał Rowingtona do wszystkich diabłów. Był główną postacią wśród zebranych: biło od niego zwycięską radością. Dwaj starsi panowie słuchali z zainteresowaniem jego wywodów na temat ludowej literatury rosyjskiej. W tej dziedzinie był autorytetem. Umiał się wczuć N Ofiara jednego kłamstwa w melancholię pieśni i gorzki humor gadek jak rzadko kto. Mówiąc o Rosji prawdę, zapomniał, że kiedykolwiek kłamał.

Nagle z tłumy wynurzył się szczupły, żywy jegomość z gładko wygoloną, opaloną twarzą i, zobaczywszy Trionę, rzucił się ku niemu, po sekundzie wahania, z wyciągniętą ręką. Ten, zaskoczony niespodziewanym spotkaniem, okazał równie bezpośrednią radość.

Jeżeli kto patrzył śmierci w oczy przez dwa dni w towarzystwie człowieka, który dał dowody nieustraszonego męstwa, to po latach niewidzenia, powita go głupio całym sercem.

– Briggs! Od razu cię poznałem. Że też cię tu spotkałem!

Twarz Triony spłonęła gorącym rumieńcem. Pogrzebane nazwisko zostało oznajmione całemu światu. Oliwia przysunęła się odruchowo do grupy, otaczającej męża.

– Daleko od Rosji – rzekł Triona.

– Tak, a jeszcze dalej od naszych wozów pancernych. Cieszę się, że cię spotkałem. Pan Bóg wie, co się stało z resztą. Mnie los oszczędził. Uciekłem. Teraz jestem w rezerwie. Gospodaruję. Mam trzy świnki i pszczoły. A ty – uderzył go po ramieniu – wyglądasz kwitnąco. Zawsze mi się zdawało, że coś z ciebie będzie.

Triona spostrzegł, że Oliwia stanęła obok niego i, siląc się na spokój, odpowiedział z niedbałym śmiechem:

– Ja się ożeniłem. Moja droga, pozwól sobie przedstawić: kapitan Wedderburn. Poznaliśmy się w Rosji.

– Mało, że poznali! – krzyknął wesoło Wedderburn. – Służyliśmy nie wiem ile miesięcy w kolumnie.

– Jakiej kolumnie? – zdziwiła się Oliwia.

– Aut pancernych. On był oficjalnie marynarzem, ale to nic. Ja miałem rangę porucznika. Co to były za czasy, mój ty Boże! A te dni, kiedyśmy sami, we dwóch. Nigdy tego nie zapomnę... byliśmy odcięci... ale on pani to opowiadał.

– Nie.

– Proszę pani, Briggs...

– Przepraszam cię – przerwał Aleksy. – To nie moje nazwisko. Nazywam się Triona. Tamto było pseudonimem wojennym.

– Co? – Wedderburn wsparł się na wąskich biodrach i zrobił wielkie oczy. – To ty jesteś ten sławny Triona, dla którego mnie dziś zaproszono? Pani łaskawa, przecież to nadzwyczajny człowiek! Nie wspomniał ani słowem w swojej książce o tym, cośmy razem przeżyli, o czasach, które dla mnie pozostaną jedyne w życiu. A jednak dostało ci się wtedy – spojrzał bacznie w twarz Trionie. – Pamiętam ten dzień. Musiałeś długo pokutować w

szpitalu. Jak to było?

– Lekkie zadrapanie. W dwa tygodnie później byłem z powrotem w rosyjskiej służbie.

– A! – rzekł Wedderburn niespodziewanie zimnym tonem.

Zwrócił się z powitaniem do stojącej obok znajomej pani i małżeństwo zostało na moment niejako sam na sam.

– Nigdy mi nie mówiłeś, że służyłeś w oddziale angielskim – rzekła Oliwia.

– To był tylko epizod.

Podeszła pani domu i rozdzieliła ich między gości. Zaanonsowano obiad. Oliwia siedziała przy stole między gospodarzem i pułkownikiem Onslowem, na wprost lady Aintree i kapitana Wedderbruna. Pierwszy raz od ślubu poczuła wątpliwości co do przeszłości męża. Pobrużdżona twarz i przenikliwe oczy kapitana kryły w sobie klucz do fragmentu jego życia, o którym dotychczas nic nie wiedziała. Wolałaby, żeby kapitan siedział gdzieś dalej. Siliła się, żeby rozumieć, co do niej mówił gospodarz, opisujący swoje pierwsze spotkanie ze sławnym Trioną, wtedy szoferem Briggsem. Czuła w sercu chłód. Drugi raz w ciągu wieczoru usłyszała to obce nazwisko. Aleksy opowiadał jej co prawda o swoich ciężkich początkach w Londynie z okresu pracy nad „Przez krew i śnieg”, ale o pseudonimie nie wspomniał.

Rozmowa zesłała na inne tory. Oliwia zwróciła się do pułkownika Onslowa, który, po chwili rozmowy rzekł uprzejmie:

– Chętnie bym pogawędził z pani mężem. Sądząc z jego książki, musieliśmy wędrować mniej więcej w tych samych stronach w jednym czasie. Dziwne, żeśmy się nie spotkali.

– Nie sędę – odparła. – Pracując w tajnym wywiadzie, musiał się ukrywać.

Pułkownik roześmiał się i przyznał jej rację. Tak, ma się rozumieć. Każdy człowiek ma swoje metody, a już nie ma gry bardziej indywidualnej niż służba wywiadowcza.

– Z drugiej strony znałem Rosjanina, zaangażowanego po tej samej stronie, co mąż pani, niejakiego Kryłowa, bardzo sympatycznego człowieka. Spotkaliśmy się kilka razy. On był skłonny do zwierzeń i powiedział mi kilka rzeczy, pokrywających się z tym, co pisał mąż pani. Przypuszczam, że musieli działać razem.

– O nie, mąż działał na własną rękę, zapewniam pana.

– W każdym razie chciałbym z nim pomówić – ciągnął Onslow, nieświadomy trwogi, wzbierającej w duszy młodej kobiety. – Wróciłem do kraju dopiero miesiąc temu. Ktoś pożyczył mi książkę: „Przez krew i śnieg”. Przeczytawszy ją, zapytałem mego przyjaciela, Rowingtona, o autora. Dlatego się tu znalazłem.

* * *

Zauważył dziwny wyraz jej twarzy.

– Przepraszam. Znudziłem panią. Taki włóczęga jak ja zapomina często, że to już pokój i że ludzie mają po uszy wojennych wspomnień.

Oliwia odpowiedziała coś uprzejmego. Do końca długiego obiadu starała się bohatersko o humor i rozmowność.

Ale męczyły ją niewyraźne, złe przeczucia. Nie mogła widzieć męża, który siedział po tej samej stronie stołu, co ona. Zdawało jej się, że dobrotliwy gospodarz, zaprosił celowo jego wrogów. Odetchnęła z ulgą,

gdy panie wstały i przeszły do salonu. Lecz chociaż wdała się w rozmowę z ujmującą lady Aintree, wzrok jej biegł ciągle ku drzwiom, przez które mieli wejść mężczyźni. A kiedy weszli, zauważyła, że mąż pierwszy raz od dnia poznania, nie szukał jej oczami. Przyjrzała mu się spokojnie. Był blady i zdenerwowany i miał w spojrzeniu coś ukradkowego, ten dawny, trwożny wyraz, który miłość rozproszyła, a który znów wrócił. Nie podszedł do niej. Nie podeszli również ani Wedderburn, ani Onslow. Ci nie starali się zbliżyć i do niego. Tymczasem światowy biskup usiadł przy niej i zaczął ją zabawiać opowiadaniem o wizycie w zamku w Schwóbbe, w Hanowerze, siedzibie barona Munchhausena, potomka słynnego blagiera, który naprawdę istniał i był jednym z generałów Fryderyka Wielkiego. Jego portret naturalnej wielkości wisiał w sali rycerskiej. Biskup przeszedł na słynnych kłamców-podróżników i wymienił Herodota, nawiasem mówiąc, dobrego historyka; Fernanda Mendeza Pinta, dziś już zapomnianego, choć w swoim czasie głośnego z kłamstw; Gemelli-Careri'ego, Neapolitańczyka, przykutego chorobą do łóżka, autora „Podróży naokoło świata”; rabiego Beniamina z Tudeli, który miał odbyć na hipogryfie podróż do grobu Ezechiela; Jerzego Psalmanazara, który oczarował cały Londyn (łącznie z krytycznym Samuelem Johnsonem) opowieścią o wyspie Formozie i gramatyką języka formozańskiego; Rougemonta, który jeździł na żółwiu i współczesnego, niefortunego, domniemanego odkrywcę bieguna północnego. Mogło się zdawać, że dygnitarz kościelny wybrał sobie ten temat ze złośliwą premedytacją. Prawdopodobnie wyobrażał sobie z obowiązku teologicznego, że wszyscy ci kłamcy smażą się w ogniu i w siarce. Wymienił jeszcze innych żyjących, tak bliskich, podług niego, kryminału,

iż fakt, że ich nie podciągano oficjalnie pod tę kategorię, był tylko dziełem przypadku.

Oliwia ledwo nad sobą panowała. Od dalszej tortury wybawiło ją majestatyczne nadejście pani domu.

– Ekscelencja pozwoli, że go przedstawię.

Duchowny wstał i ukłonił się Oliwii.

– Następny opis podróży ekscelencji przeczytam z wielkim zainteresowaniem – rzekła mu na pożegnanie.

Taksówka ruszyła z miejsca i Triona mruknął: – Dzięki Bogu, że to się skończyło.

– Dzięki Bogu – zawtórowała z westchnieniem Oliwia.

– Sprosilu samych nudziarzy.

– Rozmawiałeś z pułkownikiem Onslowem?

– O, ten był najgorszy. Mam po uszy Kaukazu – dodał z rzadką u siebie irytacją. – Żałuję, że tam byłem. Nie znoszę tych oficjalnych przyjęć. Co mi po tych ludziach? Czy ich jeszcze kiedyś zobaczę? – Ujął żonę za dziwnie bezwładną rękę. – I ty się pewnie nie bawiłaś zbyt dobrze?

– Żałuję, żeśmy tam byli – odparła, wrywając mu rękę pod pozorem otulenia się futrem.

Triona zwinął papierosa, zapalił z ponurą miną i po chwili rzekł ze zniecierpliwieniem:

– Naturalnie, nie wspomniałem w książce o epizodycznej służbie w oddziale angielskim, bo to nie miało wielkiego znaczenia. Nie wiem... To jest, właściwie... Nie miałem prawa. Dlatego przybrałem inne nazwisko.

– Rowington mówił mi, że po powrocie do Anglii występowałeś pod nim w dalszym ciągu.

– Oczywiście, kochanie. Śmiesznie brzmiałoby, gdyby szofer nazywał się Aleksy Triona.

Tym razem wyciągnęła do niego rękę pieszczotliwym gestem. Nagle przeraziła się swoich posądzeń i złagodniała.

– Powinieneś mi opowiedzieć wszystko o sobie, nie pomijając żadnych szczegółów. Oszczędziłbyś mi takich wstrząsów, jak dziś z kapitanem Wedderburgiem.

– Napiszę uzupełniający tom moich wspomnień pod tytułem „Przez miłość i słońce”.

Jego ton rozweselił ją i pocieszył. Dojechali do domu przytuleni do siebie jak zwykle, jak zawsze. W jadalni Triona napił się whisky z wodą sodową. Na ten widok Oliwia zaniepokoiła się:

– Ty pijesz?

– Jestem piekielnie zmęczony, a zanim się położę, muszę jeszcze coś załatwić. Nie czekaj na mnie.

– Co musisz załatwić?

– Przyszedł mi dobry pomysł do noweli. Muszę zanotować, bo inaczej nie zmrużę oka.

Zaprotestowała. Nie. Z rana zabierze się do pracy z wypoczętą głową. Prawda, że takie niewczesne, artystyczne narodziny zdarzały się od czasu do czasu. Odłożenie ich na rano powodowało bezsenność, lecz nigdy przedtem Aleksy nie miał takich zapadniętych oczu i ściągniętej twarzy. Znow ogarnęło ją złe przecucie. Coś się stało, coś go wytrąciło z równowagi.

– Masz jakieś zmartwienie? – spytała, przytrzymując go za klapy fraka i zaglądając troskliwie w oczy.

Ujął ją za rękę, pocałował i roześmiał się z wyraźnym przymusem. Żadnych zmartwień, tylko ten pomysł, może wielki pomysł. Nie mógł go zmarnować.

Oliwia pozwoliła się odprowadzić do drzwi. Znów uwierzyła.

– Tylko nie siedź za długo.

– A ty połóż się zaraz. Musisz być zmęczona.

Triona został sam. Przeżył dwa wstrząsy, na jakie w swej lekkomyślności nie był wcale przygotowany. Incydent z Wedderburnem mógł od biedy zatuszować. Za to pułkownik Onslow wpędził go w ślepią uliczkę, z której wydostał się za cenę rozpaczliwych wykrętów. Pomyślał, że wolałby już przeprawę przez rurę kanalizacyjną.

Napił się jeszcze raz whisky i wyjąwszy z biurka teczkę, od której kluczył nosił zawsze przy sobie, wydobył z niej małą, czarną książeczkę. Na odwrotnej stronie okładki widniał na pół zatarty rosyjski podpis ołówkiem: *Kryłow*. Dotychczas uważał go za jakąś nieważną notatkę, odnoszącą się do miejscowości lub człowieka. Nie przyszło mu na myśl, że mogło to być nazwisko autora. Teraz wydało mu się, że zamazane litery, patrzą na niego oskarżycielsko niby oczy widma, które okradł z duszy.

Kryłow. Niewątpliwie, Onslow znał za życia tego pięknego nieszczęśnika z głową przyprószoną siwizną i nieustraszonym sercem. Znał i słyszał z jego ust opowieści o strasznych przejściach, zanotowanych w czarnej książeczce, a potem przywłaszczonych przez Triona i upiękuszonych blaskami jego poetyckiej wyobraźni. Wobec pułkownika Triona wyparł się znajomości z Kryłowem. I to było prawdą. Co więcej, wywiad rosyjski był zorganizowany w ten sposób, żeby się szpiedzy nie znali. Nieraz dwaj ludzie dostawali to samo zlecenie, nic o sobie nie wiedząc. Stary wywiad carski polegał na

systemie wzajemnej kontroli. Jeżeli więc misja była identyczna, to agenci mogli przeżywać analogiczne tarapaty. Triona wysilał obrotny mózg na najbardziej sofistyczne argumenty. Na dowód prawdy wymienił nazwiska drobnych hersztów, o których nie wspominał w książce, a których pułkownik również znał osobiście. Świadczyło to niezbicie, że podróżował po ich kraju. Jednak co się tyczyło samych wypadków, pułkownik okazał wyraźne niedowierzenie i pożegnał się bardzo zimno.

Triona poprawił dogasający ogień i usiadł na fotelu ze zniszczoną, czarną książeczką w ręku, która była tak długo jego biblią i źródłem jego kariery literackiej. Przewracał kartki palcami drżącymi ze strachu. Zmarły zmartwychwstał i upominał się o swoje. W pokoju panowała wielka cisza. Kiedy skrzypnął jakiś mebel, odwrócił się pod wrażeniem, że zobaczy duszę Kryłowa. Postanowił spalić książeczkę jako dowód winy. Ale ogień przygasł. Trzeba było dorzucić drew i poczekać, aż się rozpali, żeby nie został żaden ślad. Wzburzone nerwy zwodziły go dręczącymi przywidzeniami. Znow uciekł się do whisky.

Dawno nie przeżył takiego okropnego dnia.

Okłamał Oliwię, po raz nie wiadomo który, tylko że teraz zaczęła mu nie dowierzać. W aucie potraktowała go tak wyniośle, jak jeszcze nigdy. Jak jeszcze nigdy. Powtórzył to na głos. Nie poznawał brzmienia własnego głosu. Czyżby podejrzewała? Nie. Nie mogła podejrzewać. Głowa mu ciążyła, myśli się plątały. Ogień rozpalał się irytująco powoli. Ech, może się da z tego wybrnąć. Whisky pomagała w myśleniu. Że też się do niej nigdy nie uciekał. I po drugie to szalone pragnienie...

Diabelskie notatki muszą pójść w ogień. Cierpliwości, niedługo się rozpali.

– Cierpliwości, przyjacielu – rzekł głośno.

W parę godzin później Oliwia weszła do pokoju w szlafroku, narzuconym na nocną bieliznę. Ogień, zanadto przyduszony węglem, wygasł do iskierki. Aleksy leżał w fotelu, pogrążony w głębokim śnie. Na stolyczku obok stała pusta karafka po whisky. Oliwia skamieniała z przerażenia. A więc upił się i usnął. Spróbowała go obudzić, naturalnie bez skutku. Zaczęła szukać rozpaczliwie przyczyny tego nieszczęścia. On, taki abstynent, który zawsze pijał wodę! Czy wypadki wieczoru tak go rozstroiły? I znów wstrząsnęła nią burza wątpliwości.

Na podłodze leżała otwarta książeczka o brudnych kartkach, która musiała wypaść mu z ręki. Podniosła ją, lecz nic nie zrozumiała, bo pismo było rosyjskie. Nasunęło jej się straszne podejrzenie, że może w tej książeczce kryła się przyczyna jego upicia. Nagle przypomniała sobie jego wywody na temat słuszności plagiatu i hipotetyczny wypadek znalezienia trupa człowieka, a przy nim notesu z cieniutkiego papieru... Więc to był ten notes? Upuściła go bezsilnie i, pochyliwszy się nad mężem, potrząsnęła go za ramiona.

– Aleksy, Aleksy! Obudź się na Boga!

Ale organizm nieprzyzwyczajony do alkoholu, trwał w odrętwieniu. Spróbowała drugi raz.

– Aleksy, obudź się i powiedz. To nieprawda! To nie może być!

W końcu zrozumiała, że będzie musiała poczekać, aż przejdą skutki pijaństwa. Poruszając się jak automat, położyła mu poduszkę pod głowę.

zatkała korkiem karafkę, odstawiła na tacę i spróbowała wytrzeć chusteczką wilgotny krążek na stoliku. Potem rozejrzała się rozpaczliwie po ukochanych ścianach. Na razie nie było nic więcej do zrobienia.

Pójdzie się położyć. Może uśnie. Czuła się rozbita od stóp do głów.

Na ziemi, koło kominka, leżała otwarta teczka z kluczykiem w zamku. Dotychczas zawartość jej była dla niej tajemnicą. Żartowała, że chował w niej loki swoich ofiar. On klął się, że tajne dokumenty. Teraz wyszło na jaw, że zagadkową, czarną książeczkę.

Zawahała się. Będąc z natury porządnicą, nie lubiła nieładu. Podniosła książeczkę, żeby ją schować do teczki, a kluczyk włożyć mężowi do kieszeni. Lecz w trakcie tej operacji z teczki wypadł urzędowy blankiet z nazwiskiem Johna Briggsa. Było tych papierów więcej i z nich dowiedziała się całego oficjalnego życiorysu marynarza Briggsa od czasu wstąpienia do angielskiej kolumny samochodowej w Rosji do demobilizacji, po storpedowaniu jego okrętu na Morzu Północnym.

Jak usiadła na krześle przy biurku, tak się z niego nie ruszyła. Siedziała jak skamieniała, patrząc tragicznym wzrokiem na uśpionego męża, bladego, z włosami w nieładzie. I tak upływały jej godziny.

ROZDZIAŁ XVI

Major Olifant siedział nad swoją pracą w dawnej kancelarii starego Gale'a, którą umeblował po swojemu gablotami z okazami geologicznymi i półkami na książki. Stare biurko ustąpiło miejsca długiemu stołowi, na którym piętrzyły się papiery, mikroskopy i inne aparaty. Major kochał się w prostocie, symbolizującej jego dążenia i jednocześnie braki życiowe. Na kominku płonął ogień, bo poranek był zimny, a na dworze padał dojmujący kwietniowy deszcz.

Owiany dymem z fajki, tak się pogrążył w na pół mechanicznej pracy korektorskiej, że nie usłyszał wejścia służącej.

– Pan Triona, proszę pana.

Na dźwięk jej głosu aż drgnął i odwróciwszy się w krześle, zapytał:

– Pan Triona? Gdzie?

– W jadalni.

– Prosić tutaj!

Służąca wyszła. Olifant wstał i przysunął się do ognia. Co się stało? Triona w Mediów o dziesiątej rano? Tak nagle, bez uprzedzenia? Myśli majora pofrunęły do Oliwii. Musiało się stać coś poważnego.

W chwilę później wpadł do pokoju zmizerowany, rozczochrany Triona, zamykając za sobą drzwi. Płaszcz miał mokry od deszczu, obuwie i spodnie zabłocone. Był nie ogolony i w ogóle wyglądał okropnie.

– Dzięki Bogu, że cię zastałem! Bałem się, że wyjechałeś.

– Jak się tu dostałeś o tak wczesnej godzinie? – zapytał Olifant. (Z Mediów do Londynu jest kawał drogi, a pociągów niewiele.) – Musiałeś

przyjechać wczoraj wieczorem. Dlaczego od razu do mnie nie przyszedłeś?

– Przyjechałem do Worcester ostatnim pociągiem, przenocowałem i jestem – zniecierpliwiał się gość.

– Przyszedłeś ze stacji pieszo. Przemokłeś do nitki. Musisz się przebrać.

Major chciał zadzwonić, lecz Triona przytrzymał go za rękę.

– Nie. Nie. Wracam do Londynu następnym pociągiem. Daj mi spokój z przebraniem. Porzucam żonę.

Major wykonał jedną ręką instynktownie groźny gest, dziwnie sprzeczny z nieruchomością pustego rękawa, przypiętego do piersi.

– Co?

– To, co mówię! – krzyknął Triona. – Rozchodzę się z nią. Rozstajemy się na zawsze. Usuwam się z jej życia.

– Oszalałeś. Ona...

Triona uciszył go gestem.

– O, nie! Ona jest niewinna! – roześmiał się z goryczą. – Nie potrzebujesz jej bronić. Ona zawsze pozostanie między gwiazdami. Tylko ja upadłem. Na Boga! Upadłem jak Lucyfer i pełzam po ziemi. Nie patrz tak na mnie. To nie to, co myślisz. Żadna inna kobieta nie wchodzi w grę, nie wchodziła i nie wejdzie. Na tym jednym punkcie jestem bez winy. I kocham ją. Och! Boże! Dusza wyje z tęsknoty za nią. Do końca życia będę za nią tęsknił jak potępieniec.

Olifant usiadł na krześle i wskazał gościowi drugie koło ognia.

– Siadaj i opowiedz mi spokojnie, co się stało.

Ale Triona nie usłuchał zaproszenia.

– To się stało, że jestem kłamcą, oszustem i że ona dowiedziała się wszystkiego. Słuchaj i nie pytaj, dopóki nie skończę. Przyjechałem do

ciebie z jej powodu. Ty jesteś jedynym człowiekiem, który potrafi ją zrozumieć i pomóc w ciężkim przejściu. Sama by ci się nie przyznała z nadmiaru dumy. A gdyby się nawet przyznała, to by ją to kosztowało wiele cierpienia. Ale będziesz mógł jechać do niej i powiedzieć: „Wiem o wszystkim”.

– Mówisz samymi zagadkami, mój drogi – przerwał major. – Pozwól sobie powiedzieć na wstępie, że każdy medal ma dwie strony. Słuchając ciebie, będę słuchał jednej strony.

– Drugiej nie ma! – krzyknął Triona. – Nie myśl, że będę się przed tobą usprawiedliwiał. Jeżeli uznasz, że może być dla mnie jakieś usprawiedliwienie, tym lepiej. Ale nie po to, tu przyjechałem by się bronić. Czyż nie powiedziałem od razu, że jestem kłamcą i oszustem?

Olifant popatrzył uważnie na bladą twarz przyjaciela, zapadnięte oczy, zwichrzone włosy, opadające na szerokie ramiona i rozedrgane nerwowo usta i wezbrała w nim litość. Wstał i kładąc mu rękę na klapie mokrej kurtki, rzekł:

– Zdejm przynajmniej to. Dobrze. Powieś przed ogniem, to wyschnie.

Siadaj i wysusz nogi. Jeszcze się zaziębisz.

Triona posłuchał przyjacielskiego rozkazu i usiadł bez kurtki na stołeczku przed ogniem. Olifant widząc, że trochę się uspokoił zapytał z uśmiechem, czego by się napił: kawy, herbaty, może alkoholu na rozgrzewkę? Triona podniósł oczy.

– Nigdy w życiu nie tknę alkoholu. Już nigdy!

– A więc papierosa? – Major podał pudełko, zapalił zapałkę. Triona przyjął. Major zapalił fajkę i wrócił na swoje krzesło.

– Teraz opowiadaj prosto i bez ogródek.

Nim zdumiewająca opowieść dobiegła końca, wypalili masę tytoniu. Triona zaczął od nędznych dziecinnych lat. Porwany namiętym głodem prawdy, która w ciągu kilku ostatnich miesięcy taka mu się wydawała nieuchwytna, próbował odnaleźć pubudki wszystkich swoich szaleństw. Sięgał do korzeni, impulsów, rozplątywał psychiczne powikłania.

Opowiadać prosto i bez upiększeń nie potrafił. Nawet podczas tej spowiedzi podkreślał momenty dramatyczne czy malownicze. Opisując pospolite wydarzenia swego życia, garbił się na wąskiej ławeczce, lecz oczy mu gorzały. Ale malując walkę sprzecznych uczuć w duszy, zrywał się, biegał po pokoju i gestykulował jak szalony.

Na wstępie naszkicował prawdziwe dzieje swego życia szeroko, zamaszyście i płomiennie. Potem wypełniał szczegóły z takim samym żywiołowym rozmachem. Przyprószona siwizną głowa, ostre rysy i nagość trupa – porzuconego w rowie trupa Kryłowa – pusta, bezludna, szara okolica – rozrzucone koło zabitego drobiazgi, błysk kompasu w tawie, garnitur sztucznych zębów, mały czarny notes, tajemniczy, czarodziejski czar jego kartek w czasie nocnych wacht na Morzu Północnym, opętanie – wszystko to przesunęło się w wyobraźni majora jak żywe. Potem Triona wypowiadał się z pokusy zatajenia swego pochodzenia i przebiegł szybko tęczową bajkę swej miłości. I znów spuścił nieświadomie na swoje czyny i pobudki jakby gazową kurtynę, która nadała im niepewne kontury.

Olifant słuchał zdumiony. W pierwszej chwili porwało go instynktowne oburzenie. Dał się nabrać na przyjaźń kłamcy i oszustowi. To było nie do darowania. Zraniona miłość własna protestowała na równi z wrodzoną nieskazitelnością. Co więcej, oszust był nie tylko oszustem, ale i hieną wobec umarłych. Przyjaciel przeobraził się w potwora. Lecz w miarę

słuchania opowieści major łagodniał. Rozpacz i wyrzuty sumienia samozwańca zaczęły w nim budzić ludzkie uczucia. Ciekaw był, co w nim przeważa: współczucie czy odraza. Nagle zrozumiał, że pomimo wszystko ma przed sobą genialnego człowieka, i zadumał się ze współczuciem nad jego niepotrzebnym dramatem.

– Na Boga, po coś to zrobił? I bez tego byłbyś sławny.

– Bez tej przeklętej książeczki nic bym nie zrobił! – wybuchnął Triona.

– Nie rozumiesz, jak mnie to opętało? Prosiłem, żebyś mnie o nic nie pytał. Chcesz, żebym się bronił! – zaśmiał się ponuro. – W życiu istnieje poetyczna sprawiedliwość. Ten pokój, w którym spędziliśmy razem tyle godzin, jest przesycony moimi kłamstwami. Przyjechałem, żeby go zdezynfekować prawdą, może tylko w tym celu.

Olifant zmarszczył czoło. Ta fantastyczna psychologia była poza zasięgiem jego prostej, naukowej umysłowości.

– Powiedziałeś, że z powodu Oliwii... – rzekł.

– Naturalnie.

– Muszę cię zapytać powtórnie: dlaczego? Jak mogłeś żenić się z nią z takim kłamstwem na sumieniu?

– Właśnie. Jak mogłem? – jęknął Triona.

– Czy nie byłoby prościej wyznać jej całą prawdę? Mogłeś to zrobić. Pomijając twój cynizm, okazałeś się wybitnym człowiekiem. A ona jest na tyle wielkoduszna, że potrafiłaby to znieść. Na Boga, dlaczego jej nie zaufałeś?

Triona rozłożył bezradnie ręce. Nie wiedział. Był w mocy niewidzialnych potęg. Kiedy spróbował oporu, było już za późno.

– Teraz masz mnie za durnia i łajdaka.

– Tylko za durnia – odparł Olifant.

– Ale nie za łotra? Chciałbym wiedzieć. Ty pierwszy wyciągnąłeś do mnie przyjazną rękę. Do tego czasu ludzie patrzyli na mnie jak na ciekawy okaz. Ty pierwszy potraktowałeś mnie jak człowieka. Nigdy nie zapomnę pobytu w domu twojej siostry w Oxfordzie. Cóż to była za cudowna, nowa atmosfera!

– Jeżeli tak, to czemu cię to nie skłoniło do szczerości? Opowiadałeś swoje fantazje mnie i mojej siostrze z takim samym przejęciem, jak teraz prawdę.

Triona wstał i ubrał się w kurtkę, która zdążyła tymczasem wyschnąć.

– Jak ja ci to wytłumaczę, kiedy sam nie rozumiem? I zresztą – dodał niecierpliwie, wzruszając ramionami – powtarzam, że nie żądam od ciebie ani współczucia, ani przebaczenia.

– Pytałeś, czy nie uważam ciebie za łotra – odparł spokojnie major.

– Więc co? Powiedz, że tak, i będzie koniec.

– I co by z tego wynikło dobrego? – odparł Olifant, zaczynając rozumieć niejasno tajemnicę duszy przyjaciela. – Pragniesz pokuty tak samo szaleńczo, jak przedtem sławy i szczęścia. Wręczasz mi bat i każesz się chłostać. Ale nic z tego. Zresztą gdybym cię nazwał skończoną kanalią, nie mógłbym ci już udzielić dobrej rady.

– Jakiej?

– Żebyś wrócił do żony i odbył pokutę, żyjąc prawdą i głosząc prawdę. Zwłaszcza, że ona cię kocha.

Triona odwrócił się od stołu pod oknem i wyjrzał na zasłonę deszczu, przyciemniającą ogród. Jednocześnie przed oczyma jego duszy zamajaczyła wizja Oliwii, przerażonej, zziębniętej, wybladłej, niemal martwej.

– Jesteś dobry i szlachetny, ale to jest niemożliwe. Triona, człowiek, którego ona kochała, przestał istnieć, a właściwie nigdy nie istniał. Zamiast niego objawił się John Briggs i do niego ona czuje odrazę. Zdradziła się oczami. Zdaje jej się teraz, że żyła z jakąś nieczystą bestią i że jest skalana.

Major zerwał się z krzesła i porwawszy go za ramiona, obrócił twarzą ku sobie.

– Ty durniu, to nieprawda!

– Ja wiem.

– Ech, widzę, że ja ją lepiej znam niż ty – rzekł major.

– Możliwe. Należysz do jej sfery, a ja nie. Udawałem, że należę, i to mnie zgubiło. Jesteś zycznym człowiekiem, Olifant, i takim prawym jak ona. Żadne z was nie może pojąć człowieka, który chodzi krzywymi ścieżkami.

– Psiakrew! Nie mów idiotyzmów! – krzyknął Olifant.

Ale żadne jego argumenty nie zdołały odwieść Triony od dramatycznego zamierzenia. Powtórzył, że chodziło mu głównie o wyręczenie żony w spowiedzi, na którą by się może w swojej dumie nie zdobyła, i oddanie mu jej w opiekę. W końcu wybuchnął:

– Człowieku, nie dręcz mnie! Dostyc mam swoich piekielnych myśli.

Zdobądź się na odrobinę wyobraźni i zrozum, co by to była dla niej za męka mieć mnie przy sobie do końca życia, jej czy mojego. Miłość raz pogrzebana nie zmartwychwstanie. Ona kochała Trionę. Rozumiesz? I on już nie żyje. I miłość umarła. Więc usuwam się z jej życia raz na zawsze.

– Dokąd się udajesz?

– W szeroki świat – odpowiedział z wymownym gestem Triona i, spojrzawszy na zegarek, wykrzyknął: – Na Boga! Pociąg odjedzie! Żegnaj!

– Minutę! – powstrzymał go Olifant. – Czy to będzie sprawiedliwie wobec niej? Jeżeli nawet umkniesz w szeroki świat, to ona pozostanie przykuta do ciebie na zawsze.

– Och! Niech się o to nie martwi! Ja długo nie pożyję.

Skoczył ku drzwiom. Major dogonił go i przytrzymał.

– Mniejsza z pociągiem. Dziś zostaniesz u mnie. Nie mogę cię puszczać w takim stanie.

Ale Triona łatwo dał sobie radę z jednorękim kaleką i nim pchnięty silną pięścią major oprzytomniał z oszołomienia, gość już był na dworze.

Olifant poszedł do telefonu i kazał się połączyć z Londynem. Czekaając, usiadł z fajką koło kominka. Nastrój do pracy opuścił go zupełnie. Patrzył w ogień i myślał z ciężkim sercem, co by było, gdyby nie był głupi. W każdym razie oszczędziłby jej tej katastrofy. Pokochał ją od chwili, gdy wprowadziła go do pokoju, uświęconego duchem zmarłej matki. Och! Jakież był głupi, jak drewniany, jak suchy, jaki zamknięty. Zrozumiał groteskowość swego bólu, dopiero gdy zabrał mu ją inny, romantyczny i wymowny. W rezultacie wyszła za człowieka, z którym się zaprzyjaźnił. Z nią zbliżył się dopiero po jej ślubie. Kochał ją gorąco i odczuwał wszystkie jej przejścia jak swoje. Pragnął tylko, żeby była szczęśliwa, i niczego więcej. A ona kochała swego narwanego męża. Był przekonany, że kochała w dalszym ciągu, wbrew temu, co się stało, wbrew rozczarowaniu, wbrew obrzydliwej niespodziance. On sam przebaczył mu, on sam był pod urokiem jego dzikiego, młodzieńczego wdzięku. Oliwia, opuszczona – nie, to było nie do pomyślenia.

Wreszcie zadzwonił Londyn. Major porwał słuchawkę i usłyszał daleki, lecz wyraźny głos Oliwii. Powiedział swoje nazwisko.

– Aleksy był u mnie. Powiedział mi wszystko. Odjechał południowym pociągiem. Oczywiście, nie wiem, czy pani chce go zobaczyć. Jeżeli tak, to powiem, że ten pociąg przybywa do Paddington kwadrans po szóstej.

Cichy głos odpowiedział: – Dziękuję. Pojadę. I aparat umilkł.

Oliwia i Myra były na dworcu, gdy przybył wskazany pociąg, ale na próżno wypatrywały Triony. Nie przyjechał.

ROZDZIAŁ XVII

Opuściwszy dom majora, Triona pobiegł pędem na stację. Duszę miał pełną wyrzutów sumienia i rozpacz. Widział wciąż oskarżycielskie oczy Oliwii. Miał je przed sobą jak żywe. Na peronie w Worcester uświadomił sobie nagle, że stracił głowę. Walizka z rzeczami, które zabrał z mieszkania, została w zajeździe o milę dalej, gdzie spędził noc. Nie spał, nie kładł się i nawet jej nie otwierał. Wyszedł przed świtem, żeby zdążyć na najwcześniejszy pociąg do Mediów i potem zapomniał o rzeczach i o nie zapłaconym rachunku. Musiał więc wrócić do zajazdu i odłożyć powrót do Londynu do późniejszego pociągu. Tak los zgotował Oliwii nowy zawód z jego ręki.

Chwilowa utrata pamięci podziałała na niego otrzeźwiająco. Coś podobnego nie zdarzyło mu się nigdy w życiu. Dotychczas w im gorszych był opalach, tym trzeźwiej myślał. Zimna przytomność umysłu nadawała niebezpieczeństwu specjalny urok. Teraz, przez ostatnią dobę, szalał jak półgłówek. Myśl ta przejęła go głębokim obrzydzeniem do samego siebie. Wejście w nowy okres życia wymagało rozwagi i spokoju.

Zabrał walizkę, zapłacił rachunek, o jedzeniu nie pomyślał, wrócił na stację, czekał na następny pociąg, wsiadł do wagonu trzeciej klasy i, wyczerpany, usnął kamiennym snem.

Obudził się dopiero w Paddington, z myślą, że nie ma dachu nad głową. Szaleństwo ustąpiło. Mózg funkcjonował normalnie. Aleksy Triona przestał istnieć. Należało więc poszukać takiego hotelu, w którym by go nie poznano. Zresztą wiedział, że na West End wszystkie były zatłoczone. Uciekł się do wspomnień z okresu pracy szoferskiej i pojechał do nędznego

hoteliku na Euston Road, gdzie mu dano brudną klitkę. Kontrast między okropnym łóżkiem z wyświechtaną kołdrą i dziurawym matercem, wytartym dywanikiem, nędznymi drewnianymi sprzętami, wilgotnymi tapetami i szmacianą roletą, z rozkosznym komfortem porzuconego gniazda małżeńskiego był tak rozpaczliwy, że biedak zacinał zęby, żeby nie jęczeć. Nie żeby cenił te rzeczy same w sobie. Komfort fizyczny niewiele go obchodził. Ale utrata wytwornych wygod równała się utracie Oliwii.

Usiadł na łóżku, zwinął papierosa i zaczął myśleć. Nie wątpił, że Oliwia przestała go kochać. W trakcie okropnej spowiedzi, jej twarz stawała się coraz tragiczniejsza. Nie prosił o przebaczenie, bo zanadto brzydził się sobą. Dla pokuty oczerniał siebie w jej oczach w niemiłosierny sposób. Zatracił wszelkie poczucie miary. Przedstawił siebie jako skończonego potwora, jako świętokradcę, który sprofanował bóstwo, to znaczy ją. Walczył o niebo piekielną bronią i Odwieczna Sprawiedliwość straciła go z powrotem w otchłań. Musiał odtąd pozostać na dnie otchłani, z dala od jej gwiazdnych szlaków.

Bajka o Wrońskim zaboląła ją do żywego.

– Wroński? – przycisnęła dłonie do skroni, rozpościerając palce.

– A ja włożyłam w ten dramat tyle serca!

Tak. Dopuścił się wobec niej niewybaczalnego grzechu. Na tym świecie był przeklęty. Nadzieja zbawienia polegała jedynie na uwolnieniu jej od swej zapowietrzanej osoby. Olifant sądził rzecz podług głupiego kodeksu dżentelmeństwa. Triona zaciął zęby i zacisnął kurczowo rękę. Gdyby on mógł być takim głupcem! Od czasu bytności w domu księcia starał się ambitnie o pozory wrodzonego szczęśliwemu majorowi dżentelmeństwa. Pomimo wszystko jednak Olifant był głupcem, dalekim

od przyziemnej rzeczywistości. „Wróć do żony, ona cię kocha”.

Rycerski osioł! Nie widział jej rozpaczliwych, podbitych oczu i trupio bladej twarzy.

Nie, nie było innego wyjścia jak zejść jej z oczu.

W czasie rozmowy z nią czuł się normalnie. Nie grał komedii, nie deklamował i nie gestykulował tak jak w gabinecie Olifanta. Czuł się jak umarły człowiek, zanurzony po szyję w ogniu piekielnym, ale trzeźwy na umyśle. W pewnym sensie był z tego dumny. Wzruszenie przyćmiłoby uczciwość.

Ostatnie słowa, jakie do niej skierował, były: – A przyszłość?

Odpowiedziała bezradnie: – Czy może być jakaś przyszłość?

Potem westchnęła głęboko i przesunęła ręką po twarzy.

– Na Boga, daj mi spokój. Zostaw mnie samą. Muszę wyjść. Muszę odetchnąć czystym powietrzem.

Otworzył jej drzwi. Minęła go z daleka, z oczami utkwionymi w przestrzeń.

W tym momencie dopiero poeta-szarlatan zrozumiał, że zapadł na niego wyrok. Nie zakwestionował wyroku losu. Przyjął do wiadomości bezwzględny werdykt.

Po wyjściu Oliwii poszedł do swego pokoju i zapakował do walizki trochę rzeczy, łącznie z papierami Briggsa i przekłętą czarną książeczką.

W hallu natknął się na niewzruszoną Myrę.

– Czemu mi pan nie kazał zapakować walizki? Czy pani wie, że pan wyjeżdża?

– Nie. Nie wie. Niech Myra zaczeka!

Wszedł z powrotem do mieszkania i po chwili pojawił się z listem w

ręku.

Nie mógł zostawić żony w niepewności co do swego powrotu: nie powinna się lękać, że go jeszcze zobaczy.

– Proszę oddać to pani.

– Czy pan wróci? – zapytała Myra.

Popatrzył na jej czarną postać, rozjaśnioną białymi mankietami. Wyglądała jak wcielenie fatum.

– Dlaczego Myra o to pyta?

– Bo pan ma taką twarz, jakby nie miał wrócić – odparła służąca. – Wiem, że między państwem coś zaszło.

Zawsze jej się trochę bał. Była taka kamienna, sprawna i nieodgadniona. Traktowała go z szacunkiem, lecz czuł, że była zazdrosna o swoją panienkę i starał się ją zjednywać. Teraz wszakże jej zachowanie wykrzesало z niego nieco godności.

Wziął z podłogi walizkę.

– Co Myrę to może obchodzić?

– Czy pan by zapytał, co mnie to może obchodzić, gdybym ratowała panienkę z ognia?

Spokojna dramatyczność, z jaką wygłosiła to dramatyczne przypuszczenie, podziałała na jego zmysł artystyczny. Lecz znając jej przywiązanie do Oliwii, nie mógł podejmować dyskusji. Skapitulował więc i rzekł:

– Tak. Zaszło coś między nami. Coś bardzo złego. Wszystko z mojej winy. Rozumie Myra?

– Inaczej nie mogło być, proszę pana.

– Dlatego wyjeżdżam i nie wrócę.

Skierował się do wyjścia. Wyprzedziła go szybko i otworzyła drzwi. Chwilę stała sztywno z ręką na klamce. Spotkał się z jej chłodnym, wrogim wzrokiem i wyszedł bez słowa. Zatrzęsnęła drzwi.

Dopiero na chodniku stracił panowanie nad sobą. Poczul się zgubiony, wyrzucony za nawias życia i do powrotu na stację w Worcester był jak obłąkany.

– Już nigdy... – pomyślał.

Rozebrał się i położył do łóżka. Przez kilka godzin walczył z bezsennością, ale w końcu usnął i obudził się z rana wypoczęty, gotów do stawienia czoła przyszłości. Nie miał jeszcze żadnego planu, wiedział tylko, że musi zniknąć. Dalsze używanie nazwiska Triony było nie do pomyślenia. Triona i wszystko, co to nazwisko symbolizowało, złego czy dobrego, musiało być zmienione na zawsze. Mógł tego dokonać, wyjeżdżając za granicę. Na przykład do Ameryki. Mógł zarabiać piórem na utrzymanie, pisząc pod nowym pseudonimem. Chodziło mu tylko o to, żeby nie umrzeć z głodu.

Nawet w ziemskim piekle, na jakie się skazał swymi kłamstwami, musiał jeść. Przemknęła mu myśl o samobójstwie, ale wrodzony, zdrowy rozsądek odparł zwycięsko grzeszną pokusę. Nie był tchórzem. Musiał przecierpieć karę, choćby najsroźszą.

Po śniadaniu napisał list do swoich wydawców – nie zapomniał zabrać ze sobą papieru listowego – z zawiadomieniem, że wyjeżdża nagle za granicę i żeby wpłacali należne mu sumy do banku na rachunek żony, dopóki drugi raz nie napisze. Następnie wystawił czek na jej nazwisko i dołączył do listu do banku. Dla siebie zarezerwował kilkaset funtów, które bezzwłocznie podjął na koszt podróży. W końcu zdenerwowany poszedł się powłóczyć

po mieście, a właściwie po przedmieściach. Tu nie potrzebował obawiać się spotkania ze znajomymi Triony.

Spotkali się w Somers Town, w nędznej uliczce, pełnej rozczochranych dzieci, umorusanych bębnow i przekupniów z wózkami. Zeszli się twarz w twarz i każdy odskoczył w tył, tak się zdumieli. Poznali się od razu.

Triona krzyknął: – To ty, Bronowski!

– A ty, zapomniałem nazwiska – Bronowski stuknął się w czoło tłustą, białą ręką – byłeś głównym szoferem księcia...

– Briggs – odpowiedział Triona.

– Briggs, tak. Ty jedyny znasz literaturę ukraińską lepiej ode mnie. Ja Polak, a ty Anglik. Ach, przyjacielu, ile to się zmieniło od czasów, kiedyśmy się widzieli ostatni raz!

– Wszystko się zmieniło.

– Dobrze mówisz – Bronowski uśmiechnął się. – No i cóż?

– No i cóż? – odparł Triona.

– Widzę po ubraniu i minie, że ci się dobrze powodzi. Co ty burżuju robisz w tym nędznym zaułku?

– Włóczę się. A ty?

– Ja tu chwilowo mieszkam. Życie jest drogie, a grosza mało. Wracam do Warszawy, może jutro, może za tydzień, za dwa...

– W Polsce jest wojna – zauważył Triona.

– Dlatego tu jestem i dlatego wracam, kochany przyjacielu – odparł Polak.

Był to tęgi mężczyzna lat około czterdziestu, o ciemnych oczach, zwichrzonych wąsach, siwiejącej brodzie, wysokim myślącym czole i początkach łysiny, wyglądającej spod czarnego, podniszczonego, filcowego

kapelusza, zsuniętego na tył głowy. Z kapeluszem harmonizował popielaty, nieco zmięty garnitur.

Triona roześmiał się.

– Czy żył kiedyś Polak nie spiskowiec?

– Powiedz raczej: czy żył kiedy Polak, który nie kochał nad życie ojczyzny?

– Tak. Muszę przyznać, że wy, Polacy, jesteście gorącymi patriotami.

Czarne oczy Bronowskiego zamigotały ognisćie. Ujął przyjaciela pod ramię i zaczął się z nim przepychać przez zatłoczony chodnik.

– Dlaczego wy, Anglicy, którzy ginęliście niedawno tysiącami za wasz kraj, tak zawsze podrwiacie z patriotyzmu? Słuchając cię, można by pomyśleć, że nie dbasz o Anglię.

– Widzisz, myśmy byli zawsze spokojni o jej niezawisłość.

– My, Polacy, przeciwnie. Półtora wieku jęczeliśmy w niewoli. Półtora wieku marzyliśmy o wolności i teraz, kiedyśmy ją zdobyli, nie potrafimy myśleć o niczym innym, zwłaszcza, że niemiecka intryga chce nas pozbawić dostępu do morza, że państwa zachodnioeuropejskie odmawiają nam praw do Galicji i Ukrainy, a Armia Czerwona atakuje od wschodu. Nie jesteśmy tak pewni wolności, żeby sobie pozwolić na lekceważenie patriotyzmu.

– Co robisz w Anglii? – zapytał Triona.

– Rozpaczam! – krzyknął Bronowski. – Przyjechaliśmy po pomoc, ale raczą nas tu tylko pięknymi słówkami. Żądamy pieniędzy na armaty i amunicję dla umocnienia traktatu wersalskiego, a tu nam powiadają: „Nie możemy. Nasza Labour Party nie pozwala. Ale polecimy tym łapserdakom – bolszewikom, żeby wam dali spokój”. Więc wracamy, nie wypełniwszy naszej misji. Ja gram w tym wszystkim skromną rolę. Nie jestem bynajmniej

oficjalnym delegatem. Przyjechałem na własną rękę. Moi nie dokazali niczego. Pozostawiono nas samym obie. Walczymy o utrzymanie niezawisłości. W naszych sercach jest tylko Polska, więc nic dziwnego, że mamy ją ciągle na ustach. Gdybyśmy nie krzyczeli, kto by nas słuchał? Krzyczymy: „Polska! Polska!” w uszy wszystkim państwom sprzymierzonym i neutralnym. Ja, pionek, też krzyczę. Może to głosy wołające na puszczy. Ale kiedyś, jeden raz, jeden Głos został usłyszany; Głos, który zrewolucjonizował świat.

Głos Polaka, wołającego w nędznej uliczce Somers Town, obudził echo w sercu Triony.

– Rozumiem – rzekł. – Daruj mi bezmyślne słowa. Przeżywam wielkie osobiste nieszczęście i jestem strasznie zdenerwowany.

Bronowski przyjrzał mu się badawczo.

– Czy znasz lekarstwo, na głupie nieszczęścia, które wkradają się tutaj i tutaj – dotknął ręką czoła i serca – drobne nieszczęścia...

– E tam, drobne...

– Tak, przyjacielu – wykrzyknął Bronowski, przystając na wprost sklepiku spożywczego i chwytając Trionę za klapę. – Zdobądź się na poczucie miary. Wśród mrowia żyjących istot jednostka jest nic nie znaczącym pyłkiem. Czym są twoje cierpienia w porównaniu z męką świata! Tak, tak. Oczywiście, czuje się ból zęba, ból serca, ból duszy. Ale jednostka może znaleźć na te kłopoty lekarstwo.

– Jakie? – zapytał Triona.

– Proste. Musi się otrząsnąć z trosk indywidualnych i utopić swój ból w morzu cierpień ogólnoludzkich. Musi się wyzwolić od siebie samej i zjednoczyć się z wielką sprawą.

Obszarpane babsko z koszykiem w ręku zepchnęło go brutalnie z chodnika, gdyż zagradzał wejście do sklepu.

– Nie możemy tu stać – rzekł odzyskując równowagę. – Ale czy chcesz dalej rozmawiać?

– Bardzo – odparł Triona, w nagłym przeczuciu, że może jemu, duchowemu rozbitkowi, same nieba zesłały tego na oko pospolitego proroka.

– To chodź do mnie.

Wszedł, ku zdziwieniu Triony, w drzwi sklepiku spożywczego, z którego wychodziło się na korytarz pełen zaduchu i koszy na warzywa. Tu wąskie schodki wiodły do pokoiku, wychodzącego oknem na hałaśliwą uliczkę. Bronowski wysunął krzesło spod prostego, drewnianego stolika, zasłanego papierami i wskazał sofę.

– Tam wygodniej – rzekł uprzejmie. – Proszę cię, siadaj.

Wziął ze stolika pudełko z resztką papierosów.

– Może papierosa? Poza tym mogę cię uraczyć tylko herbatą. – Pokazał lampkę spirytusową i nędzne przybory do herbaty w kącie. Robił honory domu z wielkim wdziękiem. Triona przyjął papierosa, lecz za herbatę podziękował. Bronowski usiadł na krześle. Po zdjęciu kapelusza jego głowa zajaśniała rozległą łysiną, okoloną od szyi i uszu dość długim, szpakowatym pasem włosów. Wywiązawszy się z obowiązków gościnności, sychnął znów gradem niecierpliwych słów, powtarzając to, co już powiedział, i kończąc taką samą refleksją:

– Zbawienie polega na zaparciu się siebie i oddaniu wielkiej sprawie.

– Ależ mój drogi – zaprotestował gorączkowo Triona – jakiej wielkiej sprawie mógłby się oddać w dzisiejszych czasach Anglik? Czy u nas

entuzjazmują się jakąkolwiek ideą? Ma się rozumieć, kocham mój kraj. Walczyłem dla niego na morzu i lądzie. Byłem ranny. Wyratowałem się ze storpedowanego okrętu. I w razie potrzeby poddam się temu wszystkiemu jeszcze raz. Ale kraj mnie nie woła.

Zerwał się z sofy i jął biegać po pokoju, gestykulując niemal tak gwałtownie, jak przed chwilą Polak. Ten nie spuszczał z niego oczu; słuchał i kiwał potwierdzająco głową. Rozumiał.

– Jedynym pozytywnym ideałem w dzisiejszej Anglii – ciągnął Triona – jest bolszewizm. Jedyną popularną, powojenną flagą – czerwona flaga. Reszta sprowadza się do negatywizmu. Rzecz w tym, czemu możemy przeszkodzić, nie w tym, czego moglibyśmy dokonać. Ty, Bronowski, jako profesor historii, wiesz, że od początku świata nie zwyciężyła nigdy żadna ewangelia negatywizmu. Spójrz na mnie – rozprostował szeroko ramiona.

– Jestem młody, sprawny, zdolny. Nie powiem ci, ile dokazałem głową, w chęci złożenia osobistych cierpień w ofierze ludzkości, spragniony ideału, czynu. Muszę to znaleźć, bo inaczej umrę. Dobrze ci teoretyzować. Umiesz czarować słowami. Masz słuszność, ale wskaż mi wielką sprawę, której mógłbym się poświęcić.

– Polska – odrzekł Bronowski.

ROZDZIAŁ XVIII

Wyraz ten przeciął powietrze jak trzask bicia. Triona popatrzył na patriotę zdumionymi oczami.

– Polska – powtórzył Bronowski. – Czemu nie? Chcesz walczyć dla wielkiej sprawy, a czyż wolna, niepodległa Polska nie jest zwrotnikiem powojennej Europy? To przecież pewnik. Jeżeli bolszewizm zaleje Polskę, będzie to równoznaczne z ruiną całej Europy. Świat wije się w konwulsjach.

Walczyć za Polskę, to walczyć za zbawienie świata. Czy może być większa sprawa?

Oczy mu płonęły, wyciągnięta ręka wskazywała w dal. Tronie przypomniał się znów obrazek z dzieciennych lat.

– Cudowne – rzekł półgłosem.

– I proste. Jedź ze mną do Warszawy. Mam wpływowych przyjaciół. Inaczej bym tu nie przyjechał. Armia polska przyjąłaby cię z otwartymi rękami.

Triona podał Polakowi rękę.

– Niech tam! Jadę.

W godzinę później pędzili jak na skrzydłach przez ciasne uliczki. Znalazł zbawienie, znalazł drogę do prawdy, znalazł sposób usprawiedliwienia się w oczach żony, której już nie spodziewał się zobaczyć na ziemi. I sama w sobie okazja wyglądała niezwykle pociągająco. Cieszył się, że znów będzie żył chwilą, bez myśli o niepewnym jutrze. Tak, co da się sprawie Polski. Bronowski miał

słuszność. Wskazał dobre lekarstw o. On, Briggs, wyzbył się już indywidualnego życia. Stracił wszystko, co kochał. Wszystko go odeszło. Odtąd miał być tylko rycerzem idei.

Tej nocy nie spał z podniecenia. Postanowił poprosić, żeby go tam, w Polsce, wysłano na najgorszy odcinek frontu. Zginąć na polu chwały! Oliwia dowiedziałyby się...

Jako Briggsowi wydano mu paszport bez trudności. Bronowski dostał szybko wizy w polskim konsulacie. W trakcie czekania na załatwienie wszystkich formalności Triona przejrzał swoje papiery i usunął wszelkie ślady trionizmu. Czarną książeczkę pochłonęły płomienie. Pozbywszy się jej, poczuł się innym człowiekiem. W ubranie na wyprawę zaopatrzył się we wschodniej dzielnicy Londynu, nieznannej mieszkańcom West Endu. Dużo czasu spędzał u Bronowskiego, czytając broszury i pisma o Polsce. Nie chciał okazać się ignorantem tam, gdzie pragnął oddać życie. Kupił gramatykę polską i ułożył przy pomocy Bronowskiego słowniczek. Polak zdumiewał się jego zapałem.

– Ty bierzesz się do rzeczy jak... jak... Nie umiem znaleźć porównania. Jak wściekły.

– Umieć pracować – odparł Triona.

Pracował dużo, a nie dojadł i nie dosypiał, tak że w końcu wychudł na szczapę i nabrał gorączkowego wyrazu oczu. Z Bronowskim gadał całymi godzinami, tak jakby chciał wydrzeć z niego całą wiedzę i wszystkie tajemnice duszy.

– Tak – odpowiedział na jego żartobliwe zarzuty – chcę wchłonąć w siebie całą duszę Polski. Jakże mógłbym jej służyć, nie czując po polsku i nie patrząc na rzeczy oczami Polaka?

– Czy to możliwe?

– Zobaczysz.

I jak niegdyś uległ opętańczemu urokowi zmarłego Kryłowa, tak teraz dał się zaczarować nowej wielkiej sprawie. Musiał mieć w naturze coś, co mu umożliwiało wczuwanie się we wszelkie idee. Już zaczął żałować, że powrócił do pospolitego nazwiska Briggsa, którym go rzadko nazywano, nawet przed wojną w Rosji. Był wtedy Iwanem Pietrowiczem. To sprawiało, że czuł się Rosjaninem.

Ale zwalczył w sobie pokusę. – Nie, na Boga! – pomyślał. – Dostyc kłamstw.

Jednak pomimo tego postanowienia kombinował po nocach, jakby mógł spolszczyć swoje nazwisko. Przerabiając je na „Brygowski”, nie popełniłby oszustwa. Jakże polski patriota mógł się nazywać Briggs? To tak, jakby wielki aktor grał rolę Hamleta w surducie i meloniku.

Raz tylko wspomniał Bronowskiemu o swoim osobistym nieszczęściu.

Dni upływały, a oni tkwili w Londynie. Bronowski musiał czekać na instrukcje swych zwierzchników. Triona niecierpliwił się zwłoką. Polak uśmiechał się pobłaźliwie.

– Pierwszym warunkiem powodzenia u kobiety, czy w służbie idei jest cierpliwość. Bezgraniczna cierpliwość. Kobiety i idee są na pozór kapryśne i nielogiczne, a w rzeczywistości nieubłagane i stalowo konsekwentne.

– Dobrze ci mówić o cierpliwości – zaperzył się Triona. – Ale jak człowiek ma w sercu furie...

Bronowski znów się uśmiechnął.

– Tak ci zaszła za skórę? Triona zerwał się z krzesła.

– Jak śmiesz insynuować mi takie rzeczy? Bronowski spojrzał na niego

zdumiony i rzekł grzecznie:

– Przepraszam cię... Nie chciałem cię obrazić. Wiem, że jeżeli młody człowiek jest nieszczęśliwy, to najczęściej przez kobietę... Przykro mi, mój drogi.

– W porządku. I mnie jest przykro. Zresztą powiem ci. Chodzi o kobietę, ale z tych angielskich. Nie jestem jej godzien i najlepiej by było, gdybym zdechł. Jestem potępiony na wieki.

Bronowski szarpnął się za bródkę. Człowiek nieszczęśliwy z miłości, goręcej służy sprawie.

– Nikt nie może być potępiony na wieki, póki żyje – rzekł dobrotliwie, gdyż miał z natury dobre serce. – Nie chciałbym ci się narzucać, ale może – jako człowiek starszy od ciebie – mógłbym ci w czymś pomóc?

– Dziękuję ci za dobroć, ale na moje nieszczęście nie ma rady! Chociaż... gdybym zginął, mógłbyś mi oddać przysługę.

– Jeszcze nie umierasz! Jeszcze daleko do tego.

– Nie wiadomo. Pójdę na front. Mogę zginąć pierwszego dnia. Czy, gdyby się to stało, podjąłbyś się zawiadomienia kogoś?

Pochylił się nad stolikiem i zaczął pisać.

– Przedwczesna troska, mój drogi – rzekł Bronowski – ale jak wolisz. – Wziął do ręki kartkę z nazwiskiem i adresem majora Olifanta.

– To mógłbym zgubić. Zapiszę w notesie. Czy mogę ci powiedzieć coś poważnego?

– Wszystko.

– Człowiek może się odrodzić duchowo. – Położył rękę na ramieniu Triony. – Ale to nie przychodzi na zawołanie. Trzeba czekać. Jednym słowem, jak już powiedziałem, cierpliwości, przyjacielu.

Triona uspokoił się na kilka dni, lecz nie na długo starczyło mu cierpliwości. Znow przyszedł do Bronowskiego w rozpacz.

– Jeżeli prędko nie wyruszymy, to zwariuję. Nie śpię od wielu nocy. Usnę dopiero w podróży, gdy będę wiedział, że marzenie stało się rzeczywistością.

– Właśnie otrzymałem rozkaz – odparł Polak. – Jutro rano wyruszamy. Oto bilety.

Tego wieczora Triona napisał do żony ogromny list z ostatecznym pożegnaniem. Jechał do Polski, żeby oddać niegodne życie dla sprawy bezpieczeństwa Europy. Prosił, żeby Oliwia uważała go odtąd za umarłego. Tylko w ten sposób mógł naprawić wyrządzoną jej krzywdę.

Ale po powrocie do hotelu ogarnęła go rozpacz. Bo czyż mogła uwierzyć w podróż do Polski po kłamstwach o Finlandii? Uzna to za nową, romantyczną blagę i rzuci list do kosza. Pożałował, że pisał. Chociaż drugi list wysłany z Warszawy, potwierdzi pierwszy. Ale po co narzucać się jej pamięci? Niech go lepiej uważa za umarłego, bo tylko wtedy będzie mogła żyć szczęśliwie. Nie wiadomo, czy jest mu sądzona śmierć od kuli. Wszak wyszedł cało z tyłu bitew na lądzie i morzu. A nawet gdyby zginął, to jak by się dowiedziała o jego śmierci? Jeżeli zaś nie zginie, to biedna będzie przykuta na wieki do upiora. Olifant to powiedział. Głupi idealista, ale powiedział prawdę. No, tym razem trzeba się postarać o śmierć i o to, żeby do niej ta wieść doszła. Bronowski ma adres majora.

Zapukano do drzwi, a już dochodziła północ. Wszedł portier meldując, że jakiś cudzoziemiec chce się widzieć z panem w ważnej sprawie.

– Proszę go wprowadzić – odparł Triona.

Złapał się za głowę z jękiem. Nie pragnął w tej chwili towarzystwa Bronowskiego, bał się jego bezpośredniości, miał zamęt w głowie. Polak należał do typu fanatyków, sług idei, niezdolnych do osobistych uczuć. To samo bywa ze starymi pannami oddanymi kościołowi i filantropii, przeświadczonymi, że zdobywają sobie tą drogą nieśmiertelną chwałę. Bronowski nie przeżył żadnej tragedii osobistej. Jeżeli będzie deklamował o Polsce do trzeciej nad ranem, jak to się już raz zdarzyło, to on oszaleje. Nie! Kroki na schodach odbiły się w mózgu nieszczęśnika złowrogim echem. Ale w otwartych drzwiach stanął nie Bronowski, tylko jego zaufany agent Kiliński, człowieczyna mały, czarny, blady i ubrany tak lichy, że portier, choć przyzwyczajony do niepozornej klienteli hotelu, wszedł przezornie za nim.

Triona kazał mu wyjść.

– O co chodzi – zapytał po rosyjsku, gdyż Kiliński mówił po angielsku bardzo słabo.

Agent podał w odpowiedzi duży list. Wewnątrz mieściły się dwie koperty i zapisany arkusik natępującej treści:

Kochany Przyjacielu!

Nagły zwrot w sytuacji politycznej zmusza mnie do wyjazdu – dokąd, nic powiem. Żałuję, że nie będę Ci mógł towarzyszyć. Ty wyruszysz jutro rano, jak było umówione. Marszruta wiadoma – Paryż, Zurych, Salzburg, Praga. Załączam listy do niezawodnych przyjaciół w Pradze i Warszawie, którzy pomogą Ci we wszystkim. Jeżeli nie dojdą Cię ode mnie wieści w Pradze, gdzie radzę Ci zabawić tydzień, to dam Ci znać do Warszawy. Ale mam nadzieję, że znajdę Cię w Pradze.

Twój Bronowski

Przed chwilą Triona bronił się przed Bronowskim, teraz przerażony perspektywą samotnej podróży przez Europę, zatęsknił nagle do niego całym sercem. A gdyby Bronowski nie mógł wrócić prędko do Warszawy?

– Dziękuję. Pójdę do pana Bronowskiego z ustną odpowiedzią.

– To niemożliwe – odparł Kiliński.

– Dlaczego?

– Pan Bronowski opuścił już swoją kwaterę. Nie wiem, dokąd się udał.

Triona wzruszył ramionami i zaklął w duszy. Ale cóż było robić?

Spiskowiec jest zawsze spiskowcem.

– Dlaczego pan nie przyszedł wcześniej?

– Miałem do doręczenia dużo listów i jeszcze nie rozniosłem wszystkich – odrzekł Kiliński.

Triona popatrzył na jego mizerną twarz, napiętowaną głodem i wyjął z kieszeni banknot dziesięcioszylingowy. Ale nędzarz odskoczył w tył.

– Dziękuję panu. Służę swemu krajowi i mogę przyjmować zapłatę tylko od swego rządu.

Triona popatrzył na niego z podziwem.

– Wielki musi być pański kraj!

– Wielki! – odparł Kiliński z ogniem w oczach.

– Jestem dumny, że będę za niego walczył.

– Zazdroszczę panu – rzekł Kiliński. Niech Bóg ma pana w swojej opiece.

W godzinę później Triona stał na Buckingham Palace Road i patrzył w górę, w okna swego mieszkania. Nie mógł spać i miał napad

włóczęstwa. W oknie sypialni jaśniała słaba smużka światła. Rok temu włóczył się tutaj tak samo w nadziei, że ją spotka. I spotkał. I, co więcej, wyratował z przykrew opresji. Teraz nieba były na niego niełaskawe. Ona kryła się bezpiecznie w mieszkaniu.

Walczył z szaloną pokusą. Miał przy dewizce klucz od mieszkania. Był jej mężem. Mógł wejść. Tęsknił za nią tak strasznie, że musiał tłumić jęk. Światelko w szparce firanki ciągnęło go, jak blask latarni morskiej ciągnie żeglarza. Wejdzie na górę. Może ten głupi Olifant miał rację. Może ona jeszcze go kocha. Jakby w odpowiedzi na to przypuszczenie światło zgasło.

Zawrócił i powlókł się przed siebie na oślep.

Wrócił do hotelu o czwartej nad ranem. Ponieważ pociąg odchodził z dworca Wiktorii o ósmej, o rozebraniu się i kładzeniu do łóżka nie mogło być mowy. Rucił się na nie w płaszczu. W głowie mu szumiało. Nie mógł usnąć.

Nagle spostrzegł, że w pokoju zrobiło się widno. Zerwał się i spojrzał na zegarek. Było po siódmej. A więc spał. Szybko się umył, spakował resztę rzeczy i zadzwonił na nocnego portiera, aby zniósł rzeczy. Zaspany cerber zjawił się dopiero po dłuższej chwili. Triona zszedł za nim, niosąc gruby płaszcz, kupiony na podróż, i płócienną torbę. Na śniadanie nie było czasu. Na szczęście rachunek uregulował poprzedniego wieczoru. Pozostawało tylko sprowadzić taksówkę.

Ale o tej wczesnej godzinie jeszcze nie było taksówek.

– Sprowadziłbym panu z Euston – rzekł portier – tylko, że nie mogę zostawić bramy.

– Sam sobie poszukam – odparł Triona i wzięwszy w jedną rękę walizkę, a w drugą torbę, pomaszerował w kierunku stacji. Był tak wyczerpany, że

ledwie szedł. Przeklinał siebie, że zasnął. Gdyby złapał taksówkę, jeszcze by zdążył. Miał uczucie, jakby od tego zależało jego zbawienie. Zobaczywszy jedną nadjeżdżającą, upuścił bagaż i stanął na jezdni z podniesionymi rękami. Nagle usłyszał za sobą ochryple wrzaski i zgrzyt hamulców. Zdążył się jeszcze obejrzeć, ale uskoczyć nie zdążył.

ROZDZIAŁ XIX

Oliwia walczyła z losem.

Zaczęło się to na dobre od chwili, gdy Myra wręczyła jej list od męża i powtórzyła jego słowa.

– Dobrze się stało – rzekła. – To jedyne wyjście z sytuacji.

Zasiadła do obiadu, udając dzielnie apetyt. Myra usługiwała w milczeniu.

– No! Co o tym sądzisz?

* * *

– Nic nie wiem, to nic nie myślę – odparła służąca.

– Chciałabyś wiedzieć?

– Czyja chce, czy nie chcę, to nie ma nic do rzeczy. Jeżeli mi panienka powie, to dlatego, że to może panience ulży. Wiem, że nie po chrześcijańsku mówię, ale nie przebaczę panu, że skrzywdził panienkę.

– Pan mnie nie skrzywdził – rzekła Oliwia. – Rozumiesz? To zupełnie co innego.

Popatrzyła na kamienną twarz służącej, lecz pomimo ich wieloletniej zażyłości nie zdołała wyczytać z jej matowych, bladych oczu nic z jej myśli. Ale chciała, żeby wiedziała prawdę.

– Okazało się, że mój mąż nie nazywa się Aleksy Triona, a John Briggs.

– John Briggs – powtórzyła Myra.

– Jego ojciec był robotnikiem w Newcastle, on zaś był szoferem w Rosji. Wszystko, co mówił i pisał o sobie, to nieprawda. W lecie jeździł nie do

Finlandii, a do Newcastle. Wezwano go do umierającej matki. Kłamał od początku do końca. Widzisz on...

Ukryła twarz w dłoniach i zaniósła się suchym łkaniem. Myra obesza szybko stół, objęła ją wpół i przytuliła serdecznie do płaskich piersi.

– Cicho, cicho, panienko kochana. Kiedy indziej mi panienska opowie.

Oliwia pozwoliła się utulić; opanowała się i wstała.

– Nie. Od razu ci powiem, żeby już o tym nie wspominać. Dostyc tej głupiej żalości.

Opowiedziała. Pod koniec opowieści Myra zapytała: – Co panienska teraz zrobi?

– Nic. Będę się zachowywała tak, jakby nic nie zaszło... Służąca kiwała głową.

– Nie panienska pierwsza wpadła na ten sposób.

– Jak to? – zdziwiła się Oliwia.

– To, co mówię, panienko. Trudna sprawa, ale trzeba wierzyć w Boga i w siebie, jak za dobrych czasów.

– Skąd ty czerpiesz taką mądrość, moja kochana?

– Z życia, kochana panienska – odrzekła dziwnie miękkim głosem służąca i zabrawszy ze stołu tace, wyszła.

Na drugi dzień po południu Oliwia rzekła do niej: – Pan major Olifant telefonował do mnie, że nasz pan przyjedzie dziś kwadrans po szóstej. Na dworzec w Paddington. Pojedziemy po niego.

– Jak panienska każe.

Nie rozmawiały o Trionie ani w trakcie jazdy na dworzec, ani czekania na peronie. Było to charakterystyczne dla ich stosunku. Nie przyjechał. Wróciły do domu tą samą taksówką.

* * *

– Mam nadzieję, że go już nie zobaczę – rzekła Oliwia, upokorzona tym nowym zawodem. – Powiedział panu majorowi, że wróci tym pociągiem i znów skłamał. Nie myśl – dodała z gniewem – że zamierzam się z nim pojednać. Dlatego zabrałam cię ze sobą. Ale ludzie nie powinni rozchodzić się na zawsze w tak histeryczny sposób. Dobre wychowanie obowiązuje, a separacja wymaga pewnych formalności.

Nowe upokorzenie dotknęło ją do głębi. Teraz już nie chciała go widzieć. Powiedziała to szczerze. Olifant, niespokojny o dalszy ciąg wypadków, przyjechał do Londynu i zastał ją w tym niechętnym nastroju.

– To nie może się tak skończyć – zawyrokował. – Pani jest zraniona do żywego. On szaleje z rozpaczy i wstydu. Czas ułagodzi sytuację. Aleksey uspokoi się i poprosi o przebaczenie, które otrzyma.

– Pan nie rozumie. Ten, którego kochałam i poślubiłam, przestał istnieć.

– Geniusz istnieje. Niech pani posłucha. Od chwili, gdy u mnie był, nie jest zdolny do żadnej pracy. Myśli o was obojgu. On mógł się usprawiedliwić, ale nie zrobił tego.

– Usprawiedliwić? W jaki sposób? – zapytała z goryczą.

Olifant przedstawił jej amatorską analizę psychiki Triony. Urok czarnej książeczki podziałał na szczególnie wrażliwą wyobraźnię; reszta rozwinęła się logicznie.

– Uległ szantażowi pierwszego kłamstwa.

– Rozumiem to – odpowiedziała Oliwia – ale tylko głową, nie sercem. Pan stoi z dala i osądza obiektywnie. Ja jestem w samym środku burzy i

cierpię.

Gdyby chodziło tylko o samego Trionę, może by przebaczyła, ale tu chodziło o coś więcej: o miłość, która splotła się z tą przeraźliwą blagą od samego początku. Dla kobiety drobiazgi życiowe są drogie jak dzieci, których krzywdzicielom zagroził Chrystus kamieniem młyńskim i morzem. Jak się nacierpiała wtedy, gdy on wybrał się w domniemaną podróż do Finlandii – w służbie ojczyzny! Opowiadała z dumą znajomym o śladach kajdan bolszewickich na jego nogach. Fikcyjny dramat zmyślonego Wrońskiego wstrząsnął nią do głębi duszy. Oburzała się stale na przymus, wywierany na bohatera przez Foreign Office. Tych drobnych cierpień nie mogła mu przebaczyć. Wszak wymierzając je, wiedział, że cierpiała.

Na próżno Olifant, nie obeznany z psychologią kobiet, bronił niefortunnego geniusza. Na próżno powoływał się na jego prawdziwe zasługi, odwagę, wytrzymałość, rany, ciężkie przejścia w Rosji, niebezpieczną służbę na okręcie wojennym, zakończoną przewidywaną klęską, ogromne, wprost genialne zdolności literackie i ogólne uznanie dla jego książek. Na próżno zachwycił się jego osobistym wdziękiem. Oliwia tylko wzdychała.

– Ja go takim nie widzę.

– Więc jak ja pani pomogę?

Potrząsnęła głową. – Nie może mi pan pomóc, drogi przyjacielu.

– Patrzyła na niego wielkimi, czarnymi oczami, pocierając dłonią wierzch drugiej ręki. – Ale oddał mi pan wielką przysługę. Teraz wierzę, że są na świecie lojalni przyjaciele.

Zaprotestował: – Droga pani Oliwio...

– Tak, i nigdy tego nie zapomnę. Ale dajmy już temu spokój. Nie ma o

czym mówić.

– Jak pani uważa. Ale co pani zamierza teraz zrobić?

Odpowiedziała to samo, co Myrze. Będzie żyła jakby nigdy nic. Tak jak dotąd.

– Jak długo?

Wzruszyła ramionami. W nieskończoność. Tylko w ten sposób mogła uniknąć plotek i oszczerstwa.

– Jeżeli nie potrafię stawić światu czoła, to jestem nędzną istotą – rzekła, prostując się z godnością.

– Zostanie pani w tym mieszkaniu?

– Naturalnie. Dokąd bym się udała?

– Przywiozłem list od siostry – rzekł Olifant, sięgając do kieszeni. Przeczytawszy list, Oliwia rzekła serdecznie: – Jaki pan dobry, jaki dobry...

– To projekt mojej siostry – uśmiechnął się, zadając kłam słowom wyrazem oczu. – Dlaczego by pani nie mogła tego zrobić? Tu, pomimo całej odwagi, będzie pani ciężko. I zresztą na co się zda walczyć z wiatrakami? Co komu z tego przyjdzie? Pani potrzebuje wypoczynku fizycznego i moralnego.

Spojrzała mu w oczy. – Czy wyglądam tak opłakanie?

– Tak smutno, że serce mi pęka, pani Oliwio.

– To przejdzie. Po prostu nie wyspałam się.

– Na wsi prędzej przejdzie – nalegał. – Dom będzie do pani dyspozycji. Ja i Mary zamienimy się w dyskretne cienie. Pani nie wie, jak dalece Mary nie myśli o sobie, a jaka umie być anielska dla cierpiących. Wystarczy na nią spojrzeć i od razu robi się lżej na duszy. – Dotknął delikatnie palcami

jej ramienia. – Niech pani przyjedzie. Oddamy pani dawny pokój. A może będzie pani wolała zająć pokój matki? Jest w takim samym stanie, w jakim go pani zostawiła.

Stała koło kominka, z łokciem wspartym na konsoli, z twarzą zwróconą w bok.

– Albo, jeżeli pani sobie tego życzy, możemy się wyprowadzić w ciągu kilku dni...

Podawała mu rękę, wyciągając ją w tył.

– Jaki pan szlachetny. Nie dziwię się temu, bo... bo... – odwracała uparcie oczy – od razu pierwszego dnia w Mediów... kiedy pana poznałam... od razu wiedziałam, że... że pan jest szlachetny. Może mi pan wierzyć. Ja... ja nie mówię tak, żeby mówić...

Wyrwała mu rękę i poszła w głąb pokoju. Poszedł za nią.

– Przesada, droga pani. Jestem przeciętnym, porządnym człowiekiem.

Kto postąpiłby inaczej?

Wreszcie odwróciła się do niego twarzą.

– A ja, jako przeciętna, porządna kobieta, musiałam powiedzieć to, co czuję.

– No więc? – zapytał.

Chwilę popatrzyli sobie w oczy. Twarz Oliwii ozdobił lekki rumieniec.

– Jak pan mnie kusi – rzekła z uśmiechem. – Ale gdybym wróciła do Mediów, państwo by mnie rozpieścili, a mnie trzeba hartu do walki.

Nie mógł jej odwozдить od tak dzielnego postanowienia. Rzekł więc tonem żalosego zawodu:

– Jeżeli mógłbym pani pomóc w inny sposób, a pani się nie zgodzi, będzie mi strasznie przykro.

– O! W razie czego udam się tylko do pana! – wykrzyknęła impulsywnie. – Nie mam nikogo innego.

Odszedł pocieszony, lecz nie wrócił do Mediów. Uważał, że przez te pierwsze krytyczne dni mogłoby się coś stać, i chciał być na miejscu.

Oliwia nie myślała o przyszłości. Walka z samą sobą pochłaniała jej uwagę. Przyjęła podwieczorkiem znajomą i gawędziła z nią wesoło po staremu. To małe zwycięstwo dodało jej sił do dalszych zmagania. Załatwiła drobne sprawunki, uzupełniała braki w toaletach. Musiała przecież dbać o powierzchowność. Raz, po wyjściu od krawcowej, natknęła się na Bond Street na Lidię, strojną, efektowną, pogodną.

– Oliwia, jak ty wyglądasz? Istne widmo! Co się z tobą dzieje?

– Wszystko po dawnemu.

Nie zerwały na dobre. Odwiedzały się od czasu od czasu, lecz ostatnio dawno się nie widziały. Szły wolno razem. Lidia miała masę nowin. Bob Quinton ożenił się z panną Bellingham, bogatą osobą, starszą od niego dwa razy.

– Umie sobie radzić – zauważyła Oliwia.

Mauregard został przeniesiony do Rzymu. Jego ukochana, tancerka rosyjska, uciekła z Danimodem, krawcem od Luquina.

– Nic o tym nie wiesz? Moje dziecko, gdzieś ty się ukrywała?

W grobowcu? Od sześciu tygodni mówi o tym cały Londyn. Są teraz w Paryżu. Podobno on znęca się nad nią, bije ją, ale jej się to podoba. Różne są gusta. Mauregard był dla niej za delikatny.

Papłając wesoło, opowiedziała Oliwii skandaliczną kronikę swego światka. W końcu zapytała, czy przypomina sobie Edvina Mavennę? Pytaniu towarzyszył pobłażliwy uśmiezek. Oliwia zacisnęła nerwowo ręce.

Mavenna przestał cokolwiek znaczyć. Wspomnienie o nim zaćmiła młodsza postać Triony.

Słuchała świergotu Lidii jednym uchem.

– Na tym świecie trzeba żyć i pozwalać żyć. Jest teraz współnikiem Sydneya. Już ci kiedyś o tym wspominałam. Czy mogę o nim mówić?

– Naturalnie.

– Z jego powodu nie zaprosiłam was do nas na wieś, do Sussex. Ale może by teraz? To wcale miły człowiek.

– Nie widzisz jakiejś wolnej taksówki?

Poczuła nagły wstręt do Lidii, pomieszany z dziwną zazdrością. Dlaczego taka cyniczna materialistka była szczęśliwa, podczas gdy ona... ?

– Spiesz się? – zapytała Lidia.

– Muszę być u... dentysty.

– Stańmy tutaj i uważajmy, to złapiemy taksówkę.

Stały koło wystawy księgarskiej.

– Mizernie wyglądasz, kochanie – rzekła serdecznie Lidia. – Widocznie małżeństwo ci nie służy. Co ci właściwie jest?

Oliwia spłonęła rumieńcem.

– Nic mi nie jest.

– Jak się miewa mąż?

– Doskonale.

Oliwia ledwo nad sobą panowała, a tu nie było widać żadnej wolnej taksówki.

– Wyjechał za granicę w ważnej sprawie – dodała.

To samo powiedziała znajomej, która była u niej kiedyś na podwieczorku.

– I ciebie z sobą nie zabrał?

– Nie mógł. Był skrepowany ważnością... – zaczęła instynktownie i spostrzegłszy, że okrywa go jego własnym płaszczem kłamstwa, zarumieniła się ponownie.

– Tak? – uśmiechnęła się Lidia. – Moja ty biedna słomiana wdówko, przydałoby ci się trochę zabawy, tak jak za dawnych czasów. Umówmy się. Mogłabyś być u nas na obiedzie, a potem razem pójdziemy do teatru... Sydney stęsknił się za tobą. Mavennę bym ukryła.

Nie dokończyła. Oliwia zbiegła na skraj chodnika, machając w górze haftowaną torebką. Za chwilę wsiadła do taksówki.

– Zgoda? – pytała Lidia.

– Zatelefonuję. Do widzenia. Miło mi było spotkać się z tobą...

Podady sobie ręce. Lidia uśmiechnęła się z właściwym sobie zadowoleniem kobiety, której nie brakuje ptasiego mleka i zapytała: – Dokąd?

Oliwia zorientowała się szybko. Gdyby powiedziała, że do domu, Lidia domyśliłaby się jej chęci ucieczki. Nie chcąc jej ranić, zawołała do szofera na chybił trafił:

– Malborough Road, St. John's Wood.

– Dziwny adres dla dentysty – zauważyła Lidia.

Taksówka ruszyła. Oliwia została sama ze swymi myślami. Och, ta Lidia! Żeby się z nią spotkać, właśnie z nią! Obiad i teatr. Akurat! A potem może kolacja i dancin! Powrót do punktu wyjścia sprzed roku. Nagle spostrzegła, że zanosí się śmiechem i, przerażona umilkła. Wstrząsnęło ją to, jak nagłe hamowanie rozpędzonym samochodem w chwili niebezpieczeństwa. Dyszała ciężko, czoło miała mokre.

Taksówka mknęła. Przez szyby migały drzewa Regent's Parku. Oliwia

przypomniała sobie niepotrzebny cel jazdy i wychyliwszy głowę przez okienko, zawołała do szofera:

– Rozmyśliłam się. Proszę mnie zawieźć do Buckingham Palace Mansions.

Na drugi dzień otrzymała od Lidii list na kosztownym papierze, z zaproszeniem na piątek. Zgoda? Wstąpią po nią oboje o siódmej. Był i dopisek następującej treści:

Mam nadzieję, że dentysta z St. John 's Woodnie narobił ci wielkiego bólu.

Oliwia odpowiedziała:

Bardzo mi przykro, ale dentysta z St. John 's Wood narobił mi takiego bólu, że nie będę mogła się pokazać ludziom najmniej przez miesiąc.

I znów porwała ją ochota do śmiechu.

Po południu przyszedł Olifant. Powiedziała mu o zawiadomieniu z banku, że mąż przekazał na jej rachunek dużą sumę. O spotkaniu z Lidią nie wspomniała.

– Co ja zrobię z tymi pieniędzmi? Nie chcę... Wolę zwrócić...

– Zastanowię się nad tym – rzekł Olifant.

Przyszedł na drugi dzień rano. Widział się z dyrektorem banku, w którym Triona lokował swoje wpływy. Nie dało się nic zrobić. Aleksey zamknął rachunek, a to, co mu zostało, podjął w gotówce.

– Na razie niech to tak zostanie – poradził major.

Żegnając się, rzekł: – O, żeby tak pani przyjechała do Mediów! Czują się chora, ale nie ustąpiła: – Nie. Muszę to znieść, choćbym miała umrzeć.

– Podziwiam pani bohaterstwo, tylko, że to nie wojna...

Wreszcie zjawił się Rowington. To już była ostatnia kropla udęki. Naprzód zapytał przez telefon o adres Triony – w ważnej sprawie. Oliwia odpowiedziała, że nie może podać adresu. W takim razie, czy by nie zechciała przesłać mężowi listu? Odpowiedziała przecząco. W takim razie, czy nie zechciałaby przyjąć go w dowolnej godzinie? Musiała się zgodzić. Wyznaczyła godzinę. Przyszedł punktualnie.

Przyjęła go wystraszona i poruszona.

– Droga pani – rzekł gość, ujmując jej rękę w obie dłonie – gdzie się podział genialny małżonek?

– Wyjechał za granicę.

– Ale przecież wróci.

– Wyjechał na bardzo długo, w ważnej sprawie – wyrecytowała Oliwia.

Wskazała na fotel. Usiedli.

– Domyśliłem się czegoś takiego z jego listu. Czy wspomniał pani o pewnym swoim zarządzeniu?

– Nie rozumiem – odparła wykrętnie.

– Proszę, list...

Podał jej list Triony ze wskazówkami, dotyczącymi wypłaty dalszych dochodów literackich na jej ręce. Przerzuciła go szybko.

– W porządku proszę pana.

Rowington odetchnął z ulgą.

– Rad jestem, że pani wie. Myślałem... Ale w jakiegokolwiek sprawie wyjechał, powinien natychmiast wracać.

– Dlaczego? – zapytała z przykrym przeczcuciem prawdy. Starszy pan przesunął ręką po czole.

– Idzie o pewną stronę naszych wspólnych interesów, droga pani. Oliwia wstała. On poszedł grzecznie za jej przykładem.

– Czy to ma coś wspólnego z przyjęciem u państwa?

– Niestety tak.

– Z pułkownikiem Onslowem i kapitanem Wedderburnem?

Spojrzał w jej oczy.

– Tak, proszę pani.

– Naopowiadali panu o moim mężu samych kłamstw.

– Oddałbym dziesięć lat życia za to, żeby pani nie zranić – rzekł tonem wielkiego żalu. – Ostatniej nocy nie zmrużyłem oka. Idzie o mój honor jako wydawcy. Tylko pani może poratować mnie i męża. Onslow i Wedderburn przyszli do mnie z zapytaniem, czy książka „Przez krew i śnieg” była pisana jako wspomnienia osobiste?

– Tak – odparła Oliwia, opierając się plecami o ścianę.

– Pan Triona będzie musiał tego dowieść.

– Dowiedzie – rzekła dumnie Oliwia. – Co oni zamierzają zrobić?

– Ogłosić całą rzecz w prasie... Droga pani, czy pani nie widzi, w jakim ja jestem położeniu? Przepraszam, że panią ranie, ale ten list wskazuje na ucieczkę. Nie odważę się im tego powiedzieć. Naturalnie pan Triona wyjaśni nam wszystkie wątpliwości. Jestem tego pewny. Teraz pani rozumie, że powinien wrócić, choćby miał nie wiem jak ważne sprawy.

– Rozumiem.

– Więc pani napisze do niego?

Teraz musiała wyznać prawdę.

– Faktycznie, to sama nie wiem, gdzie on jest. Nie mogę się z nim skomunikować.

Wymowny wyraz twarzy Rowingtona wywołał w niej odruch nienawiści.

– Jak tylko to będzie możliwe, dam panu znać – dorzuciła.

– Koniecznie, proszę pani. Pani rozumie, że Onslow i Wedderburn uważają to za swój obowiązek?

– Ale to są ludzie honorowi – rzekła Oliwia – i nie będą atakowali człowieka podczas jego nieobecności.

– Mam nadzieję, droga pani. Mam nadzieję. Zobaczę się z nimi. Niech mi pani wierzy, że starałem się ich odwieść od tego zamiaru...

– O co oni właściwie oskarżają mego męża?

Chciała go bronić. Musiała znać fakty.

Wyjaśnił, że chodziło o zagadkowy okres dziesięciomiesięczny. Kapitan Wedderburn twierdził, że przez cztery pierwsze miesiące Triona służył w kolumnie samochodów pancernych, a przez pozostałe sześć leżał w szpitalu rosyjskim. Pułkownik Onslow zaś utrzymywał, że przygody Triony w tym czasie (opowiedziane w książce) pokrywały się z identycznymi przeżyciami człowieka, który mu je opowiadał osobiście. Daty miał w pamięci bardzo żywo.

– Teraz wiem – rzekła Oliwia. – Ale to są absurdy. Mąż w mojej 10 Ofiara jednego kłamstwa obecności zaprzeczył, jakoby miał być w szpitalu rosyjskim. Niech pan powie tym panom w moim imieniu, że to, co chcą zrobić, jest haniebne, zwłaszcza że męża nie ma tutaj. To nie po angielsku napadać na człowieka, który nie może się bronić.

Oczy jej płonęły. Twarz miała ściągniętą bladością. Rowington wrócił do domu pod silnym wrażeniem. Ale pomimo to nie odzyskał wiary w

Trionę.

Oliwia została sama z widmem publicznej hańby. Przeciwno temu nie mogła walczyć. Człowiek, którego kochała, przestał istnieć, lecz ona nosiła jego nazwisko w dalszym ciągu i musiała bronić przed światem jego honoru. Ogarnęło ją uczucie rozpaczliwej bezsilności, a potem wielka trwoga.

W nocy prawie nie spała. Myra przyniosła jej do łóżka ranną pocztę, a wśród niej list od Triony. Niestety, adresu nie podawał. Przeczytawszy list, Oliwia wybuchnęła histerycznym śmiechem.

– Pisze, że wyjeżdża do Polski, walczyć o wolność Europy.

Myra dopadła do niej przerażona i gdy się „panienka” trochę uspokoiła, posłała po lekarza który polecił wezwać pielęgniarkę.

Na drugi dzień rano nie doręczono Oliwii żadnej korespondencji ani gazet. Myra, która czytywała tylko kronikę wypadków, wyłowiła z niej krótką wzmiankę policyjną, że Jan Briggs wpadł poprzedniego dnia pod samochód ciężarowy i został odwieziony do szpitala. Nazwiska dowiedziano się nie od niego, gdyż był nieprzytomny, lecz z jego papierów.

ROZDZIAŁ XX

Myra stała koło szpitalnego łóżka, odgradzonego od innych parawanem i patrzyła obojętnie na nieprzytomnego rannego.

– Tak – rzekła do siostry – to pan Jan Briggs. Znam go dobrze.

– Czy pani jest jego krewną?

– On nie ma krewnych.

– W takich wypadkach zwracamy się zawsze do policji, żeby odszukała kogoś odpowiedzialnego...

– Ja przyszłam się nim zaopiekować – rzekła Myra.

Siostra popatrzyła na nią badawczo. Nie wiedziała, co myśleć o tej wysokiej, chudej kobiecie w eleganckim, szarym kostiumie i skromnym czarnym kapeluszu, która robiła wrażenie dystyngowanej damy, a mówiła prowincjonalnym akcentem. Wyglądała na uczciwą, ale mogła być oszustką.

– Dla porządku wymagamy dowodów – rzekła. Myra poszła po rozum do głowy.

– Pan Briggs miał jechać do Polski.

Siostra kiwnęła głową. Przy rannym znaleziono bilet kolejowy i nie zapieczętowane listy do Pragi i Warszawy. Chodziło tylko o to, żeby się nim ktoś zaopiekował. Opowiedziała o skutkach wypadku: złamanym udzie, pogruchotanych żebrach i ogólnym wstrząsie. Co się tyczyło obrażeń wewnętrznych, to zdania lekarzy były na razie podzielone.

Myra spojrzała na twarz Triony, ledwie widoczną spod bandaży i zapytała:

– Będzie żył?

– Wątpliwe – odparła siostra.

Odeszły na środek sali i siostra opowiedziała szczegółowo przebieg wypadków.

– To bogaty człowiek – rzekła Myra.

– Domyśliliśmy się – odpowiedziała siostra, której wręczono na przechowanie portfel pacjenta, wypchany banknotami angielskimi.

– W razie czego siostra da mi znać.

– Nazwisko pani i adres?

Myra powiedziała nazwisko i adres, a siostra zanotowała na bloczku.

– Czy mogłabym go jeszcze zobaczyć?

– Naturalnie.

Weszły za parawan i Myra nachyliła się nad człowiekiem, który złamał życie jej „panience”. W pierwszej chwili, gdy go zobaczyła, poczuła litość, lecz zaraz potem wezbrała w niej gwałtowna uraza. Dobrze kłamczuchowi! Szkoda, że nie zginął na miejscu! Za dystygowanymi pozorami Myry wrzały gwałtowne uczucia. Gdyby go poznała niejako męża Oliwii, na pewno dałaby się oczarować jego młodzieńczemu wdziękowi. Zawsze był dla niej bardzo uprzejmy i szanował jej uczucia wobec „panienki”. Ona chwilami go uwielbiała, chwilami nienawidziła. Ale zważywszy wszystko, byłoby lepiej i dla Oliwii, i dla niego, gdyby umarł. Myra rozejrzała się szybko po pokoju. Siostra odeszła. Myra pomyślała, że gdyby teraz wzięła w ręce tę obandażowaną głowę i potrząsnęła nią silnie, byłoby od razu po wszystkim i Oliwia odzyskałaby wolność. Niesłychana pokusa przejęła ją chłodnym dreszczem. Wyszła zza parawanu i spotkała się z siostrą.

– Czy mogłabym go znowu kiedyś odwiedzić? – Ależ naturalnie.

– Nie chcę, żeby umarł.

Siostra zaskoczona, odpowiedziała: – Może pani być pewna, że zastosujemy wszelkie możliwe środki ratunku.

– Wiem – odparła Myra.

Oliwii nie powiedziała o tych odwiedzinach ani słowa. Ani o tych, ani o następnych. Triona był ciągle nieprzytomny.

Oliwia doszła do siebie dosyć prędko i pielęgniarka stała się zbędna. Lekarz przepisał już wyjazd na wieś. Olifant znów zaproponował Mediów i tym razem nie spotkał się z odmową. W trakcie pakowania rzeczy pani i służąca miały szczególną rozmowę.

Oliwia, trzymająca w ręku ostatni rozpaczliwy list, rzekła:

– Rada jestem, że wyjechał do Polski.

– Dlaczego? – zapytała Myra, nie podnosząc oczu znad kufra, koło którego klęczała.

– Postąpił po męsku.

– E, jak mężczyzna kopie kartofle, to też jest po męsku.

– No, oczywiście.

Oliwia podarła list i rzuciła w ogień.

– Małżeństwo może być piekłem.

– Może – potwierdziła Myra.

– Tobie się udało, że nie wyszłaś za mąż.

– O? – zapytała Myra, układając w kufrze bieliznę. Na jej głos Oliwia drgnęła: – Co ty?

Myra podniosła głowę. – Panienska może myśli, że panienska jedna na świecie ma kłopoty?

Oliwia przysunęła się o krok bliżej. – I ty masz zmartwienia, Myro?

– Od dwudziestu lat, panienko; od czasu, jak wyszłam za mąż.

Oliwia otworzyła usta i oniemiała ze zdumienia. Więc ta purytanko, zakamieniała stara panna...

– Jesteś mężatką?

Opadła na krzesło. Szumiało jej w głowie. Staropanieństwo Myry było dla niej jednym z aksjomatów życia, a jej osoba stałym punktem odniesienia do zamierzchłych czasów niemowlęctwa. Tylko raz na rok wierna służąca wyjeżdżała na urlop w niewiadomym kierunku. Tajemniczość jej na tym punkcie była za czasów dzieciństwa przedmiotem żartów Oliwii, jej ojca i braci. Adresu, o ile Oliwia wiedziała, nie zostawiała nigdy. Pomimo to jednak matka nie miała nigdy nic przeciwko jej wyjazdom. Ostatnio Myra wyjeżdżała w swoją tajemniczą podróż w listopadzie, ale zamiast miesiąca zabawiła tylko dwa tygodnie. Oliwia wyobrażała sobie, nie wiadomo dlaczego, że służąca spędza urlopy w jakimś domu modlitwy czy czymś w tym rodzaju. A ona tymczasem jeździła do męża. Gdzie prawda na tym świecie?

– Jesteś mężatką? – powtórzyła bezmyślnie.

Myra wstała sztywno z artretycznym trzeszczeniem stawów i może pierwszy raz w życiu Oliwia zobaczyła w jej wypłowiałych oczach jakiś wyraz.

– Tak, panienko. Ale w pierwszym miesiącu po ślubie wyszło na jaw, że mój mąż miał niedobrze w głowie, tak że musiałam go zamknąć w domu dla obłąkanych, i wróciłam na dawną służbę. Jeszcze żyje, jeżdżę do niego co rok.

Oliwia, wzruszona, porwała ją w ramiona.

– Myra... moja biedna... moja kochana... Służąca wysunęła się delikatnie

z jedwabnych objęć.

– Nic... nic...

– Dlaczego mi nigdy nie mówiłaś?

– Co by panience z tego przyszło?

– To, że byłabym dla ciebie lepsza.

– Nie mogłaby panienka być lepsza. Lepiej dla panienki, że nie wiedziała. Po co ludziom zatruwać życie swoimi troskami, kiedy mają dosyć własnych? Panienka nie wie, ale cudze troski też trują.

– Ale dlaczego słuchasz mi z takim oddaniem? – zapytała Oliwia ze łzami w oczach.

– Z obowiązku. Już to panience kiedyś mówiłam i nie będę powtarzała. Po drugie matka panienki...

– Czy mama wiedziała?

Myra skinęła głową.

– Nie wiedziała, że miałam wyjść za mąż. Byłam wtedy młoda i bałam się... Pani wzięła mnie do siebie z sierocińca i zdawało mi się, że powinnam zostać u niej do końca życia. Mąż przyjechał do Mediów poszywać dachy i poznaliśmy się. Jego ojciec pochodził z Norfolk, a wiadomo, że tamtejsi poszywacze są najlepsi. Trudniłam się tym z ojca na syna. Rodzina mojego męża mieszkała w jednej wsi od czasów najazdu normandzkiego i nigdy nie uprawiała innego rzemiosła. Mój mąż był przystojny, pewny siebie i kiedy mi się oświadczył, przyjął go bez namysłu. Umówiliśmy się, że pobierzemy się w czasie mojego urlopu. Do tej pory spędzałam wakacje nad morzem, w domu należącym do sierocińca. Płaciło się grosze. Tym razem pojechałam do niego. Do starszej pani napisałam dopiero, gdy nieszczęście wyszło na jaw. Odpowiedziała, że im mniej osób dowie się o tym, tym lepiej.

Wróciłam na służbę, jakby nigdy nic. Nie wiem, czy pani powiedziała starszemu panu, ale chyba nie. Miałam dziecko – dzięki Bogu przyszło na świat nieżywe. Pani tak wszystko urządziła, że nikt o tym nie wiedział. Panienka była wtedy tycia. Teraz panienka rozumie, dlaczego opiekę nad panienką uważam za swój najpierwszy obowiązek? Przez wdzięczność dla nieboszczki pani. Takie anioły jak ona rzadko chodzą po świecie.

– Całe życie – zaczęła Oliwia, lecz Myra nie dała jej dokończyć.

– Nie mówiłam panience o tym, bo by panience nic dobrego z tego nie przyszło. A ja żyję dla szczęścia panienki. Człowiek musi w życiu mieć jakiś cel. Jedni żyją religią – drudzy dla jedzenia. Ja żyję dla panienki. Walczyłam i modliłam się, żeby mnie Bóg oświecił. Chrystys wzywał mnie, żebym się wyrzekła dla niego marności światowych, ale wybrałam panienkę. Może zostanę za to potępiona, ale mi wszystko jedno.

Uklękła obok kufra i zajęła się znów układaniem bielizny.

– Teraz przyznałam się panience, żeby panienka zobaczyła, że nie jednej panience nie powiodło się z mężem. Niech panienka zostawi mnie samą z tym pakowaniem.

Oliwia zawahała się w drzwiach. Nie śmiała wypowiedzieć swoich uczuć. Dziwna, apatyczna służąca i przyjaciółka w jednej osobie napawała ją szczególnym respektem.

– Niech panieneczka idzie i zastanowi się nad moimi słowami. Na szczęście u panienki obeszło się bez dziecka.

Oliwia nie wiedziała, czy uznać to ostatecznie za szczęście czy odwrotnie. Dziecko mogłoby nadać jej życiu głęboką treść. I nie odziedziczyłoby żadnego fizycznego przekleństwa. Z drugiej strony związałoby ją na zawsze z człowiekiem, którego przestała uważać za męża i nie pragnęła więcej

zobaczyć. Swoją drogą rewelacje Myry dodały jej odwagi i otuchy. Ona przynajmniej nie związała się z wariatem.

Pierwsze dni w Mediów upłynęły jak sen. Siostra majora Mary Woolcombe, otoczyła ją jak najserdeczniejszą opieką. Sama była nieszczęśliwa w małżeństwie i rozeszła się z mężem. Wliczając do kompanii Myrę, znalazły się w swoim kółku nieszczęśliwych żon. Oliwia śmiejąc się powiedziała Myrze, że mogłyby założyć schronisko i sprowadzić więcej sobie podobnych.

Ochłonawszy z pierwszego, dziwnego oszołomienia po powrocie w rodzinne progi, wyprawiła się na miasto i tu odzyskała poczucie rzeczywistości. Dopiero przed osiemnastu miesiącami wyruszyła w świat, a przeżyła tyle, jakby to było osiemnaście lat...

Z wyjątkiem gabinetu majora, w domu zaszły bardzo niewielkie zmiany. Dębowa ława w hallu nosiła odwieczne ślady zębów Barabasza. Biała szybka w kolorowym oknie łazienki przypominała o figlu Boba, spoczywającego wiecznym snem na francuskiej ziemi. Jej własny pokój, zajęty przez panią Woolcobme, różnił się od dawnego tylko drobiazgami. Rada była, że go jej zostawiła. W tych czterech ścianach upłynęły jej dziewczęce lata, których wspomnienie nie było dla niej zbyt miłe. Wołała przenieść się do pokoju matki. Tu panowały serdeczniejsze widma.

Major dotrzymał przyrzeczenia. Pomimo że nie miała udziału w praktycznym kierowaniu domem, czuła się w nim panią. Siostrę majora pokochała od pierwszego wejrzenia jak własną siostrę. Była to różowa, pulchna kobieta o ciemnoblond włosach i ciemnoniebieskich oczach, takich samych jak u brata. Wycalowały się zaraz przy pierwszym spotkaniu.

– Mam nadzieję, że pani czuje się jak w domu – rzekł kiedyś przy lunchu Olifant.

– Państwo zachowują się nie jak gospodarze, ale jak moi goście – odparła Oliwia.

– Wdzięczni jesteśmy, że pani nas tak traktuje – rzekła Mary. – Ale na dowód, że to jest szczerze, niech pani zaprosi innych gości.

– Z przyjemnością – zgodziła się Oliwia i spłonęła rumieńcem. Przypomniała sobie z uczuciem ironii pierwszą chmurkę, jaka zaćmiła błogość miodowych miesięcy z Trioną. Naradzali się, gdzie zamieszkają. Aleksy proponował rozsądnie Mediów. Ona, powodowana gorzkim wspomnieniem dumnych panien z Blair Parku, oparła się temu projektowi z gwałtowną niechęcią. On, równy książętom, uważał ją za damę wysoko urodzoną, za zaczarowaną księżniczkę. A więc oszukiwali się nawzajem. Ona, córka mieszczanina, wyłączona na mocy niepisanego prawa z koła miejscowego ziemiaństwa, wyrzucała sobie nieszczerłość wobec syna robotnika, prostego marynarza i szofera, a więc człowieka z niższej klasy społecznej niż ona. Nic dziwnego, że nie rozumiał jej niedomówień. Znow wzebrała w niej burza urazy. Dla niego skalala się niepotrzebnie oszustwem i snobizmem. Jak to dobrze, że usunął się z jej życia!

– Czy mogę zaprosić panów Trivetta i Fenmarcha na podwieczorek?

Mary Woolcombe uśmiechnęła się łagodnie.

– Droga pani, dom należy do pani. My się nie bawimy w hiszpańską kurtuazję. Stawiamy sprawy prosto, po angielsku...

Oliwia przyjęła dwóch starych przyjaciół w jadalni, tak jak w dzień swej emancypacji. Fenmarch był taki ziemisty jak zawsze, a Trivett nie stracił nic ze swojej zdrowej czerwoności. Delektował się whisky i tym

razem przyznał się, że w domu żona nie tolerowała alkoholu. Obaj cieszyli się serdecznie jej widokiem. O separacji z Trioną nie wiedzieli. Powiedziała im, że była chora i że lekarz przepisał jej wypoczynek na świeżym powietrzu.

– Mizernie dziecko wygląda – rzekł Trivett. – Radziłbym pić stare wino. Zostało przecież po ojcu. Chyba że major opróżnił piwniczkę?

Oliwia roześmiała się, a Fenmarch potrząsnął głową i westchnął: – Aj! Co to było za wino!

– Poczęstuję panów! – zawołała Oliwia.

I pomimo ich grzecznych protestów, zadzwoniła na Myrę, która wyszła i wróciła z omszałą butelką w rękach. Trivett odebrał ją od niej i odkorkował. Fenmarch przyglądał się tej czynności z nabożną miną. Obaj przyjaciele powąchali korek i ich poważne twarze rozjaśniły się promiennym uśmiechem. Myra przygotowała tymczasem szklanki, które zaraz napełniły się złocisto-rubinowym płynem. Żaden kolor nie dorówna świetlistej barwie starego portweinu.

– Dosyć! Dla mnie jeden łyk – roześmiała się Oliwia.

– Co to, to nie! Kolego, nie zgodzilibyśmy się na takie marnotrawstwo, gdyby nie wzgląd na pani zdrowie, co?

Ale Fenmarch, pochłonięty swoją czynnością, zawołał: – Ostrożnie, na miłość boską, panno Oliwio, bo rozleję! Niech pani nie cofa szklanki!

Oliwia poczuła się szczęśliwa po raz pierwszy od przyjęcia u Rowingtonów. Poczciwi starzy przyjaciele! Ich radość była wzruszająco dziecinna. Po chwili kontemplacji podnieśli szklanki z ukłonem w jej stronę i przyłożyli do ust.

– Ach! – westchnął błogo Fenmarch.

– Hm! – mruknął Trivett, marszcząc w skupieniu brwi.

Nagle stało się coś niespodziewanego. Fenmarch, szary, surowy Fenmarch, który się nigdy nie śmiał, odepchnął się z krzesłem od stołu i waląc ręką po udzie, wybuchnął cienkim, donośnym chichotem. Oliwia oniemiała.

– On nie czuje smaku! Pił whisky! Popsuł sobie smak! Tylko na to czekałem! – zatrzepotał rękami. – Ha! ha! ha! To dobre! Ha! ha! ha!

Zaciągnął się niebiańskim aromatem z pogodną miną człowieka, który nigdy nie obraził bogów.

Tłusta twarz Trivetta przeciągnęła się żałośnie.

– Niech to! – zaklął, ignorując Oliwię. – Masz rację!

– Morał – ciągnął uradowany Fenmarch – nie oszukuj żony, bo źle na tym wyjdiesz. Tak, mój drogi! Ha! ha! ha!

Oliwia zmartwiona zawodem Trivetta, rzekła do niego: – Jutro przyślę panu wino.

Pocziwiec rozłożył szeroko ramiona. – Dziecko, to musi osiąść. Jeżeli by się zmaćło butelkę, trzeba by czekać parę miesięcy.

W rezultacie pogodził się z losem i, choć pozbawiony częściowo smaku, dopił do spółki z przyjacielem resztę niezmaconego wina. Operowali butelką ostrożnie, jak czymś cennym i kruchym. Tę sztukę obchodzenia się ze starym winem posiadała również Myra.

Ale Oliwia zaprosiła ich nie na wino, a w poważniejszym celu. To był dodatek.

– Jestem winna kochanym panom przeproszenie...

Zaprotestowali jednym głosem.

– Tak. Przed wyjazdem do Londynu udzieliliście mi dobrej rady, którą

odrzucałam po wariacku i po dziecinnemu. Uparłam się, żeby zabrać ze sobą cały mój majątek w gotówce i wyruszyć na poszukiwanie szczęścia.

– Znalazłaś je, dziecko? – zapytał Trivett.

Popatrzyła na ich poważne twarze i potrząsnęła głową.

– Powiem panom coś w zaufaniu. Na razie nie życzę sobie, żeby to się rozeszło po ludziach. Otóż – rozchodzę się z mężem.

– Na Boga! – szepnął Fenmarch.

– Tak. Wróciłam do punktu wyjścia. Dostyc mam już przygód. Jeżeli przyjmiecie z powrotem moje złoto, a dużo go ubyło, i poradzicie, co z nim zrobić, będę wam bardzo wdzięczna.

Ta kapitulacja, na którą nie od razu się zdobyła, kosztowała ją dużo dumy. Kiedyś wyśmiała ich rozsądek i obawiała się teraz ich urazy. Mogli odpowiedzieć ze źle maskowanym triumfem: – A co? Trzeba było nas słuchać. Przyjęłaby to jako karę za swoją niegrzeczną zarozumiałość. Oni jednak okazali konsternację tak szczerą, że ją ścisnęło ze wzruszenia za gardło.

– Nie pytajcie o powód. To bardzo skomplikowana sprawa i bardzo bolesna, ale nie ma nic wspólnego ze... ze zwyczajnymi skandalami rozwodowymi. Niech panowie nie przypuszczają nic takiego...

– Wobec tego – rzekł stary prawnik – można mieć nadzieję, że państwo się pogodzą. Jeżeli nie istnieje przeszkoda tego rodzaju...

– Nie – przerwała Oliwia. – To skończone raz na zawsze. Mąż postąpił tak, jak był powinien. Wyjechał za granicę, na zawsze, nie podając adresu. Nawet bym go nie mogła odszukać.

– Dziecko drogie – rzekł Trivett, czerwieniąc się jeszcze bardziej – nie chcę się wtrącać w twoje prywatne sprawy. Dostyc, że jesteś w tarapatach.

Znam cię od urodzenia, a twego ojca, najzacniejszego człowieka pod słońcem, kochałem jak brata. – Wyciągnął wielką, opaloną prawicę. – Możesz liczyć na starego Trivetta, drogie dziecko, dopóki go Abraham nie zaprosi na piwo.

– I na mnie też – zawtórował mu grobowo Fenmarch.

Kiedy odeszli, Oliwia zamyśliła się głęboko. Miała uczucie, że przez ostatnie osiemnaście miesięcy wędrowała wśród cieni i że prawdziwie realny, uszczęśliwiający byt stanowiło to tylko, co opuściła i do czego wróciła.

ROZDZIAŁ XXI

Od tego dnia „wzięła się w karby” i chcąc odpokutować swoje snobistyczne grzeszki, zaczęła bywać u dawnych przyjaciół: Trivettów, Freke’ów i innych. Wieść o jej separacji z mężem rozeszła się jakoś po Mediów, powodując najrozmaitsze komentarze. Chcąc im zapobiec, zakomunikowała Trivettom to, co uważała za prawdę:

– Mój mąż pojechał do Polski walczyć z bolszewikami.

To wywołało wrażenie, że rozeszła się z Trioną z powodu jego nieuleczalnej donkiszoterii. Godziło się ono z miejscową legendą, dotyczącą romantycznych przygód Triony i jego równie romantycznego małżeństwa z Oliwią. Miejscowy księgarz robił reklamę jego książki dla własnego interesu; to wszystko odziało Oliwię urokiem tajemnicy, z którą jej było ogromnie do twarzy. Miasteczko przyjmowało ją z otwartymi rękami.

W miarę jak upływały dni, a Triona nie dawał znaku życia, Oliwia zaczynała wierzyć w szczerłość jego ostatniego listu. Ostatecznie dokonał już czegoś w życiu poza kłamstwami. Był urodzonym poszukiwaczem przygód. Pojechał do Polski, bo tam tylko mógł znaleźć pole do działania. Oliwia cieszyła się w duszy, wyobrażając sobie, że oszust wyłoni się odrodzony z popiołów przeszłości jak feniks.

– Gdyby wrócił jako generał polski, w chwale i orderach, przyjęłaby go panienska? – zapytała raz w czasie poufnej rozmowy Myra.

Oliwia splonęła rumieńcem.

– Cieszyłabym się ze względu na niego.

– Ja nie o to pytam.

– A ja ci powiedziałam – wybuchnęła młoda kobieta – że go nie chcę znać. Skończyłam z nim raz na zawsze.

Mówiła szczerze. Nie można przebaczyć człowiekowi oszustwa. Jego jedyną zasługą było to, że się przyznał. Na odległość, jako partyzant polski był możliwy. W osobistym zetknięciu byłby odpychający. Starła się o nim nie myśleć.

Obawa przed rewelacjami prasowymi ze strony Onslowa i Wedderburna wisiała nad jej głową jak miecz Damoklesa. Publiczna hańba zaszkodziłaby i jej, chociaż niewinnej. Już słyszała w wyobraźni cyniczny śmiech i plotki znajomych Lidii. Co prawda i jej osobiści znajomi nie szczędziliby złośliwych komentarzy. Podły Londynie, już mnie nie zobaczysz! Ale hańba przyszlaby za nią do Mediów. Jakże by się nad nią litowano! Dziwiono by się, że używa fałszywego nazwiska męża. Nie miała odwagi przyznać się damom wychowanym w Landsdown House, że się nazywa... Briggs. Zwróciła się o radę do majora, który był dla niej najpewniejszą ostoją.

– Niech pani napisze do nich za pośrednictwem Rowingtona – rzekł Olifant – i poprosi, żeby nie wszczynali żadnych kroków, dopóki ich pani nie skomunikuje z mężem. Da im pani słowo honoru, że otrzymają adres, jak tylko pani go pozna.

Oliwia posłuchała tej rady i w kilka dni potem wpadła radośnie do gabinetu majora z listem Riwingtona w ręku.

– O, Boże! Odmłodziłam o dziesięć lat. Już zaczęłam się starzeć. No, już teraz nic nie wyjdzie na jaw.

Olifant patrzył na nią melancholijnie. Była zarumieniona i oczy jej błyszczały jak za panińskich czasów. Zza rozchylonych warg jaśniały białe zębki. Nie wiedziała, że była w tej chwili bardzo pociągająca.

– Nie wyjdzie – powtórzył.

Oliwia przygasała. – Chociaż nigdy nie wiadomo...

– Ufam Aleksemu – rzekł major. – To człowiek honoru.

– Takiego lojalnego przyjaciela jak pan nie było na świecie!

– O, dobrze by było! – zaprzeczył z wymownym gestem.

– Jak to? – zapytała.

– Gdybym był lojalnym przyjacielem – odparł, uśmiechając się krzywo – wyruszylibym w świat i nie wrócił, dopóki bym go nie odszukał.

Oliwia, która siedziała na krawędzi stołu, ześlizgnęła się na podłogę.

– Znienawidziłabym pana w nagrodę za taki romantyczny idiotyzm. Czy pan nie rozumie, że skończyłam z nim raz na zawsze?

– Pani Oliwio, pani jest taka młoda i ma przed sobą tyle życia, że to „na zawsze”...

– Czy pan się obawia, że zakocham się w kimś innym i że wynikną z tego tragiczne powikłania? – zaśmiała się lekceważąco. – O nie, kochany majorze! Raz się sparzyłam i będę dmuchać na zimne.

Kusił go ten temat, ale więcej nie nalegał. Znajdował się w przykrym i absurdalnym położeniu i pocieszał się tylko jej stałą obecnością w domu. Dziwił się, iż pomimo że była mężatką, nie widziała, że się w niej kochał. Darzyła go przyjaźnią, przyjmowała jego przyjaźń i to było wszystko. Z tego drażliwego punktu widzenia sytuacja przedstawiała się jak najlepiej. Gdyby jej wyznał swoją miłość, na pewno by uciekła z Mediów i, co więcej, potępiła go za zamiary, które w danych okolicznościach nie mogły uchodzić za uczciwe. Godził się więc z losem. Nie widząc celu w dalszej rozmowie na drażliwy temat, powrócił do Rowingtona.

– Rad jestem, że się to załatwiło. Odtąd będzie pani miała spokojną

głowę.

– Ale co z sobą zrobię? Nie będę tu przecież siedzieć leniwie do końca życia; nie mogę się państwu narzucać, chociaż i na szerszym świecie nie ma dla mnie pola do działania.

Nie mogąc jej udzielić żadnej praktycznej rady, rzekł zgodnie z duchem swoich tradycji:

– Kobieta taka jak pani spełnia swoje zadanie życiowe, będąc sobą.

– Ale to nie jest zajęcie.

Major uśmiechnął się. – Cóż ja pani poradzę. Chce pani studiować geologię?

Wybuchnęła śmiechem. Nie. Geologia bada skamieniałą przeszłość, a ona chce zapomnieć o przeszłości, przeszłości świata i swojej własnej. Chce żyć tylko dniem dzisiejszym i jutrem. Dzisiaj polegało na rozkosznym, lecz demoralizującym próżniactwie. Jutro było najważniejsze.

– Gdyby pan był astrologiem, zostałabym pańską uczennicą. – Nie...

Nie ma rady. Muszę coś wymyślić. Mogę ostatecznie opiekować się niemowlętami i hodować buldogi.

Major nabił fajkę jedną ręką i zapalił zapałkę o pudełko, umocowane do ciężkiej podstawki. Jakże mu chciała pomóc! Ale cóż, nie mogła. Znała jego upór. Wszak od razu przy poznaniu nie pozwolił jej pomóc sobie przy zdjęciu płaszcza. Potrzebował biedak opiekunki, nie siostry. Nie przyjaznej znajomej. Potrzebował żony, której wyrękę przyjmowałby jako coś naturalnego. W sercu Oliwii wezbrała wielka litość. Dlaczego żadna kobieta nie postarała się o miłość tego człowieka, szlachetnego, inteligentnego, lojalnego i – kobiety cenią takie rzeczy – żołnierza w każdym calu? Widocznie czegoś mu brakowało. Czegoś nieuchwytnego. Może tego magnetyzmu,

którego tyle miał w sobie kłamca i oszust – Triona. Z Olifantem mogła mieszkać pod jednym dachem sto lat i nie doświadczyć żadnego uczucia prócz przyjaźni...

Wiedziała, że się w niej kochał. Gdyby była wolna, na pewno by doczekała się jego uroczystej deklaracji. Ale tak, jak rzeczy stały, nie miała się czego obawiać. Śmiała się w duszy z biednego majora, lecz śmiech ten miał w sobie posmak goryczy. Cóż to za zakochany mężczyzna, który nie próbuje zdobyć kobiety siłą? Naturalnie i ona miałyby tu coś do powiedzenia: broniłaby się zębami i paznokciami! Oho, niechby tylko spróbował! Ale miałyby przynajmniej satysfakcję, że obudziła prawdziwą namiętność.

Pomyślała mimochodem o brutalnym Mavennie, gwałtownie romantycznym Aleksym, nawet o Bobie Quintonie...

– Nie rozumiem, jak pan mnie może lubić – rzekła, gdy skończył z fajką.

– Lubić panią?

– Jesteśmy tacy różni pod każdym względem.

Zajrzał jej w oczy i jakby się domyślił.)

– Czy pani jest nudno w Mediów? Chciałaby pani przygód?

Upokorzona, zaprotestowała impulsywnie:

– Och, nie! Tu jest taki niebiański spokój. Niczego mi więcej nie potrzeba.

I wmówiła w siebie, że jest zadowolona.

Przyszła wiosna. W ogrodzie za domem zakwitł bez i laburnum, a buki okryły się delikatną zielenią. Oliwia siedziała w słońcu z książką na kolanach, ale nie czytała. Wspominała czarodziejską wycieczkę do

Richmond Park. Oczy miała we łzach. Zażęskniła do Aleksego, takiego, jaki był wtedy. Gdzie go teraz losy nosiły? Po Polsce?

Z oszklonych drzwi gabinetu wyszedł do ogrodu major z listem w ręku. Twarz miał poważną. Oliwia wstała.

– Nie wiem, czy powinienem pani pokazać ten list, ale może później nie przebaczyłaby mi pani, gdybym go ukrył.

Wydała zdławiony okrzyk: – Aleksy?

– Tak.

Pochwyciła list tak skwapliwie, że majora zakłuło w sercu. Musiała jeszcze kochać tamtego.

– Nie ma żadnej konkretnej wiadomości.

Nie usłyszała. Czytała.

List był wysłany z Warszawy i brzmiał tak:

Szanowny Panie!

Mój przyjaciel Jan Briggs polecił mi, abym, w razie gdyby go coś spotkało, dał znać Panu. Otóż musiało go coś spotkać, gdyż nie wypełnił zobowiązania, którego się podjął z entuzjazmem i dobrą wiarą. Miał przyjechać w oznaczony dzień do Warszawy, żeby tu wstąpić do armii polskiej. Był zaopatrzony w bilet, paszport i listy polecające do Warszawy i Pragi, ale nie zjawił się ani tu, ani tam i nie przysłał mi żadnego usprawiedliwienia. Przypuszczenie, że mógł w ostatniej chwili zmienić zamiar, jest nie do pomyślenia. Co do tego nie mam żadnych wątpliwości.

List ten ma zatem podwójny cel: poinformować Pana o tych faktach i poprosić w zamian o ewentualne wieści o człowieku, którego kocham i szanuję.

Z poważaniem Paweł Bronowski

Oliwia zbladła i oddała majorowi list drżącą ręką.

– Musiał go spotkać jakiś wypadek – zauważył Olifant.

– To, co zawsze – odpowiedziała z goryczą. – Mówi jedno, a robi drugie. Jedno kłamstwo więcej.

– Jechał do Polski.

– Ale nie pojechał.

– Skąd pani może wiedzieć?

– O nim można wiedzieć na pewno tylko to, że zawsze kłamie. Może pan przypuszcza, że zginął w wypadku kolejowym w drodze do Pragi? – zaśmiała się pogardliwie. – Pan jest za dobry na ziemskie stosunki. Gdyby pan przyłapał złodzieja z ręką w pańskiej kieszeni, który by panu powiedział, że chciał zobaczyć, która godzina na pańskim zegarku, toby mu pan uwierzył. Ja mam doświadczenie. Mąż lubi się wybierać w fikcyjne podróże. Pamięta pan wyprawę do Finlandii?

– Więc, pani zdaniem, gdzie on teraz może być?

– Nie wiem. W każdym razie nie w Polsce. Na pewno tam nie pojechał.

– Mógł panią wprowadzić w błąd – upierał się major – ale w jakim celu zwodziłby tego, jak się zdaje, sympatycznego Polaka?

– Bo on wszystkich zwodzi – westchnęła. – Czy pan nie rozumie? On stale gra komedię. Nie potrafi być szczery. Domyślam się, jak to było. Udał się do tego Bronowskiego, widocznie znajomego z Rosji, z myślą, żeby zatrzeć przede mną ślad. Polska jest romantycznym krajem i leży strasznie daleko. Aleksy nie potrafi nic robić prosto. Nie poprzestając na pseudoeuropejskiej podróży do Polski, musiał jeszcze udać bohatera,

gotowego walczyć o wolność obcego narodu. Napisawszy do mnie list, zrzucił kołpak bojowy i pojechał do Pernambuco czy do Haverstock Hill.

– Mnie się zdaje, że pani jest niesprawiedliwa.

– A pan naiwny – odparła gniewnie i, odwróciwszy się, pobiegła do domu.

Poszła do swego pokoju, dawnego pokoju matki, i zadzwoniła na Myrę.

– Słuchaj, Myro, już tak dużo wiesz, że powiem ci wszystko. Właśnie dowiedziałam się, że mój mąż nie pojechał do Polski.

– Tak? – zdziwiła się obojętnie służąca. – A gdzie jest? Panienka nie wie?

– Nie wiem i nie chcę wiedzieć.

– Rozumiem.

– Wolalabym, żeby cię to trochę obeszło.

– Po co? Jeżeli panienka nie chce go widzieć, to mnie co do niego? Może panienka w strachu, że on wróci?

Na te słowa Oliwię ogarnęła trwoga. Dotychczas nie przewidywała takiej ewentualności. Ale jeżeli udał tylko, że pojedzie do Polski, to mógł nie dotrzymać słowa i co do prywatnego postanowienia, że uwalniają od siebie raz na zawsze. Nie pomyliła się w ocenie jego charakteru. Czyż nie mógł się zjawić znowu z jakąś nową bohaterską błagą? A zjawienie się jego byłoby równoznaczne z publiczną hańbą, bo przecież dała słowo Rowingtonowi, że...

Pochwyciła Myrę za rękę.

– Myślisz, że on wróci?

– Panienka się boi?

– Tak. Jestem w okropnym strachu.

– Mnie się zdaje, że nie ma się czego bać – zaopiniowała służąca.

Oliwia cofnęła się gniewnie.

– Bierzesz jego stronę tak samo, jak pan major. Nie rozumiesz. I on nie rozumie. Czy nie zdajesz sobie sprawy, jakie by to było potworne?

– Widziałam w życiu dużo potworności – odparła spokojnie Myra. – Ale tej nie zobaczę. On przepadł na dobre, kochaneczko. Jestem tego pewna.

– Oby tak było!

Czas było pomyśleć o lunchu. Myra wyszła i wróciła z czajnikiem gorącej wody.

– Dopóki ja jestem koło panienki, panienka nie ma się co bać jego powrotu.

Oliwia odpowiedziała śmiechem. Myra strzegła jej jak smok czarodziejskiej księżniczki.

W kilka dni później przyszła do „panienki” z prośbą.

– Chciałabym się zwolnić na kilka dni. Miałam list.

– Czy się coś stało? – zapytała Oliwia, mając na myśli jej obłąkanego męża.

– Nie wiem. Puści mnie panienka?

– Ależ naturalnie.

Myra spakowała trochę rzeczy do zniszczonej walizki i znikła. Na drugi dzień zgłosiła się do pewnego szpitala w Londynie.

ROZDZIAŁ XXII

Upłynęło sporo dni, nim Triona odzyskał przytomność. Wreszcie wydarł się z krainy nicości i majaczeń i zobaczył, że leży w wąskiej przegródce, a nad sobą ma daleki sufit. Był tak skrępowany, że nie mógł ruszyć ani ręką, ani nogą. Pamiętał, że wpadł pod samochód ciężarowy i wywnioskował stąd, że musi się znajdować w zaświatach. Oczywiście doznał zawodu. Inaczej to sobie wyobrażał. Dopiero, kiedy zza parawanu wyłoniła się pielęgniarka poznał, że żyje na dawnym świecie, i odetchnął z ulgą.

Po trochu dowiedział się wszystkiego: że był nieprzytomny przez kilka tygodni, że miał złamane udo i pogruchotane żebra; że tracono już nadzieję utrzymania go przy życiu i że jeszcze dużo brakuje do zdecydowanej poprawy. Musiał być bardzo posłuszny siostrze i lekarzom. Początkowo zadowolili się tym, lecz kiedy jego mózg odzyskał pełnię władzy, wspomnienia wezbrały z całą siłą.

– Jak siostra myśli, kiedy będę mógł wyruszyć do Polski?

– Może za pół roku – odpowiedziała łagodnie. Jęknął. – Ja chcę zaraz.

– Po co?

– Chciałbym wstąpić do polskiej armii.

Siostra, która pracowała w czasie wojny w Czerwonym Krzyżu, wiedziała, że Triona nie był już zdolny do służby czynnej. Powiedziała mu to tak oględnie, jak tylko mogła. Popatrzył na nią pustym wzrokiem.

– Co będzie, jak wyjdę ze szpitala?

– O, przepisemy panu długi, bardzo długi wypoczynek fizyczny i

umysłowy.

Zdobył się z wysiłkiem na uprzejmy uśmiech.

– Po co mnie przywróciliście do życia?

Oddano mu wypchany portfel i kazano policzyć pieniądze. Wręczył je siostrze, śmiejąc się. W jej rękach były bezpieczne. Paszport z wizami, bilet kolejowy i listy polecające do Pragi i Warszawy przejęły go dreszczem. Już nie mógł marzyć o wyjeździe do Polski. Nim opuści szpital, będzie już po wojnie, a zresztą groziło mu kalectwo. Chciał przeczytać listy, ale słaba znajomość polskiego okazała się niedostateczna. Podpisy były nieczytelne, lecz nie pochodziły od ręki Bronowskiego. Zmęczony jałowym dociekaniem, podarł listy i kazał wyrzucić. Po co miał je trzymać.

Znużenie sprowadziło sen. Obudził się z uczuciem, że nie dopełnił czegoś ważnego. Naturalnie! Przecież powinien dać znać Bronowskiemu – usprawiedliwić się i przeprosić.

Nagle ogarnęło go przerażenie. Nie miał adresu Bronowskiego, a listy polecające do Pragi i Warszawy zniszczył. Ale poszedł po rozum do głowy i zażądał czegoś do pisania. Siostra odmówiła, tłumacząc, że jest za słaby, żeby pisać, że może jej co najwyżej podyktować. Podyktował więc dwa identyczne listy, jeden do poselstwa polskiego, drugi do konsulatu, z prośbą o adres pana Bronowskiego, który mieszkał ostatnio na 21 Hillditch Street, St. Pancras. Obydwa urzędy odpowiedziały grzecznie, że o żadnym Bronowskim nie wiedzą. Triona przypomniał sobie podpis na listach i zaśmiał się gorzko. Fałszywe nazwiska stawały się przekleństwem jego życia.

Jeżeli kiedyś włożył w coś serce, to w tę sprawę, a tu Bronowski mógł go posądzić o oszustwo, tak jak wszyscy. Zapłakał łzami słabości i rozpaczony i tak go zastała siostra.

– Miałem jednego przyjaciela na świecie...

– Umarł?

– Nie. Przepadł. – *i Podał jej list.

– Niech pan się uspokoi, jest jeszcze ktoś, kto się o pana troszczy.

Kobieta. Napisałam do niej, że pan już jest rekonwalescentem.

– Do niej? – przeraził się. – Do kogo?

– Do panny Myry Stebbings.

– Boże! – szepnął i zemdlał.

Siostra, która go chciała pocieszyć, przeraziła się nie na żarty. Nastąpiło parodniowe pogorszenie, gorączka, majaczenia. Wzywał Oliwię. Plół trzy po trzy. Kiedy odzyskał przytomność, znalazł się twarz w twarz z jeszcze gorszą rzeczywistością. Dowiedział się, że Myra zachodzi do szpitala codziennie, ale że go jeszcze nie widziała, że każą jej czekać na polepszenie jego stanu; że była zaraz pierwszego dnia po wypadku, o którym dowiedziała się z gazety. Na Boga! Więc Oliwia musi wiedzieć, a traktuje go tak, jakby już nie żył! To było nie do zniesienia!

Zapytał, czy Myra nie kazała mu czegoś powiedzieć. Odpowiedziano przecząco. Ale miała przyjść następnego dnia.

– Na Boga, nie puszczajcie jej do mnie! – zawołał.

Potem rozmyślił się i odwołał swoją prośbę. Niech tam! Dowie się o nieubłaganej nienawiści Oliwii i przyjmie to jako karę za grzechy. Wiedział, że zasłużył na karę, lecz ta straszliwa odraza z jej strony nie mogła mu się pomieścić w głowie. Pozwolić człowiekowi zdechnąć jak psu, choćby był psem, bez słowa współczucia... Nie!

– Inna pani nie przychodziła? Nie było żadnego listu?

– Niech pan leży spokojnie, bo znowu się panu pogorszy.

– Żeby się pogorszyło, na amen!

W dużym szpitalu siostry nie mogą poświęcać pacjentom wiele czasu. Pielęgnują ciała; duszom rzucą najwyżej od czasu do czasu słowo banalnej pociechy. Triona spędził resztę dnia, patrząc w daleki sufit. O tym, jakie cierpienia kryły się na sali za parawanem, nie pomyślał.

Z blasku słońca na ścianie wywnioskował, że musiało już być lato. Na dworze musiały kwitnąć bujnie kwiaty i ludzkie szczęście, musiały śpiewać ptaki, szumieć drzewa, bogate w zieleń. Niegdyś jego serce pulsowało do wtóru z naturą. Boże, jak on kochał naturę i ludzi! Jak się wzruszał każdym listkiem, każdym kwiatkiem, falowaniem wody, piaszczystymi rozłogami, chłopskimi końmi, wiejskimi dziećmi, życiem wielkich miast i ciszą pustkowi, spracowanymi rękami robotników i kobiecością kobiet, czy to była płowowłosa, bosa gęsiarka w rosyjskiej wiosce, czy cud nad cudami – Oliwia.

Jego marzenia wracały zawsze do Oliwii. Ona była ośrodkiem jego tęsknot. Ona wcielała w siebie szum wszystkich drzew świata, szmer wszystkich wód, czar jutrzeńki, życie miast, piękno lasów i ciszę mroźnych stepów. Przez nią objawiał się czar wszechświata. I teraz słoneczna plama na ścianie zdawała się mówić:

– Ona żyje i ja żyję odbiciem jej chwały, ale dopóki nie umrzesz, będę się ukazywać tylko jako szydercze lśnienie. Nie ujrzysz mnie już ani na dalekich morzach, ani na szlakach radosnych wędrówek, ani wśród murów miast, bo sens wszechświata – Oliwia – znikła z mego życia na zawsze.

Zaklął i odwrócił głowę. Cały nie mógł się odwrócić, gdyż nie władał sobą. Był unieruchomiony w gipsie.

Na drugi dzień zjawiała się Myra. Był przygotowany na jej wizytę.

Usiadła obok łóżka na krześle trzciniowym i gdy siostra odeszła, rzekła:

– Cieszę się, że panu lepiej.

– Czy Myra przynosi mi jaką wieść od pani? Popatrzyła na niego dłuższą chwilę.

– Pan chyba nie myśli, że pani wie, gdzie pan jest? Nim zrozumiał treść tych słów, upłynęło kilka sekund.

– Czy myśli, że jestem w Polsce?

– Nie wie, że pan jest w szpitalu. Nie wie, co się z panem stało.

– I pewnie wszystko jej jedno?

. – Wszystko jedno – potwierdziła Myra.

Triona przyjął wyrok w milczeniu, po czym zapytał:

– Nie powiedziała Myra pani o moim wypadku?

– Nie. Pan sam nie dał jej znać.

Logika służącej była nieodparta. Tylko, że po takich kobietach nikt się nie spodziewa logiki. Zasłonił ręką oczy i milczał dłuższą chwilę. Myra siedziała spokojnie, z twarzą jak maska. Nie rozumiał jej pobudek. Na razie nie próbował nawet w nie wniknąć. Ważne było tylko to, że Oliwia nie wiedziała. Skrzywdził ją niesłusznym posądzeniem o nieludzkie okrucieństwo. Mogła nie chcieć go znać, ale przecież wiedział, że nie była zdolna do niskich czynów.

Odsłonił oczy.

– Jeszcze miewam zawroty głowy – rzekł tonem usprawiedliwienia.

– Wierzę panu.

– Nie rozumiem, po co mnie Myra nachodzi?

– I ja nie rozumiem – odpowiedziała po swojemu. – Gdyby pan umarł, nie martwiłabym się, ze względu na panienkę. Teraz cieszę się, że pan się

wyliże ze względu na pana.

– Dziękuję – rzekł ironicznie i po chwili zapytał: – Jak się pani miewa?

– Zdrowa, proszę pana.

– A szczęśliwa?

– Przepraszam pana – odparła sztywno służąca – nie przyszedłam tu odpowiadać na pytania i nie dam się użyć za pośredniczkę.

– Nie miałem tego zamiaru.

– Ale mógł pan mieć, więc ostrzegam. Jeżeli co zrobię, to tylko tyle, żeby pana nie dopuścić do panienki.

– To dlaczego się Myra o mnie troszczy?

– Dlatego, że Chrystus kazał smutnych pocieszyć, a ja jestem chrześcijanką.

Nie rozumieli się. Nagle Triona zapytał z dawnym ogniem: – Czy przysięgnie Myra, że nigdy nie powie pani o mnie? W wyblakłych oczach kobiety zamigotał słaby błysk.

– Mogę przysiąc, czemu nie? Ale czy pan zrozumiał wszystko, co mówiłam?

– Niech Myra posłucha, idzie tylko o to, żebyśmy sobie ufali.

– Mnie może pan zaufać.

Rozmawiali jeszcze chwilę. Przyszła siostra i widząc, że pacjent goni resztkami sił, zakazała dalszej rozmowy. Myra przyszła na drugi dzień i na trzeci i Triona zaczął tęsknić za jej widokiem. Wyczuł w niej, obok zazdrości o Oliwię, jakąś dziwną sympatię do siebie. Troszczyła się o niego w ściśle określonych granicach, interesowała jego najbliższą przyszłością. Co będzie robił po wyjściu ze szpitala? Nie wiedział. Rozpaczał z powodu swego niedołęstwa. Samochód ciężarowy rozbił jego nadzieje. Opowiedział o

Bronowskim. Myra kiwnęła głową. Wierna swej roli, nie wspomniała o liście Bronowskiego do majora Olifanta. Swoista etyka, wyrosła na grunie trosk i konfliktów duchowych, nakazywała jej trzymanie niedobranej pary z dala od siebie.

– Zabawne – rzekł Triona – że teraz mam na świecie tylko jedną Myrę.

Zignorowała to oświadczenie i wybiegając myślą w przyszłość, odparła:

– Może to panu wyjdzie na dobre.

Uśmiechnął się melancholijnie: – Jak to?

Czekał na odpowiedź dłuższą chwilę. Chora wyobraźnia zaczęła dopatrywać się w tej kobiecie o tępych oczach, bladej twarzy i cienkich, zaciśniętych ustach, kogoś w rodzaju czarownicy. Patrzył na nią jak zahipnotyzowany. Do jej tajemniczego uroku przyczyniał się dziwny fakt, że była jedynym ogniwem, łączącym go i ze światem, i z Oliwią. Żywił dla niej cześć, podszytą przesadnym strachem, nie zapominając jednocześnie, że tak niedawno korzystał z jej usług jako pokojówki. Była w tym ironia losu.

– Co pan zamierza zrobić po wyjściu stąd? – zapytała, a on domyślił się, że pyta go w jakimś celu.

– Dopóki nie nabiorę sił do czynnego życia, będę się ukrywał.

– Gdzie?

– Nie wiem. Jeszcze się nie zastanowiłem. Poszukam jakiegoś pustkowia.

– W najgorszym razie... dałabym panu adres moich znajomych. Może pan będzie musiał chodzić o kulach do końca życia i będzie kwękał i potrzebował stałej opieki. Nie zostawię pana na łasce losu. Pan sam by się do mnie nie zwrócił?

– Na pewno nie.

– Tak mi się zdawało. Dam panu adres. – Napisała na kartce.

– Może pan z niego skorzystać. To wszystko, co mogę dla pana zrobić.

Niech pan zostanie z Bogiem.

Wstała szybko, wyszła i udała się na dworzec.

– Niedługo odpoczywałaś, Myro – powitała ją Oliwia.

– Nie mówiłam, że jadę na wypoczynek.

– Załatwiłaś wszystko pomyślnie?

– O, tak, panienko!

Triona nudził się podczas długiej rekonwalescencji. Myra już nie przyszła. Innych gości nie miał. Zaznajomił się z kilku towarzyszami szpitalnej niedoli, byłymi żołnierzami, z którymi omawiał wspomnienia z wojny.

Na sąsiednim łóżku – parawan usunięto – leżał marynarz. Opowiadał o łodziach podwodnych, burzach i minach. Triona przywiązał się do niego całym sercem. Obaj żalowali dawnych czasów. Marynarz miał obecnie zajęcie w magistracie: wywoził śmieci z miasta. Płacono mu dobrze, ale cóż to było za życie dla człowieka przyzwyczajonego do szerokich, morskich horyzontów? Gdyby nie to, że nieszczęśliwy wypadek z kolanem pozbawił go władzy w nodze, nie wystąpiłby z marynarki za nic w świecie. Minęły dobre czasy! Naturalnie, narzekało się i wtedy, ale przeważnie nie było na to czasu. Teraz miał co prawda zajęcie na otwartym powietrzu, ale słony zapach morza to nie to, co wylizanie śmietników. W lecie trudno wytrzymać. Pod pokładem nie pachniało jak u fryzjera, ale w każdej chwili można było wyjść na pokład i napełnić płuca czystym morskim powietrzem. Jedzenie było wspaniałe, apetyt wilczy. Nie traciło się go nawet wśród niebezpieczeństw. Nie to, co teraz. Teraz wszystko ma smak surowych kartofli.

– Tak – potwierdził Triona. – Nawet powojenne życie ma smak

surowych kartofli.

Śmieciarz kiwnął głową. Za czasów wojny człowiek nie martwił się o nic. Był szczęśliwy od rana do wieczora. Teraz co? Żona, dwoje dzieci... ciągle troski, a jeżeli trafi się jaka radość, to jak na lekarstwo. Jak nie żona chora, to syn, jak nie syn, to małe; a jak nie oni, to on, głowa rodziny. Właściwie przechodził operację ślepej kiszki. Czy kto słyszał, żeby marynarz w służbie czynnej był operowany na ślepą kishkę? Nie, te wszystkie plagi, to błogosławieństwa pokoju. A co będzie, jak dzieci dorosną? Skąd weźmie dla nich na buty, na ubrania, szkołę? On sam musi poprzestać na piwie i to jakim? Od kiedy nie miał w ustach kropli rumu! Czy jest coś lepszego od rumu? Śni mu się czasami pełna manierka, lecz budzi się, nim zdąży ją przytknąć do ust. Żeby to można przedłużać sny według chęci. Za służby w marynarce nie potrzebował śnić o rumie. Zgniły pokój. Nie masz to jak wojna!

Raz zjawiała się żona śmieciarza, chuda blondynka o wąskich ustach, z bladym niemowlęcim w ramionach, w wygryzionym przez mole futrzanym kołnierzu na szyi, pomimo upału. Usłyszawszy jej kłótlive biadania, Triona poczuł do marynarza sympatię bez zastrzeżeń.

– I przecież daję sobie radę w cywilu. Ciekaw jestem, ilu z moich dawnych kolegów zarabia tyle, co ja. Powinna być ze mnie dumna. A ona co? – Słyszał pan.

Triona słyszał. Sekutnica wymawiała mężowi chamskie zajęcie. Była córką sklepikarza z Dunkierki, gdzie się poznali za czasów wojny i uważała teraz, że popełniła mezalians. Jak marynarz mógł zostać śmieciarzem? Błazen, komediant; powinien grać w kinie. Zrobiłby karierę.

– Pan żonaty?

– Już nie – odpowiedział Triona.

– Przeszedł pan przez to. Kobieta! Kobieta nigdy nie wie, kiedy jej dobrze. Boże! Czemu minęły wspaniałe czasy życia na morzu? Nie myślało się o kobietach i było dobrze. Ostatni mój okręt nazywał się „Barrakuda”. Służyłem na nim dziesięć miesięcy. „Barrakuda”, „Annie Sandys”, „Koń morski... „

Wymienił całą swoją eskadrę. Przyływ wspomnień przysłonił zmore domowych trosk.

– A pan, na którym służył? Zapomniałem...

– Na „Vestris”.

– Pamiętam. Zatonął od torpedy. Ale czy nawet to nie było lepsze od dzisiejszego piekła?

Triona przyznał mu rację. Gadali o morzu, gadali, aż nostalgia za szerokimi horyzontami ścisnęła go wewnątrz jak dotkliwy głód.

– Co pan zamierza robić po wyjściu ze szpitala? – zapytał śmieciarz.

– Może to samo, co pan. Co może robić kulawy kaleka?

Śmieciarz westchnął. – Pan przecież inteligent.

Początkowo, sądząc po wyrażeniach i sposobie bycia, wziął Trionę za oficera. Dopiero papiery Johna Briggsa szeregowca, marynarza, przekonały go o niskiej randze towarzysza. Chociaż na „Barrakudach” służył palacz z uniwersyteckim wykształceniem. I ten mógł być takim wykolejeńcem.

– Uciekłem na morze jako mały chłopak – rzekł Triona.

To samo zrobił śmieciarz. Zaczął się zwierzać. Nazywał się John Bunnings, służył na statkach najrozmaitszych typów i zjeździł wszystkie morza świata. Na naukę nie starczyło czasu.

– Skąd u pana tyle nauki? Z książek? – potrząsnął głową. – W pierwszej

podróży wyleczyli mnie z książek. Znalazłem gdzieś podręcznik ogrodniczy. Oficer przyłapał mnie na czytaniu i skopał jak nieboskie stworzenie. Bo akurat powinienem był zmywać w kuchni...

Triona przypomniał sobie niemal identyczny wypadek ze swoich młodych lat. Miał dużo wspólnego z Johnem Bunningsem. Zaczęli jednakowo. Służyli na morzu w jednakowych warunkach. I teraz los ich znów zrównał. Obaj leżeli w szpitalu. Burzliwe przygody należały do przeszłości. Przyszłość przedstawiała się smutno. Obaj się jej lękali. John Bunnings, skazany do końca życia na wywożenie śmieci i „pańskie” fochy żony – sekutnicy. On, Triona – niepewny niczego i odepchnięty przez żonę, która go znienawidziła. Z drugiej strony dzieliła ich przepaść różnic. On dźwignął się na wyżyny kultury, podczas gdy Bunnings pozostał ciemnym ignorantem. Ale Bunnings był uczciwy. Gdyby usłyszał jego dzieje, potępiłby go tak samo, jak jego siostra w dzień pogrzebu matki. Toteż, gdy śmieciarz westchnął i rzekł: – Ba, żebym to ja miał tyle nauki, co pan!

Triona odpowiedział z goryczą: – Nie ma pan czego żałować.

Po trzech tygodniach Bunnings opuścił szpital i Triona poczuł się znów straszliwie samotny. Łóżko śmieciarza zajął jakiś starszy człowiek, ciężko chory, którego odgradzano od reszty sali śmiertelnym parawanem. W tydzień później umarł. Triona, szukając lekarstwa na zdenerwowanie, zaczął korespondować z Bunningsem. Obudził się w nim instynkt pisarski, potrzeba wypowiedania się. Listy te, pełne atmosfery szpitalnej, niezwykle żywych sylwetek lekarzy, sióstr, pielęgniarek i pacjentów i obrazowych dygresji w burzliwą przeszłość, zapewniłyby mu, gdyby je posłał swoim wydawcom, roczne utrzymanie. Z każdego zdania biło blaskiem genialnej wyobraźni.

Bunnings odwiedzał go w wolnych chwilach. Odpowiadał na listy wizytami, tłumacząc się, że nie ma ręki do pióra. Raz zjawił się z radosną twarzą, wróżącą dobrą nowinę. Na wstępie oznajmił, że oboje z żoną chodzą do kościółka, co ich ogromnie łączy, i że wskutek tego jest w przyjacielskich stosunkach z wikarym od św. Szymona. Że... jednym słowem pokazał wikaremu listy.

– Czy kolega uwierzy? – ostatnio przeszedł na koleżeńską stopę.

– On chce je wydrukować w naszym piśmie parafialnym. Wydrukować!

Trzepnął się po udzie. Triona popatrzył na jego przysadzistą postać i bladą, gładko wygoloną, pocziwą twarz, ocienioną czarną, kędzierzawą czupryną, spadającą na same oczy i roześmiał się głośno po raz pierwszy od wielu tygodni.

– Z czego się kolega śmieje? – zdziwił się śmieciarz.

– Bo to takie... komiczne.

– I mnie się chciało śmiać.

– Ale i wielki zaszczyt – dodał Triona, opamiętawszy się.

– Ma się rozumieć. Tylko mówi, że bez pozwolenia kolegi nie mógłby wydrukować.

Triona udzielił pozwolenia pod warunkiem, że pismo nie poda jego nazwiska, tłumacząc to zastrzeżenie skromnością. Bunnings odszedł uradowany. W parę dni później poczta przyniosła dziękczynny list od wikarego. Pisał, że odkrył w korespondencji pana Briggsa ogromny talent literacki, którego nie trzeba zaniedbywać. On będzie służył wszelką pomocą. Triona śmiał się długo, ponuro, ironicznie.

Ale nagle uderzył go tragiczny podtekst tego incydentu. Aleksy Triona umarł, a z nim jego kariera literacka. Jednakże impuls pisarski ostał się w

całej mocy i wyładował gwałtownie w niedbałych, dorywczych listach do przygodnego znajomego. Fakt, że wikary domyślił się wielkiego talentu, był znakiem i ostrzeżeniem. Płody pióra dawnego Triony, nawet anonimowo wydane, zdradziłyby jego tożsamość. To właśnie oryginalny styl zdecydował o jego powodzeniu. Nie mógł ukryć, pisząc, ani obrazowości, ani rozmachu swego pióra; unikając świadomie poetyczności, pisałby jałowe nudziarstwa, których by nikt nie czytał. A niechby się zapomniał na jedną stronicę, od razu by się zdradził. I znów by zajaśniał w świecie Oliwii i każdy jego twór literacki tańczyłby przed jej wyobraźnią jak okropne przypomnienie jego istnienia.

Przypomniawszy sobie pierwszą rozmowę z nią, i radę, aby nigdy nie traciła wiary w swój błędny ogień. O, ironio! Ale może by jednak spróbować! Walczył z pokusą. Rekonwalescencja postępowała. A w młodym mózgu rodziły się wspaniałe obrazy, układające się niemal automatycznie w skończone dzieło. Trochę skupienia, niemożliwego, wśród gwaru szpitalnej sali i powstałoby arcydzieło. Znalazłby wydawcę. Nic łatwiejszego. Nie podałby żadnego nazwiska, tylko ze względów formalnych podpisałby się pseudonimem. Oczarowani czytelnicy powiedzieliby: „Tylko jeden Triona potrafi tak pisać, jak ten”. W Oliwii serce by się poruszyło do głębi, odszukałaby go i uwierzyła w jego duchową tożsamość i niezmienną miłość.

Ale egzaltacja ustąpiła prędko miejsca szarej codzienności. Przyszła pielęgniarka i umyła go jak dziecko. Druga opowiadała mu o jakiejś rewii kabaretowej i sentymentalnej powieści, przeczytanej w rzadkich chwilach, wolnych od ciężkich dyżurów. Nie było się co łudzić. Oliwia nie wzruszyłaby się już jego talentem. Myra postawiła sprawę jasno i brutalnie, Oliwii nie

mogło przekonać żadne arcydzieło. Rozumiała już, że błędne ogniki prowadzą na moczary. Gdyby znów wstąpił w jej życie, byłaby zrozpaczona. Posądziłaby go o jakąś nową komedię. Równie dobrze mógł napisać do niej od razu, że leży w szpitalu.

Po pewnym czasie przeniósł się z łóżka na wózek, a potem na kule. Ale złamana noga skróciła się tak, że był skazany na utykanie. Żebra zrosły się co prawda, ale wewnętrzne obrażenia miały mu się dawać we znaki do końca życia. Wędrówki po szerokim świecie skończyły się raz na zawsze.

– Jestem urodzonym włóczęgą – rzekł do chirurga, w odpowiedzi na ostateczny wyrok. – Co mam zrobić, gdy napadnie mnie pragnienie włóczęgi?

– Zażyje pan bromu i obłoży głowę pijawkami.

Uśmiechnął się do dobrej, pogodnej twarzy lekarza i po chwili milczenia zapytał: – Ale będę mógł prowadzić auto?

– Bezpieczniej będzie jeździć końmi. Mniejszy wysiłek.

– Więc jestem do niczego?

– Tego nie powiedziałem. Lekka praca – owszem. Jakies zajęcie biurowe. Przy odpowiednim trybie może pan żyć do pięćdziesięciu lat. Pracę powinno być panu łatwo znaleźć. Przy takim wykształceniu... O ile pamiętam, wybierał się pan do Polski. Jaki jest pański zawód?

– Przed wojną byłem szoferem.

– A potem?

– Potem – idiotą.

Lekarz więcej nie pytał.

ROZDZIAŁ XXIII

Fanstead, niewielkie miasteczko prowincjonalne, wyglądało z lotu ptaka jak śledek ubogi w ości. Od centralnej High Street, zabudowanej starymi, na poły drewnianymi domkami i nowoczesnymi, ceglanyimi budynkami rozchodzą się prostopadle na boki ulice i uliczki, kończące się wśród pól i żywopłotów. Tylko dwie ciągną się daleko. Jedna prowadzi do odległej stacji kolejowej, a druga, zabudowana willami, do wioski Pendish, za którą zaczyna się już szczyra wieś, pocięta szachownicą łąk, łąnów i lasków.

Pendish jest tak małe, że nie ma kościoła, tylko kapliczkę baptystów. Chępli się starą oberżą „Pod Biczem i Chomątem” i królującą wśród chat, krytych strzechą, piętrową, czerwoną, ceglana willą, w której mieści się komenda policji, poczta i sklepik z papeterią, słodyczami i tytoniem. Willa zachowała coś z dawnej godności, kiedy służyła za rezydencję prywatną. Obecnie miała na niej dożywocie pięćdziesięcioletnia wdowa, Pettiland, córka poszywacza strzech z Norfolk. Temu ostatniemu powodziło się w dziedzicznym zawodzie tak dobrze, że dołożywszy do swych oszczędności posążek żony, kupił murowany dom, w którym zakończył życie. Opowiadano, że dobiła go rozpacz z powodu losu syna, jego ucznia, a później współnika, który w dwa tygodnie po ślubie dostał pomieszania zmysłów i został zamknięty w domu dla obłąkanych.

Stary umarł, żona poszła za nim, syn pędził nędzne życie pod kluczem. Pettilandowa wegetowała samotnie; z całej rodziny zostali jej jedynie krewni męża z Fanstead. Sprzedawała znaczki i karmelki i czasami wynajmowała

swój najlepszy pokój jakiemuś malarzowi, ale tylko za bezwzględnie pewną rekomendacją.

* * *

Była urodziwa, miała ciemne oczy i świeżą twarz, nosiła staroświeckie gorsety i grała w Pendish rolę pierwszej osoby.

Otrzymawszy list od bratowej, Myry Stebbings, że może zgłosi się do niej na lokatora młody człowiek nazwiskiem Briggs, który leczy się na razie po wypadku samochodowym, uznała to nie za polecenie, lecz za rozkaz. Sama nie wiedziała, czy kochała Myrę, czy nie. W każdym razie żywiła dla niej bezgraniczny szacunek za jej coroczne wizyty u nieszczęśliwego męża. Dom dla obłąkanych leżał w odległości sześciu mil od Pendish i Myra nocowała zawsze u bratowej. Wdowa bała się jej trochę. Sama żyła z mężem niedługo. Smutne to było, ale nieludzkie. Bóg dał, Bóg wziął. Gorzej było mieć męża wariata. Z braku wykształcenia nie mogła wyrazić słowami wrażenia, jakie robiła na niej nieugiętość Myry. Człowiek inteligentny określiłby to jako walkę ludzkiej duszy z tragedią istnienia.

W odpowiedzi na list Briggsa z Londynu, przesłała mu serdeczne zaproszenie. Z polecenia Myry Stebbings – naturalnie, niech przyjeżdża! Policzy mu jak najtaniej. Nie wiedziała, kto by to mógł być. Myra, jak zwykle zagadkowa, nie udzieliła żadnych wyjaśnień. Z drugiej strony musiało jej ogromnie zależeć na tym młodym człowieku, jeżeli go tak polecała. Pierwszy raz o coś poprosiła. Mocno zaciekawiona wdowa oczekiwała na gościa z niecierpliwością.

Przyjechał w letnie popołudnie starym autem z Fanstead. Był ubrany w płaszcz koloru khaki i miał bagaż, składający się płóciennej torby i walizki.

Wdowa stała w drzwiach pod szyldem. Spojrzał na nią i uniósł kapelusz.

– Czy pani Pettiland?

Popatrzyła na jego regularną twarz, młodzieńczą, pomimo bladości i zmizerowania, na niedbale szesaną czuprynę, na uśmiechnięte usta, wysmukłą postać. Głos, gest dały jej poznać, że ma przed sobą dżentelmena. Oczarowana z miejsca, odpowiedziała:

– Pan Briggs?

– Mam nadzieję, że nie sprawię pani wielkiego kłopotu. Potrzebuję wypoczynku i panna Stebbings skierowała mnie do pani. Przekonałem się niejednokrotnie, że można jej ufać.

– Widzę, że pan ją dobrze zna – rzekła uprzejmie Pettilandowa.

Gość odprawił taksówkę i wszedł do przeznaczonego dla siebie pokoju.

Było to duże pomieszczenie z widokiem na opuszczony ogród i faliste wzgórza, przeplecione białą wstęgą szosy. Wdowa zakomunikowała mu, że będzie mógł jadać w bawialni na dole bez dodatkowej opłaty.

– Nie – zaprotestował. – Zostanę tu pod warunkiem, że się pani mój pobyt opłaci. Na razie nie mam czym płacić.

Podawała skromne warunki, na które przystał, i zaczęło się nowe życie.

Przez kilka pierwszych dni delectował się ciszą wsi. Przywiózł z sobą zapas książek: trochę rozwlekłych współczesnych powieści francuskich, komplet Fieldinga i Smolletta, „Raj utracony” i „Czarodziejską królową”, których jeszcze nie czytał. Spędzał całe godziny w zapuszczonym ogrodzie, na słońcu, wśród gęstwiny kwiatów. Często przechadzał się, kulejąc, po polach i wzgórzach. Uświadomiwszy sobie, że nie wie nic o życiu ptaków, sprowadził za pośrednictwem księgarenki w Fanstead kilka popularnych monografii o ptakach angielskich i siadywał odtąd pod

drzewem, starając się rozróżnić je po śpiewie, upierzeniu i zwyczajach. Lubił też gawędzić z mieszkańcami wioski i ze swoją gospodynią, która opowiedziała mu tragiczne dzieje małżeństwa Myry. Ojej obecnym życiu nie wiedziała prawie nic. Tyle tylko, że służyła stale u jednej pani i że wróciła z nią do Mediów. O tej pani nie opowiadała nigdy, tak że Pettilandowa nie wiedziała nawet, czy to była panna, czy mężatka. Taka już była zamknięta w sobie, a nikt nie miał odwagi zadawać jej pytań.

– Nawet nie napisała, co pan za jeden. Nazwisko i nic więcej.

– Wzięła mnie pod swoją opiekę – uśmiechnął się Triona. – Wszyscy mnie opuścili, oprócz niej.

– Dziwna kobieta – westchnęła wdowa.

– I dziwnych sobie dobiera protegowanych – uśmiechnął się. – Powiem pani szczerze, że sam dobrze nie wiem, kim teraz jestem. Ale prędzej czy później sprawię pani niespodziankę.

Tęsknota do aktywności żarła go okropnie, jak ukryta choroba. Spacery po polach przy pogodzie, wygodny fotel i książki w dni deszczowe – to dobre było na okres rekonwalescencji. Ale w ślad za wzmocnionymi mięśniami i rumieńcami zdrowia przyszła dawna potrzeba ruchu i działania. Przypomnił sobie liczne nawałnice na Morzu Północnym, dziką wolność na stepach rosyjskich, niebezpieczną wyprawę do Petersburga, wędrówki po Anglii, włóczęgę po niepewnych zaułkach Londynu i przeklinał samochód ciężarowy, który go nie puścił do Polski. Nigdy, poza miłością do Oliwii, nie włożył w nic tyle serca, co w tę udaremioną eskapadę. Wzruszył gniewnie ramionami. Nie było się nad czym zastanawiać. Polska odeszła z jego życia, tak jak Oliwia. Wszystko go opuściło – wszystko – cała treść życia, cały sens życia.

Zamknął książkę Toma Jonesa i wyjrzał oknem na zadeszczone wzgórza. Czuł się zagubiony. Zapadł się ze swoim kalectwem w kął świata, zabity deskami, gdzie miał pozostać do końca życia. Mógł pisać, wyladowywać w słowach gorączkę duszy. Ale co potem, jeżeli te słowa nie mogły się obić o niczyje uszy? Praca bez nadziei była jak przelewanie nektaru przez sito i mogła się skończyć tylko ostateczną rozpaczą. Patrzył przez mokre szyby na szare kontury wolnych wzgórz, przez które przeglądała perspektywa wewnętrznej pustki.

Zadał sobie pytanie, czy Myra nie ściągnęła go tutaj celowo, z premedytacją, żeby się jej nie wymknął. Bo czyż nie zamknęła go jak w więzieniu?

Tej nocy nie zmrużył oka. Od rana zajaśniała nad mokrym światem słoneczna pogoda. Zjadł śniadanie w małej bawialni na parterze, sąsiadującej przez ścianę z pocztą. Umeblowana była staroświecko. Na ścianach wisiały reprodukcje, przedstawiające wylądowanie gwardii po wojnie krymskiej, królową Wiktorię i księcia małżonka. Na konsoli kominka stały dziwnie rzeźbione i politurowane łupiny kokosowe i wielkie jajko z wymalowaną na wierzchu nagą syreną. Na komódce – tykwy ze strojnymi figurkami, jakie przywożono przed siedemdziesięciu laty z Indii zachodnich, model żaglowca pod szkłem i wypchany, wielkodzioby, nadbutwiały tukan o żółtoczerwonym upierzeniu. Triona wiedział od gospodyni, że ojciec jej nieboszczyka męża wędrował po morzach. Świadczyły o tym dodatkowo zalegające konsolę stosy białych, koralowych gałązek, sznury dziwnych paciorków, bezkształtny, drewniany bożek polinezyjski i wielka muszla o szerokich, tajemniczych, różowych wargach.

Nie miał apetytu. Bezsenna noc wytrąciła go z równowagi. Połknął

trochę jedzenia, popił kawą, zapalił fajkę i zaczął krążyć nerwowo po pokoju i oglądać pamiątki z dalekich krajów, których nigdy nie widział. Szczególnie oczarowały go korale. W szpitalu czytał „Typee” i „Oomoo” Melville’a w tanim wydaniu. Widok koralii obudził w nim uszpiętą tęsknotę. Wziął w rękę muszlę i zachwycił się jej barwą i kształtem. Przypomniała mu starą ciotkę, którą odwiedzał w dzieciństwie, a która miała taką samą muszlę. Tylko że urok tych wizyt psuło niedzielne ubranko, którego nie wolno było splamić dżemem, pod groźbą strasznych kar. Swoją drogą, śliczna muszla umożliwiała znoszenie lodowatego nastroju w domu strasznej ciotki. Przykładał ją do ucha, słuchał zakłętego w niej szumu dalekich mórz i rwał się całą duszą w nieznany świat. Teraz był dorosły i miał za sobą wiele przygód. Pomimo to wołanie oceanu odbiło się w jego sercu takim samym potężnym echem, jak za czasów dzieciństwa.

Wyszedł do ogrodu i zapatrzył się prawie niewidzącym wzrokiem w falujące, osłonecznione wzgórza. Nagle rzuciła mu się w oczy biała wstęga szosy, ginąca za wyniosłym zakrętem. Wiedział, że prowadziła do portu, z którego mógłby wyruszyć na dalekie morze. Ciągnęło go w świat tak nieodparcie jak wtedy. A gdyby tak powędrować do portu tą drogą, a tam zaciągnąć się do załogi jakiegoś okrętu... Na pokładzie kulawa noga nie byłaby zawadą, a ogólnie biorąc, był wbrew orzeczeniu lekarzy silny jak lew. Pozostawało mu tylko to jedno wyjście z beznadziejnej sytuacji. Patrzył na szosę, zaciskając ręce. Czoło miał mokre od potu.

Stawienie się na okręcie z takim bagażem, jaki posiadał, w charakterze kandydata na majtkę, byłoby głupotą. Przesunął instynktownie ręką po włosach. A gdyby wyruszyć w drogę tak jak stał, tylko z czapką na głowie, z pieniędzmi schowanymi w pasie? Uciekłby z więzienia. Uwolniłby się od

Myry. Znikłby na zawsze z życia Oliwii.

Może to będzie największe szaleństwo jego życia. Ale co tam? Zdechnie, to zdechnie. W każdym razie można spróbować. Wrócił do domu i przejrzał rozkład pociągów. Z Fanstead odchodziły dziennie tylko dwa pociągi, a poranny już odszedł. Postanowił pomaszerować pieszo do stacji węzłowej, tak jak za dawnych włóczęgowskich czasów. Zawsze mógł się spodziewać, że go tu i ówdzie podwiozą.

Poszedł na górę do swego pokoju, ubrał się w dobre, grube buty i spakował w tobołek najpotrzebniejsze rzeczy. Na stoliku zostawił list do gospodyni z miesięcznym czynszem za utrzymanie. Rozejrzał się ostatni raz po pokoju – ile razy w życiu rozglądał się w ten sposób! – i wybuchnął śmiechem. Nie! Książek z sobą nie zabierze. Wyruszając przed laty z domu rodziców, też nie zabrał ze sobą żadnej książki. Zszedł na dół z lekkim sercem i zawołał do gospodyni zajętej na pocztę:

– Idę na wycieczkę, niech pani na mnie nie czeka.

– Dobrze. Tylko niech pan nie forsuje chorej nogi – odpowiedziała. Roześmiał się. Co tam noga! Nic jej nie będzie! Wyszedł przez ogród i pomaszerował polami do szosy, niosąc węzełek na kiju opartym o ramię. W ten sposób skracał sobie drogę o milę. Ranek był świeży, rozkoszny. Chłodny wietrzyk pędził po niebie flotyllę chmur, szumiał w liściach wiązów i falował łany zbóż. Trionę ponosiło. Utykał co prawda, ale tak już będzie musiało trwać do końca życia. Grunt, że noga nie bolała. Dotarł do szosy. Znajomy widok ruchu kołowego i przydrożnych ogródków, pełnych róż, ślazu i pachnących groszków wprowadził go w jeszcze lepszy humor. Przechodnie pozdrawiali go z uprzejmością, właściwą chłopom z zachodnich stron kraju. Droga falowała łagodnie. Wiła się koło wzgórz i prostopadłych

przepaści, głębokich na trzydzieści stóp. W takich miejscach stały słupy ostrzegawcze dla kierowców. Pettialandowa opowiadała, że w czasie wojny, w nocy, auto ciężarowe spadło w jedną taką przepaść i wszyscy jadący zginęli na miejscu. Triona zmierzył zakręt fachowym wzrokiem i skrzywił się pogardliwie. On by przejechał tędy z szybkością sześćdziesięciu mil na godzinę. Naturalnie po wypadku z takiej wysokości nie byłoby czego zbierać.

W południe posilił się zimnym mięsem i chlebem w przydrożnej oberży, a potem zasiadł na przyzbie z papierosem w ustach i wdał się z gospodarzem w godzinną rozmowę o zbiorach i podatkach. W dalszej drodze poczuł się zmęczony. Niebawem natknął się na auto meblowe, koło którego klęli dwaj szoferzy. Zapytał, co się stało. Nie wiedzieli. Zdjął kurtkę i rad z okazji, zabrał się do roboty. W kwadrans maszyna była w ruchu. Przy tej sposobności ujechał trzy mile, ale niestety, gdy auto zboczyło z szosy, musiał zsiąść. Dziwnie mu się nie chciało iść. Ledwie poruszał nogami. A tu do stacji węzłowej było jeszcze bardzo daleko. Czemu nie zaczekał w Fanstead na pociąg wieczorny? Zawsze mierzył siły na zamiary.

Włókł się ostatkiem sił. Szosa wiodła przez pustkowia: stare kamieniołomy i nędzne lasy sosnowe. Właśnie piał się ciężko pod górę, kiedy poczuł w chorej nodze ostry, przenikliwy ból. Zrozumiał, że przepadł, i zmartwiał. W tej chwili z pobliskiej jamy w kamieniołomie wylazł drab w starych spodniach khaki i zapytał o godzinę. Triona wyjął złoty zegarek, dar Oliwii. Była czwarta. Drab podziękował mrukliwie i odszedł. Triona pokulał dalej. Ale ból w nodze wzmógł się do tego stopnia, że musiał odpocząć. Wszedł do lasu i usiadł ciężko pod drzewem. Próbował myśleć. Oczywiście, najprościej było zatrzymać jakieś przejeżdżające auto i poprosić o podwiezienie albo do stacji węzłowej,

albo z powrotem do Pendish. O dalszym marszu nie mogło być mowy. Tylko na co się zdecydować: na powrót, czy na podróż? Straszne zmęczenie rozpręgåło siłę woli. Wyruszył z rana o dziewiątej, teraz była czwarta po południu. Nie zdawał sobie sprawy, jak wolno szedł. Ogarnięty sennością położył się na boku, z ręką pod głową i zasnął kamiennym snem. O trzydzięci kroków dalej migały na szosie przejeżdżające samochody.

Przyśniło mu się, że królik przebiegåł mu po szyi i obudził się. Silna ręka ścisnęła go za gardło. Przytrzymał ją instynktownie. Było prawie ciemno.

– Co robisz, do diabła?

– Myśleliśmy, że nie żyjesz – odpowiedział nieznajomy. Pojawszy znaczenie liczby mnogiej, puścił rękę i usiadł. Zobaczył nad sobą dwie brudne, nie ogolone, groźne twarze. Jeden z drabów miał na sobie zniszczone spodnie khaki. Widząc, że ofiara się rusza, uklękli obaj na ziemi, po jej obu stronach – Chcieliście obdrzeć trupa, co? – nagle spostrzegł, że go już obrabowali. – A, hycle, zabraliście mi zegarek i dewizkę.

Odepchnął ich, zerwał się ciężko i wyrznął instynktownie w twarz bliższego napastnika. Ale raptowny ból w udzie powalił go z powrotem na ziemię, tak że cios jego ręki został w połowie w próżni. Drugi drab w spodniach khaki huknął go pięścią w czaszkę i świat utonął w nicości.

Ocknął się w kilka minut potem. Był sam. Naokoło zapadała noc. Nad szczytem kamieniołomu wisiały czarne chmury. Z oddali dochodził równomierny szum deszczu. Usiadł i odzyskał momentalnie pamięć i przytomność umysłu. Stoczył walkę... Ten w spodniach khaki spytał go o

godzinę. A!! I potem zaczął się, żeby go obrabować z zegarka. Co za idiotyzm afiszować się przed byle kim ze złotym zegarkiem! Ano, przepadło. Nauka ostrożności na przyszłość. Ale ten drugi? Skąd on się wziął? Dlaczego czekali tyle godzin, nim na niego napadli? Może ten w khaki walczył z pokusą i dopiero tamten nadszedł i namówił go. Triona przypomniawszy sobie, że oberżysta ostrzegł go przed kamieniołomami, służącymi za kryjówkę bezrobotnym, żyjącym z wysokich zapomóg. Kamieniołomy zamknięto z powodu nadmiernych żądań robotników, wobec których nie mogła się opłacać żadna eksploatacja. Przeklął swoje kalectwo. Gdyby nie ono, byłby pokonał obu napastników jak nic. Ten w wojskowych spodniach wyglądał na tchórza i niedołęgę. Gdyby służył w wojsku, siedziałby co tydzień na odwachu, a stale czyścił ustępy pod strażą zjadliwych sierżantów. O, niedolo kalectwa! Triona wyobrażał sobie zwycięską walkę i klął. Gdyby nie chora noga, byłby odebrał zegarek, jedyną pamiątkę po Oliwii. Wyruszając z rana w drogę, wahał się, czy go brać. Włóczęgi i majtkowie nie noszą złotych zegarków. Ale uczucie przemogło.

Deszcz wzmógł się do tego stopnia, że nawet gęste gałęzie nie stanowiły przed nim osłony. Triona przeklął pogodę. Musiał szukać schronienia. Nie było sensu siedzieć w lesie i przemoknąć do nitki. Wstał powoli i teraz dopiero spostrzegł, że jest cały porozpinany, a koszulę ma wyciągniętą na wierzch. Sięgnął do pasa, ale go nie znalazł. Jednym słowem został bez grosza.

ROZDZIAŁ XXIV

Już dochodziła północ, kiedy przed pocztą w Pendish zajechało auto i niefortunny włóczęga stanął przed obliczem Pettilandowej, która z niepokoju o niego nie położyła się spać. Był przemoczony, rozczochrany i wyczerpany, drżał z zimna, a twarz miał zmienioną do niepoznania, taką bladą i znękaną. Gospodyni wciągnęła go do bawialni.

– Co pan wyprawia?

Trapiła się cały dzień. Nie mogła pojąć, w jakim celu zostawił jej całą zapłatę za miesiąc z góry.

– Czy nie ostrzegałam, żeby się pan nie forsował?

Przyjął to łajanie sztucznym uśmiechem.

– Chciałem wyruszyć w świat, spróbowałem ostatni raz i nie udało się.

Zostanę tu do końca życia.

– A na cmentarzu do dnia zmartwychwstania, jeżeli się pan natychmiast nie położy – rzekła.

Zapakowała go do łóżka, dała chininy, obłożyła butelkami z gorącą wodą i poszła po bulion z jajkiem i wódkę, jedno i drugie na gorąco. Triona wódki nie przyjął. Od fatalnego przejścia u Rowingtona wyrzekł się alkoholu raz na zawsze.

– Teraz niech mi i pan opowie, co się właściwie stało – rzekła poczciwa kobieta.

– To, że koło kamieniołomów noga wypowiedziała mi posłuszeństwo. Wie pani, niedaleko wsi Woorow...

– Woorow! Toż to przecież w drugim hrabstwie! – wykrzyknęła

przerażona. – I pan szedł pieszo tak daleko, w tym stanie? Na Boga! Mężczyźni powinni być trzymeni na łańcuchu!

– Byłem na swobodzie od piętnastego roku życia.

– Ładnie pan korzystał z tej swobody! No i co?

Wzięła od niego filiżankę po bulionie z jajkiem i podała drugą, patrząc z kobiecym zadowoleniem na jego apetyt. Opowiadał po swojemu barwnie, przeplatając słowa łykami. A więc znużony marszem usnął w lesie. Najlepszy sposób na wszelkie niepowodzenia – sen w lesie. Schodzą się wróżki, elfy, króliki, łasice i sobole i otaczają człowieka magicznym kołem bezpieczeństwa.

– Czy pan czasem nie ma gorączki? – zapytała gospodyni.

– Nie. Od wielu miesięcy mam dziś pierwszy raz normalną temperaturę.

– Zmierzę panu... Więc pan usnął w lesie?

Tak. Usnął kamiennym snem. Obudził się w cztery godziny później – na deszczu. Cóż miał robić? Musiał wracać. Pieszo z bólem w nodze – nie mógł. Za dnia przyzwoicie wyglądający wędrowiec może zatrzymać samarytanina w aucie i wzruszywszy go opowieścią o kalectwie, poprosić o podwiezienie. Ale nocą – wykluczone. Stanać na środku szosy z rozpostartymi ramionami, na wprost reflektorów pędzącego samochodu, równałoby się samobójstwu. Wrócił etapami. Jakimi? Już dobrze nie pamięta. Wóz z nawozem podwiózł go kawałek drogi. Potem włókł się pieszo prawie milę. Potem spotkał jakiś wehikuł. W ciemnościach i przy deszczu mógł zaczepiać tylko wolno jadące wozy. Potem zabrał go traktor parowy, z którego wysiadł, zobaczywszy czekający przed wiejskim domkiem samochód dwuosobowy z zapalonymi reflektorami.

– Mam instynkt, kochana pani. Przed wiejską chatą mogło czekać tylko

auto lekarza. Zorientowałem się, że jechało w tym samym kierunku, co ja.

– To naprawdę był doktor?

Triona roześmiał się. Naturalnie. Schronił się przed deszczem pod budę. Czekał godzinę. Widząc otwierające się drzwi chaty, wysiadł i przedstawił się właścicielowi. Był to doktor Stansfield z Fanstead...

– Doktor Stansfield... o...

– On. Zna panią doskonale. Miły chłop. Przywiózł mnie na miejsce. Właściwie ja jego.

– I nie wszedł, żeby pana zbadać? Nagadam ja mu do słuchu. Niech go tylko zobaczę!

Triona uspokoił wzburzoną kobietę. Poczciwy doktor nie wiedział, że mu w ogóle czegoś brakowało. Biedak był w drodze od piątej rano, objeżdżał pacjentów – i padał ze zmęczenia. Nawet mu się nie chciało rozmawiać. Byłby podwiózł Judasza, a nawet trędowatego z Aosty, byle go tylko nie nudzili.

– Na Diabelskim Zakręcie – pani wie – o mało nie zwałił auta w przepaść. Przednie koło już było w powietrzu, ale zdążyłem zatrzymać motor. Krzyknął: „Wielki Boże!” i zakrył oczy rękami. Stracił biedak głowę.

Kiedy mu powiedziałem, że w czasie wojny szoferowałem w Rosji, oddał mi kierownicę. I to wszystko.

Opowiadał wesoło, paląc papierosa. Pettilandowa poszła po termometr, który, ku jej skrytemu rozczarowaniu, wykazał temperaturę tylko odrobinę wyższą od normalnej. Miała ochotę zatrzymać pacjenta kilka dni w łóżku i doprowadzić go w ten sposób do porządku. Kobieta lubi mieć lekkomyślnego mężczyznę na swej łasce i niełasce, zwłaszcza jeżeli nie jest pozbawiona poczucia humoru. Kiedy odeszła, Triona wybuchnął głośnym

śmiechem. A więc miał przygodę. Pogonił za błędnym ognikiem, który jak zwykle, zawiódł go na manowce. Ale bieda warta była zachodu. Nie żałował nawet, że usnął w lesie. Ciężka podróż powrotna wskrzesiła pamięć dawnych czasów. Dobrze jest walczyć z przeciwnościami losu.

Pieniądze, przeznaczone na podróż po koralowych morzach, przepadły bezpowrotnie. Oczywiście, mógł się zgłosić na policję, ale gdyby nawet rabusiów aresztowano, musiałyby im wytoczyć sprawę w sądzie. Sprawa dostałaby się do gazet, a to pociągnęłoby za sobą bardzo niepożądany rozgłos. Wzruszył filozoficznie ramionami. Bierz licho pieniądze! Sytuacja była – literacka. Nie miał grosza przy duszy. Taki humorystyczny koniec uwieńczył pogoń za błędnym ognikiem. Doznawał uczucia, że stało się coś nieuniknionego. Gdyby był naprawdę odważny, przekazałby żonie wszystkie pieniądze, a sam wyruszył w świat z pustymi rękami. Czyż życie nie nauczyło go, że wszelkie kompromisy kończą się fatalnie? Nie wiedział, co 12 Ofiara jednego kłamstwa dalej pocznie. Dobrze mu było, ciepło, wygodnie. W tej chwili nie dbał o nic. Skulił się leniwie i usnął.

W tydzień później wszedł po południu do kancelarii gospodyni, uśmiechnięty i wesoły.

– Pani kochana, nareszcie odkryłem, jakie jest moje powołanie.

– Bardzo się cieszę – odpowiedziała z urzędową powagą, gdyż odbierała właśnie od jakiegoś malca zapłatę za dwa znaczki pocztowe. – Przez ostatnie dni był pan jakiś nieswój.

Triona spojrział na malca, zaciskającego w brudnej łapinie znaczki, i odprowadził go wzrokiem.

– Człowiek bez grosza przy duszy, człowiek zagrożony głodową śmiercią musi szukać źródła utrzymania.

– Przecież pan ma dużo pieniędzy.

– Nie mam.

– Zapłacił mi pan z góry za życie i mieszkanie, sama nie wiem dlaczego.

– Chciałem uciec – rzekł z humorem – a musiałem panią wynagrodzić za trudy i koszty, poniesione z mojego powodu. Ale bogowie wmieszali się w awanturę i ściągnęli mnie z powrotem. – Usiadł na kontuarze. – Jestem oszustem, kochana pani – dodał, uśmiechając się.

Zacna jejmość nie mogła zrozumieć jego powagi, lecz czuła, że za lekkimi słowami kryło się coś zagadkowego.

– Pani mi nie wierzy?

Westchnął. Gdyby przed nią nablagaował, uwierzyłaby mu, tak jak mu wszyscy wierzyli, zawsze i wszędzie. Za to szczerą prawdą spotkała się z niewiarą. i – Będę zarabiał na życie. Zostanę szoferem. Otworzyła szeroko oczy.

– Pan – szoferem?

– Tak. Co w tym złego?

– Ale... Panowie nie idą na szoferów. Dosyć na pana spojrzeć, żeby wiedzieć, że pan jest stworzony do czegoś lepszego. I mowę pan ma całkiem inną i z książkami się wozi...

– E, kochana pani, to się tylko tak zdaje. Próbowałem niejednego fachu w życiu, pańskiego też. Ale przeważnie byłem szoferem. Zacząłem karierę od szoferki w Rosji. Przez kilka lat woziłem autem jednego rasyjskiego księcia po całej Europie. Teraz rosyjskich książąt nie ma, wobec czego będę woził obywateli Fanstead.

– W głowie mi się nie mieści...

– Radnor, słyszała pani o nim? Były oficer. Właśnie otworzył garaż...

– Zbankrutuje – przerwała kobieta. – Nie on pierwszy. Stary Hether ma całą klientelę. Z nim nikt nie wytrzyma konkurencji.

– Z nim? Toż jego samochód to stary, niebezpieczny grat, a mechanik – skończony osioł. Psuje wszystkie maszyny, przysyłane do reperacji.

Ofiarowałem Hetheringtonowi swoje usługi, ale po co rzucać perły świniom? Odmówił. Poszedłem więc do Radnora. Właśnie zwolnił mechanika.

Mnie zawsze szczęście sprzyja. Zobaczysz pani – zakołysał zdrową nogą – że panowanie Hetheringtona skończone. Teraz kolej na Radnora.

Wierzył święcie, że tak będzie. Radnor, człowiek młody, potulny i znękanym życiem, znał się na rzeczy, lecz brakowało mu inicjatywy i mógł co najwyżej zarabiać tyle, żeby mieć co włożyć do ust. Triona prędko zorientował się w jego możliwościach. Radnor miał dostateczny kapitał zakładowy, dobrze urządzonego garaż i warsztat i dość dobry samochód. Nadto decydował się kupić drugi. Triona zrozumiał jego wahanie. Nieborak byłby na łasce i niełasce nieuczciwych mechaników i szoferów. Dwa lata pobytu w Niemczech załamały go zupełnie. Stracił zdolność wymuszania posłuszeństwa, a z natury był cichy i delikatny. Przewędrował całą Anglię zachodnią i w końcu osiadł w zapadłym Fanstead. Wegetował tu już od kilku miesięcy. Interes szedł kulawo. Mógł jeszcze wytrzymać pół roku, nie dłużej.

– Daj mi pan cztery funty tygodniowo jako głównemu mechanikowi i szoferowi – zaproponował Triona – a interes pójdzie jak po maśle.

Ale przedtem pokazał papiery, świadectwa służby w kolumnie pancerniej i na okręcie wojennym – i opowiedział o swojej karierze szoferskiej w Rosji. Dowodem rzeczowym jego kwalifikacji była diagnoza tajemniczo

uszkodzonego samochodu zagranicznej marki, jedyne go znajdującego się w naprawie, a któremu nie dali rady ani właściciel, ani mechanik, ani sam Radnor.

– Biorę pana – rzekł Radnor. – Chociaż taki majster, jak pan, powinien prowadzić samodzielny interes.

– Nie mam ani grosza...

Opowiedziawszy gospodyni to wszystko, Triona rzekł:

– Słowem, udało mi się, tylko żałuję, że będę się musiał stąd wyprowadzić.

– Wyprowadzić? Dlaczego?

– Szoferzy nie mogą sobie pozwolić na luksusowe pokoje z pięknymi widokami z okien, a poza tym nie są pożądanymi lokatorami.

Pettilandowa zaczerwieniła się z oburzenia.

– Pan też jest... To pan myśli, że dlatego, że pan będzie szoferem, to ja panem wzgardzę? Aż mnie zakłuło w sercu! I zresztą pan potrafi chodzić koło maszyny, a nie koło siebie. Co pan zmalował tydzień temu? O mało pan się nie dobił. Będzie mi pan płacił, ile pan będzie mógł. Nie jestem lichwiarką.

– Są na świecie dobrzy ludzie – westchnął Triona.

Ale nie dał się skusić jej dobrocią. Brał rzeczy praktycznie. Musiał być stale w garażu, czekając na telefony. Nie mógł kuśtykać po całych dniach do Fanstead i z powrotem. Na ten argument nie mogło być odpowiedzi.

– Co zrobię z pieniędzmi, które pan zapłacił z góry?

– Niech je pani na razie zatrzyma. Może Radnor wyrzuci mnie, to wrócę.

Zabrał manatki i przeniósł się do Fanstead, gdzie zamieszkał na strychu

nad garażem.

Pierwszy raz od czasu rozstania z Oliwią poczuł się prawie szczęśliwy. Los skazał go na wegetację na zabitej deskami prowincji, ale mógł tu żyć uczciwie. Co więcej, miał przed sobą cel, miał ideał, niezbędny dla zdrowia duszy. Radnor dobrze się zasłużył ojczyźnie odwagą, ranami, niewolą. Dostał za to Krzyż Wojenny i stopień porucznika. Gdyby zbankrutował, nikt by mu nie pośpieszył z pomocą. Triona przysiągł sobie, że postawi go na nogi bez jego wiedzy, natchnie otuchą, pobudzi do życia. To było coś. Dla tego samego warto było żyć. Ogarnął go dawny entuzjizm. Zamarzyło mu się wielkie przedsiębiorstwo samochodowe.

I zaczęło od razu iść jak z płatka. Sława garażu Radnora rozeszła się daleko i szeroko. Właściciele drogich aut w okolicy stali się klientami warsztatu w Fanstead. Radnor kupił wkrótce drugi samochód, a pod jesień trzeci i przyjął więcej pracowników. Triona został kierownikiem garażu. Gdyby nie chciał, mogły nie jeździć jako szofer ani nie nosić liberii z mosiężnymi guzikami, którą narzucił Radnorowi dla personelu garażowego. Uważał słusznie, że takie rzeczy pociągają oko. Lubił siedzieć przy kierownicy. Jako urodzony włóczęga czuł stałą potrzebę ruchu. Wybrał sobie starą, dobrą maszynę, kapryśną tylko w niedoświadczonych rękach i jeździł nią stale, nie pozwalając innym do niej wsiadać. Radnor chciał ją sprzedać jako grata. Raz miał wypadek dziesięć mil za miastem i musiał być holowany z powrotem. Triona kurował gruchota przez trzy tygodnie. Wyszło cudo, z którego był teraz niezmiernie dumny. Robił ogromne kursy, wyciągając z łatwością czterdzieści mil na godzinę.

– Jak pan chce – zgodził się Radnor – nie ja skrećę kark.

To był zdrowy zawód. Kalectwo w nim nie przeszkadzało.

Przypuszczalne obrażenia wewnętrzne nie dawały o sobie znać. Twarz Triony straciła wyraz cierpienia a oczy nabrały blasku i spokoju. Nawet, o ile to było u niego możliwe, utył. Radnor, stwierdziwszy pod koniec roku ogromny wzrost dochodów, chciał mu powiększyć pensję. Triona odmówił.

– Co mi po pieniądzach? Gdybym miał więcej, wydałbym na książki, a i tak nie wiem, gdzie je chować. Włóż pan gotówkę w interes albo reklamuj się. Już opracowałem plan kampanii ogłoszeniowej.

– Dziwny z pana człowiek – odparł Radnor, drobny, ciemnowłosy mężczyzna o wielkich, żalonych oczach, przystrzyżonych wąsikach i nieśmiałych, wiecznie drżących ustach. – Dziwny człowiek. Nie wiem, co ja bym zrobił bez pana. Chciałbym pana zrobić swoim wspólnikiem.

– Bez głupstw, kochany panie. Wspólnik musi mieć kapitał, a ja nie mam ani grosza. Zresztą gdybym został wspólnikiem, cały interes wzięliby diabli.

– Dlaczego?

– Bo bym chciał od razu wziąć się do czegoś innego.

– No to niech już tak będzie, jak jest.

– Właśnie – rzekł Triona.

Wdzięczny pryncypał, nie mogąc zrozumieć wariackich pobudek swego kierownika garażu, zadowolił się wzruszeniem ramion. Z punktu widzenia interesu Briggs był zesłańcem losu. Z tym wszystkim jednak nie sposób było go przejrzeć. Zresztą sam nie pragnął być rozumianym, a Radnor, jako dżentelmen, nie próbował go indagować.

– Rozwińmy interes tak, żeby dawał trzy tysiące funtów rocznego dochodu, to pogadamy – rzekł Triona.

– Trzy tysiące? Na Boga! Człowieku, toż ja bym stracił mowę.

– Ja będę gadał za pana – roześmiał się kierownik.

Postanowił dźwignąć tę ofiarę wojny na nogi. Przed Bożym Narodzeniem zdarzył się wypadek, który go jeszcze umocnił w tym postanowieniu. Przyjechały do Fanstead na weekend melancholijna matrona i ładna panienska o smutnych oczach. Zatrzymały się w zajezdzie. Radnor oprowadził je po warsztatach.

– Pan Briggs, kierownik warsztatów, o którym paniom tyle razy opowiadałem.

A później wyjaśnił mu od niechcienia: – Moja... daleka ciotka z córką. Chciały zobaczyć, jak mi się powodzi.

Biedaczysko! Oczywiście chciały zobaczyć, jak mu się powodzi. Panienska oglądała wszystko z wielką uwagą.

Triona pomyślał zupełnie mimo woli: – Pobiorą się na świętego Michała.

I uradowany własną chytrą, przysiągł sobie, że się pobiorą.

Nie przyjął więc podwyżki i cieszył się zdumieniem pracodawcy.

Przyszedł kwiecień. Interesy szły coraz lepiej. Hetherington zbankrutował. Triona pracował od rana do wieczora i na razie nic mu nie brakowało do szczęścia. Stopniowo zaczął się denerwować. Ustawił warsztaty tak, że mogły się już rozwijać bez jego pomocy. Wystarczyłyby sumienność i pracowitość Radnora. Po cóż miał mu dłużej służyć? Osiągnął to, co zamierzał. Radnor był już w takiej sytuacji finansowej, że mógł się ożenić.

– Ożenię go, a potem...

A potem? Życie znów straciło treść i wionęło pustką. Ostatnio czerpał inspirację z lektury. Pokoik nad garażem wypełniał się książkami, ale

czytanie budziło gwałtowną tęsknotę za pisaniem. Miał w mózgu tyle pomysłów, tyle nadzwyczajnych sytuacji, taką galerię żywych postaci. Wierzył przesądnie, że gdyby którąś ochrzcił imieniem, to stałaby się żywa i wymogła na nim napisanie powieści o sobie. Wygnał więc z duszy kuszące imiona, bo postanowił, że już nigdy w życiu nie napisze żadnej powieści.

Wiosna burzyła w nim krew. Rok upływał, jak opuścił Oliwię. Co się z nią działo, co robiła, co czuła? Od czasu do czasu odwiedzał Pettilandową. Myra odwiedziła bratową w październiku, bawiła tydzień, mieszkała w jego pokoju, była u obłąkanego męża, o swojej pani nie wspomniała ani słowem. Dowiedziawszy się o zajęciu Triony, rzekła:

– Rada jestem, że znalazł uczciwą pracę.

– Czy mam mu dać znać o twoim przyjeździe? – zapytała wdowa. Myra odpowiedziała po swojemu stanowczo: – Nie chcę go widzieć, a i on na pewno nie jest spragniony mego widoku.

Przyjechała więc i odjechała, tak, że on się o tym nie dowiedział. Chciał ją spotkać i wymusić jakieś wiadomości o Oliwii. Teraz, kiedy poratował Radnora i zatęsknił do zmiany w życiu, do pracy twórczej i do niej, zaświtała mu znów bolesna myśl sprzed roku, że nie ma prawa żyć. Olifant powiedział prawdę. Jakie miał prawo zmuszać żonę do fałszywego wdowieństwa? Była z nim związana, z nim, którego wykreśliła ze swego życia na wieki, tak nieodwołalnie jak Myra ze swoim obłąkańcem. I groziło jej takie samo zgorzknienie. Na razie była młoda, miała jeszcze przed sobą życie. Gdyby on się usunął, mogłaby wyjść za mąż drugi raz. Domyślał się, że sprzątnął ją sprzed nosa nieporównanemu Olifantowi. Z nim byłaby szczęśliwa... Te refleksje dręczyły go straszliwie. Rzuczał się nocami na twardym łóżku polowym, nie mogąc zmrużyć oka. Ale walczył z udręką całą mocą, tak jak w

szpitalu z bólem fizycznym. Mówił sobie, że zwycięży, że usunie się ze świata.

Lecz dni upływały, a w nim szumiało bujnie młode życie. Torturował się dylematem, czy większym bohaterstwem jest umrzeć, czy żyć. Czy większym tchórzostwem jest umrzeć, czy żyć? Nie znajdował odpowiedzi.

Tymczasem naprawiał zepsute samochody i woził wesołych turystów po okolicy.

ROZDZIAŁ XXV

Stało się to, co musiało się stać. Olifant stracił głowę, wybuchnął potokiem namiętnych słów i porwał Oliwię w objęcia. Zaskoczona, prawie się nie broniła. Potem przycisnęła rękami bijące gwałtownie serce i cofnęła się chwiejnym krokiem. Nastąpiła scena stara jak świat. Oliwia to opierała się, to sama traciła głowę. W końcu rzekła:

– Jeżeli mnie kochasz, zostaw mnie teraz samą. Muszę się zastanowić.

Olifant wyszedł posłusznie, z głową w ogniu. Oliwia została sama. Przez otwarte okna salonu uśmiechała się majowa zieleń ogrodu.

Przeczuwała to od powrotu z południowej Francji. Uciekła z Mediów ze strachu. Zachowanie się majora stwarzało okropnie przykrą sytuację. Oliwia nie odgrywała roli ani gospodyni, ani gościa. Prowadzili wspólne gospodarstwo. Trivett i Fenmarch służyli jej przyjacielskimi radami w sprawach finansowych. Lato upłynęło bardzo mile. Utrzymywała stosunki z obu miejscowymi sferami towarzyskimi reprezentowanymi przez Landsdowne House i Blair Park. Jakoś się to samo ułożyło. To, co się mówi o snobizmie Anglików, jest przeważnie oszczerstwem. Prawda, że obywatel ziemski i kupiec nie są ze sobą na równej stopie towarzyskiej. Należą do innych światów i wcale nie pragną zbliżenia. Zanadto się nawzajem szanują. Ale osoba należąca do obu tych sfer, tak jak Oliwia, może bywać swobodnie i tu, i tam. Wyrobienie nabyte w Londynie umożliwiło jej wychodzenie z delikatnych sytuacji obronną ręką. Bywała u mieszczan na zabawach tańczących i piknikach, uczęszczała z Olifantem na przyjęcia na świeżym powietrzu, dziwiąc się żartobliwie, że

nie spotyka się z dumnie podniesionymi nosami. Co dzień miała jakąś rozrywkę: to kiermasz dobroczynny na kościół, to rozgrywkę tenisową, to wycieczkę samochodową. Wszystko to uprzyjemniało jej życie i dawało zapomnienie. Do października było dobrze. Potem uciekła przezornie z Myrą do Francji i Włoch, gdzie zabawiła do maja.

Właściwie ściągnęła ją z powrotem do Mediów pani Woolcombe. Początkowo major zachowywał się bez zarzutu. Dopiero któregoś dnia, gdy mu opowiadała, śmiejąc się, o zajściu w Wenecji z jakimś Włochem, który ją zaczepił i obraził, nieunikniona bomba eksplodowała.

Oliwia była przerażona i wstrząśnięta. Przekonała się, że major robi na niej silne wrażenie. A tak go zawsze lekceważyła! Nie czuła najmniejszej obrazy. Przeciwnie. Odwzajemniła jego pocałunki. I... pragnęła nowych! Okazało się, że rycerz i dżentelmen był także mężczyzną.

Gdyby była wolna, wyszłaby za niego bez wahania. Zawsze go lubiła, a teraz sympatia przeszła w gorące uczucie. Ale nie była wolna. Miała do wyboru albo powrót do samotności, albo... wolną miłość.

Wyszła do ogrodu, między klomby kwitnących kwiatów. Co było robić? Niegdyś śmiała się z konfliktów miłosnych. Nie rozumiała, że jest młoda. Teraz znalazła się twarzą w twarz z perspektywą samotnego życia, nie rozjaśnionego miłością.

Po chwili wyszedł z domu Olifant.

– Czy... mogę z... panią pomówić?

– O... wszem.

– Postąpiłem jak skończony hultaj. Niech mi pani przebaczy, jeżeli pani może przebaczyć. Ten Włoch, który mnie tak oburzył, nie był gorszy ode mnie.

Oliwia spojrzała na niego roześmianymi oczami.

– O, proszę się nie obwiniać. Ten Włoch był wstrętny – dotknęła jego rękawa. – Przebaczam. Moja wina. Nie powinnam była wracać.

– Cudowna kobieto! – szepnął. Cudowna kobieta skrzywiła żałośnie usta.

– Mogłoby być dobrze, a nie może – odszepnęła.

– Czyż ja tego nie rozumiem, kochana? Czy, gdyby nie to, żałowałbym swego uniesienia?

– Jeżeli to pana pocieszy, to... i ja straciłam głowę. Jesteśmy oboje ludźmi. Może ja bardziej niż pan, jako kobieta. Dlatego uciekłam do Włoch. Nie mogłam już...

– Na Boga! – krzyknął. – A ja myślałem, że z nudów. Roześmiała się mimo woli. Jacy ci mężczyźni są naiwni! On zapytał smutno: – Więc... nie jestem pani obojętny?

– Gdyby tak było, nie wróciłabym. Nie zrobiłabym takiego głupstwa.

– Głupstwa? – westchnął, odstępując o krok. – Tak, ma pani rację. Powinienem był być szczery z siostrą i nie ściągać pani.

– Ja powinnam jutro wyjechać.

– Dokąd?

– Do Londynu – uśmiechnęła się. – Muszę wreszcie poszukać sobie stałego lokum. Im prędzej, tym lepiej.

* * *

– To potworne! – wybuchnął. – Wychodzi na to, że ja wypędzam panią z własnego domu.

– Nie możemy żyć pod jednym dachem tak, jakby nic nie zaszło.

Przez kilka chwil przechadzali się w milczeniu po ścieżce. Wreszcie Olifant przystanął i rzekł:

– Nauczyłem się panowania nad sobą w trzech twardych szkołach:

w domu ojca Szkota, na studiach i na wojnie. Czy pani zostanie, jeżeli dam pani słowo honoru, że to się już nie powtórzy, że zadowolę się tylko jej przyjaźnią i towarzystwem? Bez pani żyłem jak na pustyni, jak w więzieniu.

Oliwia westchnęła ciężko i odeszła parę kroków. Ten zacny człowiek nie rozumiał, że kobiety nie są aniołami. Jakże mogliby patrzeć na siebie jak przyjaźnie usposobieni znajomi i opanować nawet mowę oczu? Nie mogąc się oprzeć złośliwemu impulsowi, odpowiedziała:

– Widzę, że ani ojciec filozof, ani nauka, ani wojna nie nauczyły pana nic o życiu.

Major położył rękę na jej delikatnym ramieniu.

– Ja panią tak kocham – rzekł – że zgodziłbym się wisieć na krzyżu, byle tylko patrzeć na panią do śmierci.

Odwrócił się i odszedł szybkim krokiem. Pobiegnęła za nim, wołając:

– Nie. Ja tego nie chcę!

Odwrócił się od niej, robiąc obronny gest ręką. I znów wzruszył ją widok pustego rękawa.

Wyprzedziła go i zagroziła sobą ścieżkę.

– A ja, to co? Co by się ze mną działo, gdybym patrzyła na pana, wiszącego na krzyżu?

To mu nie przyszło do głowy. Zmieszał się, ale zaraz odpowiedział ze szkocką szczerością:

– Jestem zakochany do szaleństwa i sam nie wiem, co mówię. Wzięła go pod rękę. – Przyjacielu najdroższy, jaka jest inna rada?

– Wiem. Nie ma. Albo – albo. Honor nakazuje rozstanie.

W oczach Oliwii błysnęły łzy. Porwała jego jedyną dłoń w obie ręce.

– Do śmierci nie zapomnę tego, co pan powiedział.

Pocałowała go w rękę. Była głęboko wzruszona. Jakim cudem ona, taka ograniczona i nędzna, mogła obudzić miłość w takim szlachetnym człowieku? Major stał chwilę nieruchomo, patrząc pustym wzrokiem w dalekie niebo. Jej znikły z oczu niebo, ogród, dom, wszystko. Widziała tylko przez mgłę jego wyniosłą postać. Serce biło jej gwałtownie. Była to niebezpieczna chwila, która wydała się obojgu godziną.

W końcu Olifant odwrócił się i spojrzał na nią z poważnym uśmiechem. Ona przycisnęła rękę do serca, nie wiedząc, czy śmiać się, czy płakać.

– Pani tu zostanie z Mary – rzekł łagodnie. – Ja wyjadę na odpoczynek. Potrzeba mi wytchnienia. Mam w Szkocji wuja. Zaniedbałem go haniebnie od lat. Łowiliśmy razem łososie. Nie wiem, czy będę mógł łowić jedną ręką, ale może mi się uda. Nauczyłem się robić tyle rzeczy jedną ręką. Gdyby nie to, że czekałem ciągle na panią, byłbym już tam pojechał.

To dzika okolica...

Oliwia zaprotestowała. Więc ona ma go wypędzać z domu? Nie, lepiej niech będzie odwrotnie. Ale major postawił na swoim. On pojedzie, a może się tymczasem coś zmieni.

Wyjechał zaraz następnego dnia, zostawiając ją na pastwę nowej samotności i udręki. Żyła teraz w bezustannym napięciu. Nasuwało jej się ciągle nienawistne pytanie, czy gdyby sytuacja była odwrotna, to jest, gdyby Olifant był mężem, a Aleksy zakochanym, czy Aleksy by z niej zrezygnował? Na pewno nie. A jednak w głębi serca cieszyła się, że wyszła z niebezpieczeństwa bez szwanku.

I znów dała się porwać łagodnemu wirowi prowincjonalnych rozrywek. Pani Woolcombe biadała nad nieobecnością brata. Tak się cieszył na codzienny tenis z Oliwią. Nauczył się jakimś cudownym sposobem grać jedną ręką. Tylko dzięki jej zachęcie, bo nie grał już od wielu lat. Ale przepracował się, biedak. Ostatnio nie mógł sypiać i wstawał zawsze z bólem głowy. Potrzebował koniecznie wypoczynku. Ale źle się złożyło, ona, Oliwia, musi się nudzić. Tak mówiła Mary Woolcombe, nieświadoma żadnego dramatu.

Oliwia rzekła do Myry: – Tu jest nudno i pusto. Musimy się przenieść z powrotem do Londynu.

– Czy tam będzie coś więcej niż tutaj?

– Tam będę się mogła czymś zająć.

– Czym?

– Zobaczę. Dlaczego mnie irytujesz, Myro?

– Ja panienki nie irytuję.

– Więc co?

– Kobiecie potrzeba mężczyzny – odparła, po swojemu spokojnie służąca – albo, od biedy, innej kobiety, żeby się miała o kogo troszczyć. Ja mam panienkę i dobrze mi. Panienka nie ma nikogo, to się panienka irytuje.

Oliwia zaczerwieniła się gniewnie i odwróciła od lustra. Myra suszyła jej właśnie włosy, tak jak to czyniła od lat.

– Moja kochana, za wiele sobie pozwalasz.

– Może – padła niewzruszona odpowiedź – ale panience dobrze zrobi, jak usłyszy od czasu do czasu słowo prawdy.

– Nie potrzeba mi ani mężczyzny, ani kobiety – oświadczyła Oliwia.

Myra wykręciła ją łagodnie do lustra.

– Pytanie – rzekła, sięgając po grzebień.

– Jesteś wstrętna.

– Może, ale co rozum, to rozum. Najgorzej, jak panienka wybiera się do Londynu, żeby się zabrać do polityki, czy pisania książek, czy do filantropii. I za kobietami nie będzie panienka gonić. Nigdy panienka nie miała prawdziwej przyjaciółki.

– Nie mam – syknęła Oliwia.

– Panienka jest stworzona dla mężczyzny. Od czasu, jak nieboszczka pani zachorowała, opiekowała się panienka bratem i ojcem. To panienki powołanie. Nie ma panienka mężczyzny i przez to jest nieszczęśliwa.

Oliwia zerwała się z krzesła. Rozpuszczone, czarne włosy i wzburzona twarz upodobały ją do morskiej nimfy.

– Nienawidzę mężczyzn!

– Jeszcze panienka nienawidzi pana? – spytała spokojnie Myra.

– Nienawidzę. Jak ty śmiesz? Zakazałam ci o nim wspominać.

– Jak panienka każe. Niech panienka siada. Włosy jeszcze są wilgotne. Posłuchała z niechęcią. Była wściekła na Myrę. Zawsze jesteście wściekli na ludzi, którzy nam mówią prawdę o nas samych. Tak. Nadawała się tylko na żonę, na nic więcej. Rozmyślała o tym wśród bezsennych nocy. Bo czym by mogła służyć ludzkości? Opuściła kiedyś Mediów, żeby poznać świat, i przekonała się, że nie było w nim dla niej nic interesującego oprócz mężczyzn. Wszystkie ideały i blaski, i muzyka świata, radości, marzenia, wszystko to sprowadzało się dla niej do miłości, bardzo czystej i wzniosłej, ale tylko miłości.

Była stworzona dla mężczyzny. Mogła to uznać za chwałę, ale jednocześnie i poniżenie. Myra miała słuszość. Czy kiedyś kochała całym

serce jakąś kobietę? Matkę. Matka była świętością. A mężczyzn? Obruszyła się wewnątrz. Czy kokietowała mężczyzn? Nie. Pod tym względem miała czyste sumienie. Jednakże od chwili, kiedy opuściła dom, interesowała się tylko nimi. A nawet przedtem, opiekując się ojcem i braćmi, myślała kategoriami męskimi, tylko w trochę inny sposób.

A teraz? Perspektywa samotnego życia w Londynie napełniała ją przerażeniem. Mąż, kłamca, niepojęty, nieuchwytny szaleniec, budzący wstręt i odrazę, żył gdzieś tajemniczym i obłudnym życiem. Żołnierz, uczony, dżentelmen, który ją pokochał, uciekł, ratując ją przed samą sobą. Przyzwoitość i ambicja nakazywały jej wyjechać przed jego powrotem albo też wymówić mu dzierżawę domu i zakopać się w Mediów do końca życia. Słowem zostać bezużyteczną starą panną.

Popołudniowa poczta przyniosła kilka rachunków, kwitów i listów, jeden od Janet Philimore, z którą korespondowała od czasu do czasu, jeden długi i niedbały od Lidii, która donosiła, że wybiera się do Mediów do ojca.

Nie widziała się już z nim od kilku lat, a że zaczął chorować, więc Co mi radzisz, Oliwio?” Oliwia skamieniała. Pytać ją, obcą osobę, czy radzi jej odwiedzić chorego ojca? Postanowiła odpisać tak:

Naturalnie, przyjedź natychmiast, tylko włóż jak najgrubszą woalkę, żeby cię nikt nie poznał.

A więc znów Londyn i Lidia. Powrót do punktu wyjścia. O, Boże, co za beznadziejne koło!

– Przepraszam panienkę – wdarł się w tę smutną zadumę głos Myry.

Oliwia podniosła oczy i zobaczyła nad sobą jej twarz, jeszcze surowszą niż zwykle. – Przepraszam, że weszłam, ale miałam właśnie list. Umarł.

Oliwia drgnęła nerwowo i zerwała się z ławki.

– Umarł? Mój mąż?

– Nie, panienko, mój!

– O! – Oliwia osunęła się z powrotem na ławkę. Uspokoila się.

– Współczuję ci, moja kochana. Ale to dla ciebie lepiej.

– Niezbadane są wyroki boskie... Kochałam go, panienko. Czy panienka pozwoli mi jechać zająć się pogrzebem?

– Ależ, moja droga, jak ja bym mogła nie pozwolić?

– Wrócę zaraz po pogrzebie – rzekła służąca, odwracając się i wychodząc z altany. Oliwii wydało się, że jej chudymi ramionami wstrząsnęło łkanie.

ROZDZIAŁ XXVI

Triona nie dowiedział się ani o śmierci męża Myry, ani o jej ponownym przyjeździe. Myra nakazała bratowej, aby mu o niej nie wspominała, zaznaczając, że ani on jej nie obchodzi, ani ona jego. Nie dowiedział się również, że przemokła na deszczu w czasie pogrzebu i że leżała ciężko chora w jego pokoiku na górze. Miał tyle zajęć, że na grzecznościowe wizyty do Pendish nie zostawało czasu. Poza tym truł się gorzkimi myślami i był bliski depresji. Nie pragnął widoku ani kobiet, ani mężczyzn. W chwilach wolnych od pracy przesiadywał samotnie na swoim poddaszu.

– Pan się przepracowuje – rzekł mu serdecznie Radnor. – Należy się panu urlop.

– Ech, co by mi dobrze zrobiło, to jedynie podróż, z której się nie wraca – odpowiedział posępnie.

Radnor rozejrzał się z uśmiechem po garażu.

– Ja nie uważam, żeby na świecie było źle.

Triona wzruszył ramionami i pochylił się w milczeniu nad mechanizmem „chorego” auta.

W kilka dni później Radnor oznajmił – Żenię się w sierpniu i powiem szczerze, że tylko dzięki panu.

– Cieszę się – odparł Triona. – Zostanę do tego czasu.

– A potem?

– Sam pan powiedział, że należy mi się wypoczynek.

Radnor roześmiał się. – Ale wpierw pozwoli mi pan użyć trochę

miodowego miesiąca?

– O, ma się rozumieć.

A więc słabej podniety do życia miało wystarczyć do sierpnia. Teraz był początek czerwca. Trzy miesiące dłużej, czy krócej – bagatelka. Dalsza egzystencja to absurd. Więcej: niemoralność. Potrafił już to w siebie wmówić.

Anglia oszalała tego roku na punkcie sportu samochodowego. Ograniczenia wojenne ustały, drogi były wolne, a benzyna do nabycia. Na cenę się nie oglądano. Wszystkich ogarnął szal wycieczek po ukochanym kraju, po historycznych miejscach i malowniczych zakątkach. Tak długo na to czekano. W garażach brakowało samochodów. Radnor kupił jeszcze jeden, ale i to nie pokryło zapotrzebowania. Sam szoferował.

Zapadał ciepły, czerwcowy wieczór. Triona wracał do domu wyremontowanym przez siebie gruchotem. Woził tego dnia wesołe towarzystwo po pięknych okolicach i, pomimo ciężkiego smutku w duszy, sam rozkoszował się cudną zielenią, chłodem ocienionych, wiejskich uliczek i słońcem na otwartych przestrzeniach. Był poetą i nie mógł nie reagować na wieczysty cud życia. Od dziesiątej rano oddychał czystym powietrzem szerokich pól i radował oczy uroczymi krajobrazami.

Siedząc samotnie za kierownicą, myślał o wrażeniach dnia. Czy nie warto było żyć po to tylko, żeby się cieszyć pięknem życia? Czy nie warto było żyć po to tylko, żeby przelewać w słowa doznane wzruszenia, choćby dla swojej osobistej przyjemności? Przejechał przez bukowy las, pod szmaragdowym sklepieniem konarów, po dywanie niebieskich dzwonek...

Jechał wolno i ostrożnie. Maszyna zrobiła ogromny kurs. Chrobotąła trochę, jakby protestując przeciwko przeforsowaniu. Może przeceniał jej

możliwości. Kochał tę odrestaurowaną ruinę, niby żywe stworzenie. Dzielna maszyna, wysłużyła się ludziom na drogach flandryjskich. Irytowało go, że nie mógł jej głaskać jak konia i uspokajać głosem. Jadąc bardzo ostrożnie, znalazł się na Diabelskim Zakręcie z prostopadłym zboczem doliny, gdzie przemęczony lekarz, jego wybawca z awanturycznej nocy, o mało nie spowodował katastrofy. Tuż za zakrętem droga rozwidlała się i jedna jej odnoga biegła do Fanstead, a druga mijala Pendish. Ale do Pendish bliżej było na ukos przez pola. Tędy wędrował w świat w ten feralny dzień. Nagle maszyna odmówiła posłuszeństwa. Wysiadł i stwierdził, że zabrudziła się świeca. Czyszcząc ją kawałkiem drutu i wydmuchując z niej piasek, zastanawiał się, ile zajmie mu to czasu. Był zamówiony na pojutrze. Czy mógł ryzykować jazdę taką maszyną? W każdym razie miał dzień czasu na rozebranie jej i gruntowne zbadanie uszkodzenia. Przykręcił z powrotem świecę i zamknął maskę, zakręcił rozrusznik i usiadł przy kierownicy.

Ale w tej chwili wzrok jego zatrzymał się na znajomej postaci nadchodzącej drogą. W pierwszej chwili skamieniał. Oliwia, wysmukła i jak zawsze elegancka, miała na sobie kostium z grubego jedwabiu, z bluzką ożywioną czerwonym krawatem. Auto ruszyło. Jednocześnie i ona go poznała i aż się zatoczyła. Wyczytał w jej oczach ten sam wstręt i zgrozę, co wtedy, w dzień strasznego odkrycia.

Skąd się wzięła na pustej szosie? Nie spodziewała się go spotkać, bo przeraziła się tak, jakby spostrzegła upiora. Dodał gazu i minawszy ją w pełnym pędzie, doznał błyskawicznego natchnienia. Zrozumiał, że wybiła dla niego godzina śmierci, opóźnianej tchórzowsko od tyłu miesiący. Skręcił z drogi i runął w przepaść.

Oliwia zobaczyła, co się stało. Od razu zorientowała się, że to nie był

wypadek. Świat zawirował jej w oczach, zachwiała się i upadła zemdlna.

W kilka chwil później nadjechało dwuosobowe auto z jakąś młodą parą i stanęło. Kobieta zajęła się Oliwią, która niebawem odzyskała przytomność.

– ... straszny... wypadek – wyjąkała, podnosząc głowę. – Samochód spadł w dolinę... O, ślady kół! Och, Boże!

Pokazała ręką. Z doliny wzbijała się w ciche powietrze kolumna dymu. Zerwała się chwiejnie i chciała biec, lecz nieznajomy przytrzymał ją za rękę.

– Prędzej zajedziemy. Niech pani wsiada. Maggie, bierz kierownicę. Ja stanę na stopniu.

W kilka sekund byli na miejscu katastrofy. U stóp stromego zbocza palił się rozbity samochód, niewidoczny zza ciężkiej osłony dymu.

– Prędko! – krzyknęła Oliwia. – Może jeszcze żyje! Nieznajomy młodzieniec potrząsnął głową.

– Bardzo wątpliwe.

– Czy to znajomy pani? – zapytała młoda kobieta.

– Mąż! – krzyknęła tragicznym głosem Oliwia.

Zeszli po zboczu. Młody człowiek leciał na łeb na szyję śladem samochodu. Oliwia upadła parę razy, tak że musiała zdobyć się na większą ostrożność i iść zakosami chwytając się gałęzi. Była tak przerażona, że prawie spokojna, gdyż nie mogła zebrać myśli.

Wysoki obcas poślizgnął się na trawie, zjechała na plecach i podnosząc się, usłyszała zza kępy paproci spokojny głos:

– Psie moje szczęście!

Pod Oliwią zatrzęsły się kolana. Chciała krzyknąć, ale się opanowała. Obeszła paproć i zobaczyła Aleksego. Siedział na kopcu z twarzą ukrytą w dłoniach. Popatrzył na nią tępo, a ona przyciskając ręce do piersi,

wyjąkała:

– Żyjesz? Bogu dzięki!

– No, nie wiem, czy jest mu za co dziękować – odpowiedział wstając.

Nieznajoma młoda kobieta, która szła za Oliwią, ukazała się zza zarośli:

– Och, Bogu dzięki! Jakim cudem pan się uratował?

– Opatrzność, łaskawa na idiotów, wyrzuciła mnie z samochodu przy pierwszym odbiciu. Wpadłem w kępę paproci. Nic mi nie jest. Niech się panie nie martwią.

– Odwieziemy pana do domu. Zaraz mój mąż... – zaczęła młoda kobieta.

– Dziękuję bardzo. Nic mi nie jest. Pójdę pieszo. Za to pani musi być bardzo wstrząśnięta i pewnie...

Młoda kobieta zwróciła się do Oliwii: – Pani powiedziała, że ten... pan – rzekła z zakłopotaniem, spoglądając na liberię Triony – jest jej mężem...

– Omyliła się – objaśnił uprzejmie Aleksy.

Oliwia milczała oszołomiona. Młoda kobieta odeszła parę kroków i zawołała dźwięcznym głosem do towarzysza, że nic się nie stało.

– Zaraz tu będzie – rzekła do Triony i Oliwii.

Wszyscy troje byli zakłopotani. Aleksy opowiedział przebieg katastrofy, przypisując ją nagłemu pęknięciu kierownicy. Samo auto było przedhistorycznym gruchotem, ubezpieczonym ponad wartość. Właściciel będzie rad.

Nadbiegł zdyszany nieznajomy i kiedy mu wszystko opowiedziano ofiarował swoje auto do dyspozycji rozbitkom. Mogli się od biedy pomieścić we czworo. On jechał do Cullenby, ale mógł nadłożyć drogi bez kłopotu dla siebie. Do jego uprzejmych próśb przyłączyła się nieznajoma pani. Oliwia nie wiedziała, czy prosić ich, żeby odeszli, czy żeby zostali – ze

względu na sytuację.

Triona podziękował znów i odmówił. Wolał iść, żeby odetchnąć po wstrząsie.

Nieznajomy zmierzył go dziwnym wzrokiem. Nie wiedział, co o nim sądzić.

– A może by pan był łaskaw zabrać tę panią? – zapytał Triona.

– I ja pójdę pieszo. Dziękuję panu. Mam do domu tylko milę drogi, a ten pan jest naprawdę moim mężem.

– Jeżeli państwo naprawdę nie potrzebują naszej pomocy... – nieznajomy uniósł kapelusza.

– Dziękujemy państwu serdecznie za wszystko – rzekła Oliwia.

Nieznajoma para ukłoniła się i zaczęła wchodzić po zboczu! Ich zdumienie nie miało granic.

Triona i Oliwia stali chwilę w milczeniu. Ona nie mogła opanować drżenia kolan.

– Moglibyśmy usiąść – zaproponowała.

– Jak pani woli. – I Triona usiadł na kopcu. Oliwia rzuciła się na trawę i przymknęła oczy.

– Zrobiłeś to naumyślnie – rzekła. – Chyba nie sądzisz, że uwierzyłam w bajeczkę o katastrofie?

Uśmiechnął się z goryczą. Los był stale przeciwko niemu. Ledwie się spotkali, zarzuciła mu kłamstwo.

– Trudno mi było przyznać się do usiłowania samobójstwa przed nieznajomymi ludźmi. Są okoliczności, w których prawda kompromituje.

– Więc chciałeś naprawdę zginąć?

– Naturalnie. Ale i to usiłowanie skończyło się farsą. Jak w ogóle

wszystkie moje poczynania. Przekonawszy się, że nic mi się nie stało, przekląłem dzień, w którym się urodziłem.

– Dlaczego chciałeś zginąć?

Jeszcze nie przyszła do siebie. Sytuacja wydawała jej się nierealna. Przed godziną wcale o nim nie myślała. Pochłaniała ją troska o ciężko chorą Myrę, do której ją wezwano, a idąc drogą, dumiała o pustce Mediów po wyjeździe Olifanta i zachwycała się pięknnością wieczornego krajobrazu. I oto znalazła się z nim sam na sam, z dala od świata, rozmawiając tak beznamiętnie, jakby wrócił z zaświatów w postaci upiora. A mało brakowało, żeby już nie żył. Na jej pytanie, rzucił czapkę na trawę i przesunął ręką po włosach. Ten znany ruch szczupłej, śniadej ręki przywrócił Oliwii odrobinę poczucia rzeczywistości.

– Jeżeli pani nie domyśla się, dlaczego, to nie powiem, bo i tak by mi pani nie uwierzyła.

Wyjął papierosa wyraźnie drżącymi palcami.

– Pani pozwoli? – Kiwnęła głową. – Myślałem, że się nie spotkamy do końca życia. Niedługo bym się z nim załatwił. Postanowiłem zwrócić pani wolność, w najgorszym razie z niewielkim opóźnieniem. Nie żądam, żeby mi pani uwierzyła, bo jak? Zawiadomiłem panią, że jadę do Polski, a – jestem w Anglii. Kiedy Myra zdradziła przed panią miejsce mojego pobytu?

Przypuszczał, że musiała przyjechać na skutek denuncjacji Myry. Oliwia otworzyła szeroko oczy.

– Myra? Co ona ma do rzeczy? Oczywiście nie wiedziałam o miejscu twego pobytu. Wiedziałam tylko, że nie pojechałeś do Polski. Jakiś Polak – zapomniałam nazwiska – pisał do majora Olifanta, pytając o ciebie.

Dziwił się, żeś do niego nie pojechał...

– Bronowski.

– Właśnie.

– A pani uwierzyła, że i jego okłamałem.

Spojrzał na nią ze smutną ironią. Spuściła oczy i odpowiedziała tonem bezsilnej rozpaczycy: – Cóż chcesz?

– Więc Myra nie mówiła o mnie?

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie: co ona ma do rzeczy?

– odparła Oliwia, siadając.

– To długa historia. Wolę, żeby ona pani o tym opowiedziała. Wie, co się ze mną działo od czasu, gdyśmy się rozstali. , – jNa twarzy Oliwii zakwitły rumieńce gniewu.

– Więc Myra ukrywała cię tutaj w tajemnicy przede mną?

– Miała po temu ważne powody. Wyjaśni ci to w krótkich słowach...

– Nie teraz. Przeszła ciężkie zapalenie płuc. Myślano, że umrze i depeszowano po mnie. Bo skąd bym się tu wzięła?

– Czy pani zatrzymała się u Pettilandowej?

– Naturalnie.

– Nawet nie wiedziałem, że Myra przyjechała do Pendish. Żal mi jej serdecznie. Ostatnio zaniedbałem Pettilandową, a okazała mi tyle serca...

– urwał i dodał z uśmiechem: – Myra, lojalna, zakazała bratowej mówić z przyjezdnymi o Briggsie. Nie wspomniano o nim w obecności pani?

– Nie, ale ja tego Myrze nie przebaczę. Nie! – krzyknęła z oburzeniem.

– Jak ona mnie oszukała!

Błysk jej oczu obudził w sercu Triony nagłą nadzieję.

– Więc tak pani zależało na wiadomościach o mnie?

– Nie znoszę nieszczerości. Myślałam, że przynajmniej Myra – och,

Boże, nikomu nie można ufać!

Nagle zwróciła się do niego: – Skąd ta absurdalna liberia?

– Zarabiam w niej na życie. Jestem szoferem. Uczciwsze zajęcie niż niejedno inne. Zresztą byłem już kiedyś szoferem.

13 Ofiara jednego kłamstwa – Daruj, ale nie rozumiem – odparła oszołomiona. – Nie potrzebujesz zarabiać na życie w ten sposób, chyba że...

Urwała w połowie zdania, ale on domyślił się od razu, co chciała przez to powiedzieć.

– Chyba, że się rozpiłem i zszedłem na psy. To pani chciała powiedzieć?

– Nie – zaprzeczyła z pośpiechem. – Nie. Tego nie pomyślałam. Ale dlaczego... Jesteś taki zdolny, niemal genialny... Mógłbyś pracować piórem...

– Zamiast kierownicą – wtrącił.

– Nie wiem, dlaczego nie pojechałeś do Polski. Może mi to wyjaśnisz. Zakopałeś się na wsi... Dlaczego nie piszesz?

– Z tej prostej przyczyny, że Aleksy Triona umarł, a z nim jego twórczość. Amen. Z tą fazą życia skończyłem raz na zawsze. Pani wie wszystko. Pani powinna zrozumieć.

Oliwia pochwyciła w jego głosie akcent prawdy i przeczuła ogrom jego ofiary i wyrzeczenia.

– Czy to znaczy, że już nie będziesz nigdy pisał?

– Nigdy. Teraz mam to. – Pokazał mosiężne guziki liberii.

Zachowywał się tak wyniośle, że zaczęła się niecierpliwić. Chciała się czym prędzej dowiedzieć o jego przeżyciach z ostatniego roku i tajemniczej intrydze Myry. Jego spokój był irytujący. Sytuacja – sam na sam wśród

paproci – nie do zniesienia. Mosiężne guziki nie do zniesienia. Tragedia, zakończona farsą – coś okropnego. Rozpostarła szeroko ramiona, wołając:

– Na Boga, powiedz mi, co się z tobą działo przez ten rok?

– Jeżeli mi pani uwierzy...

Umilkła jak skarczone dziecko i zwróciła oczy na czarny zrąb gór, odcinających się na tle rubinowo-pomarańczowego zachodu słońca. W cichym powietrzu stała jeszcze cienka kolumna dymu ze spalonego samochodu i unosił się zapach benzyny i spalenizny. Triona spojrzał na szczątki odrestaurowanej przez siebie maszyny i rzekł cicho:

– I to było jedno z moich małych marzeń. Zupełna ruina, którą uparłem się doprowadzić do stanu używalności. Włożyłem w to całą duszę i, mogę powiedzieć, dokonałem cudu. I oto została mi z tego smuga dymu, tak jak ze wszystkich innych marzeń. Oczywiście to moja wina.

Jego głos czarował ją, wbrew jej woli. Ale czuła, że mówił szczerze, i nie wiedziała, co powiedzieć. Kolorowe blaski zachodu roztopiały się w ciemnym niebie. Zaczął wiać słaby wietrzyk. Oliwia wzdrygnęła się i on to zauważył:

– Pani zimno. Czas do domu. – Wstał.

Zerwała się, nim zdążył podać jej rękę.

– Odprowadzę panią.

Wdrapali się po zboczu na szosę i zaczęli iść. Zapanowało kłopotliwe milczenie. Nagle ona krzyknęła:

– Jesteś ranny! Och! Okropnie kulejesz. Powiedziałeś, że nic ci się nie stało... – Chwyciła go za ramię. – Nie możesz tak iść...

– Będę tak chodził do końca życia – odparł rozkoszując się jej dotknięciem. – Mam to nie od dziś. Rok, więcej, niż rok temu, wpadłem pod

auto ciężarowe. Myra ci opowie. Dlatego nie pojechałem do Polski.

– Wpadłeś pod auto ciężarowe? Mogłeś zginąć i ja bym nic o tym nie wiedziała?

– Myra powiedziałaaby pani. Faktycznie cud, że nie przypłaciłem tego życiem.

Zadrżała i odwróciła głowę.

– I przed chwilą...

– Powinienem był minąć zakręt i dopiero... – wskazał kierunek. – Nazywają to miejsce Diabelskim Zakrętem. Nawet by pani nie zobaczyła, że się coś stało, a ja bym nie sfuszerował.

Oliwia zbladła jak trup i o mało nie upadła. Chciał ją podtrzymać, ale mu się wywinęła i usiadła przy drodze. Była bliska omdlenia.

– Na Boga, nie mów tak. To okrucieństwo. Nie byłeś taki. Nawet obcy człowiek nie powinien...

– Ja się tylko usprawiedliwiam, że jeszcze istnieję. Los sprzysiągł się przeciwko mnie, ale niech mi pani wierzy, że miałem jak najlepsze chęci.

Oliwia wstała mówiąc, że już jej dobrze, i skręcili na ścieżkę, wiodącą do Pendish. Powietrze pachniało wiosną.

– Opowiedz mi o tym wypadku. Jak się Myra dowiedziała? Dałeś jej znać?

– Może po rozmowie z nią uwierzy mi pani, że nie grałem komedii. Gdybym jej dał znać, byłoby to próbą zwrócenia się do pani za jej pośrednictwem.

– Może byłoby mądrzej zwrócić się do mnie wprost – odpowiedziała głucho Oliwia. – Nie jestem pozbawiona ludzkich uczuć.

– Nie mógłbym, nawet gdybym chciał – rzekł łagodnie. – Przez kilka

tygodni byłem nieprzytomny. Potem dowiedziałem się, że Myra była u mnie w szpitalu na drugi dzień po wypadku. Zacznę od spotkania z Bronowskim...

Zdawało mu się, że śni. Nie wierzył własnym oczom, że mają, ukochaną, koło siebie. Własny głos brzmiał mu w uszach dziwnie nierealnie. Serce miał ciężkie jak ołów, chociaż myślał, że na jej widok rozsadziłoby mu piersi.

Opowiadał źle, lakonicznie, bez cienia właściwego sobie dramatycznego zacięcia. Nie pominął dla prawdy śmiesznej ucieczki w świat, która zakończyła się spotkaniem z bandytami. Nie on opowiadał, nie Oliwia słuchała. Rozmawiało dwoje obcych ludzi. Gdy skończył, zauważyła:

– Ogromnie się zmieniłeś.

– Możliwe... – Urwał, po czym mówił dalej: – A pani? Przepraszam. Nawet nie zapytałem o zdrowie...

– O, dziękuję, ja dobrze się czuję. Spędziłam zimę za granicą, a teraz bawię w Mediów u pani Woolcombe. Major Olifant wyjechał.

Znaleźli się koło furtki ogrodu Pettilandowej. W oknie dawnego pokoju Triony paliło się światło.

– Myra? – zapytał, pokazując ręką.

– Tak. Ja zajmuję pokój Pettilandowej od frontu. Oddała mi go przemocą. Pomagam pielęgnować chorą. Cały dzień siedziałam w domu. Dlatego wyszłam na szosę odetchnąć świeżym powietrzem.

– Musi pani być zmęczona.

– O, tak.

Czekał, wbrew nadziei, na słowo przebaczenia. Na próżno. Więc zaciął się w sobie jak kamień. Ta zdolność była źródłem wszystkich jego wyczynów. Nie, nie będzie apelował do jej miłosierdzia. Dosyć się nacierpiał. Dosyć

miął pokuty. Nie potrzebował litości, maskującej nienawiść i pogardę. Otworzył furtkę. Oliwia weszła, zatrzasnąjąc ją za sobą z metalicznym szczękiem klamki, który zabrzmiał w uszach obojga jak dzwonek, wieszczący ostateczne rozstanie. Stali chwilę, rozdzieleni drewnianą zaporą i mrokiem wieczoru.

Ona wykrzyknęła impulsywnie: – Nie możemy się tak rozstać. Tyle jeszcze mamy sobie do powiedzenia!

– Jestem na pani rozkazy – odpowiedział. Tytułował ją uparcie „panią”, co ona uparcie ignorowała. Oliwia złapała oddech i zeszywniała.

– Porozmawiamy jutro. Musimy się uspokoić.

– Przyjdę, kiedy pani każe – odparł Triona.

– O dziesiątej rano? – Dobrze. Dobranoc.

– Zaczekaj.

Nagle przypomniała sobie okropną rzecz.

– Muszę ci coś powiedzieć od razu. Może noc przyniesie radę. Jestem w okropnej sytuacji. Wedderburn i Onslow, pamiętasz?

– Pamiętam.

Opowiedziała mu szybko, o co chodzi.

– Dla mnie to już nie ma znaczenia, ale dla pani... rzeczywiście... – rzekł enigmatycznie Triona.

– Co byś odpowiedział?

– Wypowiadałbym się szczerze ze wszystkiego... Czy pani wolałaby, żebym szukał wykrętów?

– Nie wiem... Daj mi czas do namysłu.

– Jestem na rozkazy.

Zawahała się. Chciała mu zadać pytanie, ale bała się, że jeżeli je

wypowie, to zemdleje.

– Do jutra... Nie zrobisz żadnego głupstwa?

– Ani nic mądrego... – odpowiedział. – Przyrzekam.

Znów zapadło długie milczenie. Wreszcie ona rzekła: – Dobranoc.

– Dobranoc pani.

Oliwia zrobiła w ciemności gniewny gest i pobiegła do domu.

ROZDZIAŁ XXVII

Pettilandowa czekała na nią przy schodach pod lampą gazową, uśmiechnięta i radosna.

– Proszę pani, Myrze lepiej! Był doktor. Kazał jej dać rosółu z kury. Oliwia weszła na górę do pokoju chorej.

– No, moja biedaczko, cieszę się, że ci lepiej.

Zmusiła się do banalnej pogawędki, bo ją po prostu ponosiło.

– Jestem strasznie zmęczona – rzekła wreszcie. – Pójdę się położyć. Pielęgniarka powinna niedługo przyjść. Nie potrzeba ci czegoś na noc?

Myra, blada i wychudła, odpowiadała swoim zwyczajnym, monotonnym głosem:

– A panience czego nie potrzeba? – Oliwia spojrzała zdziwiona.

– Panienska wygląda tak, jakby zobaczyła upiora... Ano tak. Bałam się tego. Nie chciałam, żeby po panienkę depeszowali, ale nie mogłam do tego nie dopuścić. Nie wiedziałam o Bożym świecie.

Oliwia nie mogła się gniewać na chorą kobietę, lecz serce jej wrzało gwałtownym oburzeniem. Panując nad głosem, zapytała łagodnie:

– Dlaczego mi nic nie powiedziałaś?

– Czekałam na okazję, na znak...

– Z mojej strony?

* * *

– Tak, panienko. Miałam go w swojej mocy, gdyby panienska chciała, oddałabym go panience, ale panienska mówiła, że nie chce. Nie byłam

pewna... – wyciągnęła chudą rękę, lecz Oliwia była zanadto podniecona, żeby zauważyć ten błagalny gest. – Kiedy go zobaczyłam pierwszy raz w szpitalu, myślałam, że umrze i panienka odzyska wolność. Potem wezbrała we mnie litość i pożałowałam popełnionego w sercu grzechu zabójstwa. Później, dowiedziawszy się od bratowej, jak on tu dzielnie i uczciwie żyje, straciłam głowę. Sama nie wiedziałam, czyśmy go jednak nie skrzywdziły. Czy panienka się będzie na mnie gniewać, jak coś powiem?

Oliwia spłonęła ognistym rumieńcem.

– Mów, co chcesz.

Słaby, monotony głos mówił dalej: – Żeby pan major nie wyjechał, byłabym powiedziała. Oliwia uniosła głowę.

– Myra, jak ty śmiesz?

Wąskie usta rozchyliły się w półuśmiechu.

– Dla dobra panienki śmiałabym nie wiem co.

Myra była chora. Trzeba ją było traktować pobłaźliwie. Oliwia umilkła. Po chwili zdjęła kapelusz i siadła obok łóżka.

– Dobrze postąpiłaś, Myro.

Czuła się głęboko upokorzona. Służąca wiedziała, jeżeli nie o pocałunkach – nie była domowym szpiegiem! – to w każdym razie o erotycznym nastroju, jaki się wytworzył między nią a majorem. Ale o ile major był zakochany do szaleństwa, o tyle u niej było to tylko powierzchowne odurzenie. Myra wyczułaby w niej prawdziwą miłość i, żeby jej zapewnić ziemskie szczęście, pomogłaby poświęcić wieczne. Sama była szczęśliwa w życiu jeden tydzień, ale pomimo to wiedziała, co to miłość, i nie pomyliła się co do jej letniego uczucia względem Olifanta. Powiedziała to po swojemu smutno i fatalistycznie.

– Więc go panienka widziała?

– Tak. Jak to wyczułaś?

– No i co?

Oliwia nie wytrzymała. Łkając gwałtownie, rzuciła się na łóżko Myry, twarzą do kołdry. Po dłuższej chwili zaczęła się jąkać:

– Straciłam go... Już mnie nie kocha... Nienawidzi... Zobaczywszy mnie, chciał się zabić... Właśnie jechał samochodem... Skręcił z drogi w przepaść... – Dzięki Bogu, cudem nawet się nie skaleczył... Ale mógł zginąć na miejscu... Chciał... I to wszystko przez ciebie... z twojej winy...

Gdybyś mi była powiedziała...

Myra złożyła pieszczotliwie chudą rękę na ciemnej główce.

– Panienko droga, ja kochałam ruinę ludzką, aż do śmierci przez pamięć na te czasy, kiedy była człowiekiem, który mnie kochał. Panienki mąż jest normalny. Panienka go kochała tak, jak ja swojego. Ale mąż panienki żyje i cierpi. Niech panienka wróci do niego – chuda ręka gładziła delikatnie bujne włosy. – Pan Bóg was złączył. To mąż. Przysięgała panienka, że będzie mu towarzyszką w zdrowiu i chorobie. Ja swojego nie opuściłam. Dzięki Bogu, panienki zdrow na duszy, nie tak jak mój nieszczęśnik... Wróć do niego, dziecko. Ukorz się nawet, jakby było potrzeba... Byłam bardzo chora. Myślałam, myślałam, choroba rozjaśnia w głowie – myślałam nie o sobie, a o was obojgu – o jego życiu i o twoim.

On grzesznik, ale duchem większy od ciebie, kochanie. Wróć do niego.

Oliwia podniosła tragiczną twarz. – Jak? On mnie nie chce.

– Nie chciałby się zabić, gdyby cię nie kochał. Wróć do niego.

Oliwia posłuchała. Po dwugodzinnej walce z próżnymi, brzydkimi myślami, wyszła z domu już po jedenastej. Kimże była? Co zrobiła dla dobra

ludzi? Co znalazła cennego, wyrwawszy się w świat, oprócz miłości człowieka, który był jej mężem? Przeszła w myśli wszystkich swoich znajomych. Jak oni żyli? Co było treścią ich życia? Czy nie grali wszyscy komedii pozorów? Taka Lidia ze swoim otoczeniem, złożonym z Mavennów i Bobów Quintonów. Tacy zwariowani Blenkironowie. Taka poczciwa, a pusta Janet Philimore. Albo te literacko-artystyczne koła, które tak reklamowały Trionę – takie szumne z wierzchu, a ubogie w prawdziwą treść. Wśród tego wszystkiego Triona wyrastał na prawdziwego, duchowego olbrzyma. A co było po wielkim rozstaniu? Jałowe życie w Mediów z dnia na dzień... Półroczna podróż za granicę... Egzystencja absolutnie bezcelowa... Blaise Olifant... Wstyd; jedyna radość, ale niezbyt uczciwa. Pd prostu igrała z ogniem. Po co w ogóle wracała do Mediów? Unieszczęśliwiła bardzo szlachetnego człowieka. A on, jako mężczyzna, mógł skorzystać z jej słabości. Jednak zlitował się nad nią, za co była mu teraz niewymownie wdzięczna. Nie kochała go. Nie mogła kochać. Nie znosiła jego długiego nosa. Nawet gdy ją całował... Och, jak mogła, jak mogła... ?

Noc była cicha, ciepła. Pendish, wyciągnięte w dwa rzędy białych domków, z jednej strony niewidocznych w mroku, z drugiej oświetlonych księżycem, robiło wrażenie wioski duchów. Oliwia złękła się echa własnych kroków. A nuż z okien wychylą się gniewne twarze i ostre głosy zapytają ją, dlaczego mąci spokój nocy?

Szła do męża. Sama nie wiedziała, czy z nakazu Myry, czy z innej pobudki. Słowa służącej brzmiały w jej uszach po prostu jak nakaz. A więc Myra czekała na znak, którego się nie doczekała.

Nad uśpionym światem wisiała głęboka cisza. Doliny i góry stały w srebrzystej poświacie księżyca. Oliwia biegła białą wstęgą drogi, w pełni

świadoma swego cierpienia i pogodnie obojętnej wzgardy wszechświata.

Szła do niego, do męża. Cała treść jej życia zamykała się w nim, tylko w nim. Nie widziała ani księżyca, ani gwiazd, ani pięknej nocy. Czowała się już w jego ramionach. Słyszała w wyobraźni słodkie słowa miłości, uskrzydłone polotem jego geniuszu.

– Nie chciałby się zabić, gdyby cię nie kochał.

Tak powiedziała Myra. Oliwii zdawało się, że słyszy jej głuchy, monotony głos. Gdyby to była prawda! Chciał się zabić! To było szczere. To była prawda. Widziała na własne oczy. Pamiętała, że Olifant nazwał Trionę „ofiarą jednego kłamstwa”.

Nagle poczuła się rozpaczliwie samotna i przygnieciona ogromem świata. Pierwszy raz zdała sobie sprawę ze swojej przegranej życiowej. Nie umiała kochać. W godzinie ciężkiej próby zawiodła tego, który ją kochał. W godzinie, kiedy jedno słowo miłości, zrozumienia, przebaczenia miałoby dla niego wagę zbawienia, odepchnęła go od siebie z nienawiścią i pogardą. Nie myśląc o jego nieszczęściu, oddała się nędznym próżnostkom. Nie wyciągnęła do niego pomocnych rąk i wtedy, i dzisiaj.

– Nie chciałby się zabić, gdyby cię nie kochał.

Policzki jej płonęły. Wszystkie szaleństwa, jakie popełnił przez ten ostatni rok, stały się z jej winy. Za wyrządzoną jej krzywdę chciał zapłacić śmiercią. Ale nawet w tej straszliwej chwili nie zawołała na niego zbawczym głosem miłości. Biadała przed Myrą, że już jej nie kocha, a nie dała mu żadnego znaku – znaku, na który czekała nawet Myra.

Szła do niego. Dotarła do pierwszych domów Fanstead. Jak ją przyjmie? Jeżeli wzgardą, to co? Znała drogę, choć nigdy nią nie szła, gdyż wypytała się o to przezornie nie domyślającą się niczego Pettilandową. Zobaczyła napis

nad bramą garażu i weszła na puste podwórze. W okienku na poddaszu paliło się światło. Drewniane schodki prowadziły tam z zewnątrz. Oliwia stanęła niepewnie z bijącym sercem. Izba była otwarta. W progu siedział człowiek z głową ukrytą w dłoniach. Światło księżyca padało prosto na niego. Nogi wspierał na najwyższym stopniu.

Z ust Oliwii wyrwał się stłumiony okrzyk: Aleksy!

Drgnął, zerwał się jak podrzucony sprężyną, spojrział nieprzytomnym wzrokiem i zbiegłszy z pośpiechem po skrzypiących schodkach, porwał ją w ramiona.

Weszła na poddasze. Umebłowanie nędznej izdebki składało się z łóżka polowego, prostej umywalni, krzesła i stolika, zaśmieconego okruszynami chleba i sera. Po kątach leżały stosy książek. Podłoga była goła. W sercu Oliwii wezbrała burza żalu, litości i miłości. Ona – ona skazała go na takie nędzne życie swoją małodusznością i brakiem serca. Ale nie powie mu o tym. Nie wywlecze na światło swojej hańby. Wróciła do niego. Przebaczyła.

Przyciskając go do siebie, szepnęła: – Och, Boże, gdybyś zginął... gdybyś zginął... to... to...

Triona krzyknął z dawnym entuzjazmem: – Nic mnie nie zabije, bo zostałem stworzony dla ciebie, dla twojej miłości.

Rozmawiali do świtu. Czekala ich walka ze światem. Naprzód musieli rozprawić się z Onslowem i Wedderburnem. Ona już teraz go nie opuści. Życie odsłoniło przed nią nowe horyzonty. Co z tego, jeżeli świat ich odepchnie? To zostaną wielkimi wyrzutkami. Triona wtórował jej w uniesieniu. Kochając się bez zastrzeżeń, będą szczęśliwi.

Kiedy w okienko zakradły się pierwsze brzaski świtu, zeszli na dół.

Ale sprawy poszły innym biegiem, niż przewidywali. Rowington napisał, że Onslow i Wedderburn zaniechali sprawy, radząc od siebie, żeby i oni jej nie poruszali. Teraz Triona i Oliwia byli innego zdania i niebawem w Timesie ukazał się list o pochodzeniu książki „Przez krew i śnieg”, podpisany przez Johna Briggsa. Parę innych pism dało o tym krótkie wzmianki i było po wszystkim. Nikt nie okazał żywszego zainteresowania. Książka uległa już zapomnieniu. Wypadki rosyjskie z roku 1917 przeszły do historii. Tyle się nimi interesowano, co skandalami na dworze Katarzyny Wielkiej. Co obchodziło czytelników prawdziwe nazwisko Triony i źródła, z których zaczerpnął treść do swojej świetnej powieści?

W miesiąc później niedoszły podwójny samobójca otrzymał długi list od swego wydawcy z takim zakończeniem:

Kiedy dostaniemy nową powieść Aleksego Triony? Publiczność pyta i czeka.

Pojednana para bawiła tymczasem w Pendish, pozornie w oczekiwaniu na wyzdrowienie Myry, ale w rzeczywistości dlatego, że byli tu szczęśliwi. Przeżyli drugi miodowy miesiąc. Początkowo Oliwia myślała, że mąż porzuci pracę w garażu, ale on rzekł:

– Nie zacznę nowego okresu życia złamaniem słowa. Przyrzekłem Radnorowi, że zostanę u niego dopóty, dopóki nie wróci z podróży poślubnej.

– Ależ to donkiszoteria!

– Moja droga, tylko donkiszoteria jest coś warta w życiu.

Została więc przy mężu – szoferze i zajęła się doprowadzaniem go do formy.

List od wydawcy przeczytali razem. *Nie ma sensu – pisał Rowington – zaczynać ponownie pod nazwiskiem Briggsa. Oznajmiłeś pan światu, że Triona jest pańskim pseudonimem. Aleksy Triona – to marka. Briggs – puste słowo.*

– Ma rację – zauważyła Oliwia.

– Jak sobie życzysz. Ustępuję. Ale nie będziesz mi mogła zarzucić, że nie próbowałem uśmiercić Triony.

– Nie możesz. Tak chciał los. I zresztą, mój drogi, ja nie znam żadnego Briggsa.

Siedzieli w bawialni, ozdobionej pamiątkami z dalekich mórz. Triona wziął pieśczośliwie do ręki różową muszlę, i śmiejąc się przyłożył ją do jej ucha.

– Co słyszysz?

Słuchała chwilę, po czym oddała mu muszlę i patrząc mu w oczy, zaśmiała się głębokim, szczęśliwym śmiechem.

– Kochany, jeżeli chcesz, pojedziemy na jakąś daleką wyspę.

– Chcesz? – wykrzyknął. – Dobrze. Napiszę książkę o piękności wszechświata i o tobie.

Weszła Myra, żeby nakryć do lunchu. Oliwia zerwała się i objęła ją za szyję.

– Myra, kochanie, pakuj rzeczy. Jedziemy jutro do Honolulu!

– Nie zdążymy, panienczko. Chyba pojutrze. Praczka odeśle bieliznę dopiero jutro wieczorem.

